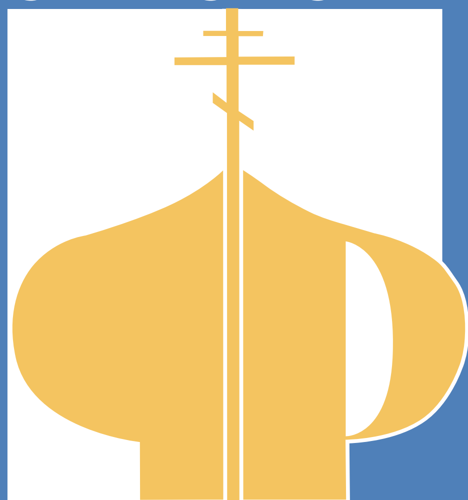


ISSN 1230-1078
Nr indeksu 371416

- Dzieło kniazia Ostrogskiego
- Dyskusja o młodzieży
- Pamiętamy o ofiarach „Burego”
- Niezwykłe miasto Konstantynopol

PRZEGLĄD PRAWOSŁAWNY

Miesięcznik ogólnopolski Nr 3 (381) marzec 2017 cena 6 zł (w tym 5% VAT)

Fot. Anna Radziukiewicz

Podczas wyświęcenia cerkwi św. Jana Teologa w Supraślu. Metropolita Sawa z władykami Jakubem, Jerzym i Grzegorzem. Więcej na stronach 2-4

W numerze

Wyświęcono cerkiew św. Jana Teologa

– Ta cerkiew uratowała monaster – mówił o cerkwi św. Jana Teologa podczas Liturgii 12 lutego, w dniu świętych Bazylego Wielkiego, Grzegorza Teologa i Jana Chryzostoma (Złotoustego), arcybiskup białostocki i gdański Jakub. Liturgię służył metropolita Cerkwi w Polsce Sawa w asyście także władyków – supraskiego Grzegorza i siemiatyckiego, prawosławnego ordynariusza Wojska Polskiego, Jerzego. Tego dnia dokonano poświęcenia cerkwi św. Jana Teologa po remoncie, a w zasadzie można powiedzieć, po jej wykończeniu.

Jaki był jej los? Powstawała dla supraskiego monasteru w wieku ubóstwa, czyli w XIX. To był czas panowania na tych ziemiach Imperium Rosyjskiego. Monaster popadł w ogromne ubóstwo, utracił swoją rangę, trwał na granicy niebytu. Ten lichy czas zapoczątkowali Prusacy, a Rosjanie okazali się jego kontynuatorami. I w jednym, i w drugim zaborze wszystko zmierzało do tego, by podmyć fundamenty tego niegdyś wspaniałego monasteru i doprowadzić go do ruiny i zamknięcia. Przy carze **Aleksandrze II**, w 1873 roku, szykowano go nawet do likwidacji. Cudem ocalał. W tym czasie carskie władze zamknęły kilka prawosławnych monasterów na ziemiach białoruskich. Przy ihumenie **Wincentym Kurganowiczu**, tym, który kazał zamalować pobiałą freski w cerkwi *Błagowieszczańskiej*, w monasterze modliło się pięciu braci i tyle samo *posłuszników*, którzy – jak czytam w źródłach – *mało co umieją*.



Cerkiew *Błagowieszczańska* stała na środku dziedzińca prawie bez dachu. Narożne baszty groziły upadkiem. Ihu-



Podczas wyświęcenia cerkwi św. Jana Teologa
Obok cerkiew św. Jana Teologa

men Wincenty zamiast stawiać nowy dach, co przekraczało siły monasteru, kazał pobielić całe wnętrze cerkwi. I tak znikły z oczu wspaniałe szesnastowieczne freski. Za ten czyn ihumen odbywał epitimię w Borysoglebskim monasterze w Grodnie.

Ogrodzenie monasterskiego dziedzińca prawie nie istniało. Ogrody i sady zarastały zielskiem. Pokrzywa w sadach rosła tak gęsto, że nie pozwalała przejść między drzewami. Cerkiew *Woskresieńska* nad katakumbami była już tak stara i zniszczona, że nikt nie myślał o jej remoncie.

Najgorzej było zimą. Nie wystarczało pieniędzy na opał. Wszędzie zimno, a najbardziej w cerkwi Zwiastowania. Nie służono więc w niej zimą. Służbę przenoszono do jednej z cel – małej i też zimnej.

W połowie XIX wieku dobudowano do cerkwi Zwiastowania cerkiewkę, piętnaście sążni kwadratowych. Na starych fotografiach widać ją przyklejoną z boku do części ołtarzowej. Miała być ciepła. Poświęcono ją św. Janowi Teologowi, tak samo jak pierwszą, drewnianą, którą wybudo-





wano na samym początku XVI wieku, a może nawet i w końcu XV wieku, po tym jak mnisi przybyli z Gródka na uroczysko Suchy Hrud, czyli do dzisiejszego Supraśla. Wtedy żadnego miasteczka ani osady nie było.

I tak cerkiew św. Jana Teologa jak nić przewija się przez historię supraskiej ławry. I po nieporadnych ihumenach – Wincentym Kurganowiczu, który rozdawał szczodrą ręką bezcenne supraskie rękopisy, **Wincentym Żukowskim**, który dalej rozdawał albo sprzedawał monasterskie dokumenty i księgi każdemu kto o nie prosił, nawet dwa stare *pomianniki*, pisane na pergaminie z XVI wieku, archimandrycie **Innocentym Komanieckim**, który przekazał Wileńskiej Bibliotece Publicznej 1109 ksiąg i prawie 200 dokumentów, przy którym władze carskie chciały monaster zamknąć, ale przy którym już obserwujemy pewien powiew ożywienia, przychodzi w maju 1881 roku archimandryta **Mikołaj Dołmatow**. To postać wybitna. Na taką monaster czekał półtora stulecia. Pochodził z orłowskiej guberni. To człowiek głębokiej wiary, intelektualista. Gdy przyszedł do Supraśla, zastał w kasie 36 rubli i 19 kopiejek. A długi sięgały 595 rubli i 67 kopiejek. Był bardzo skrupulatny. Wszystko zapisywał. I to, że pud mąki razowej (około 16 kg) kosztował wtedy 1 rubel i 20 kopiejek.

Archimandryta żalił się w swojej kronice supraskiej ławry – wspaniałą pozostawił, 611 stron – że prawie wszystkie monasterskie budynki nie mają dachu, że woda leje się do wnętrza, że stajnia grozi zawaleniem, że w głównej cerkwi brudne ściany, zwichrowane podłogi, że zewsząd wyziera ubóstwo. Pisze, że nadzieję położył w woli Bożej. W nikim innym nie mógł. I wola Boża pomaga. To co dzieje się przy nim, to cud. Mając na starcie ponad pół tysiąca rubli długu, remontuje główną cerkiew i monasterskie budynki. Zajmuje to mu osiem lat. Z całego imperium od prywatnych osób spływają ofiary, choćby wiano od bogatej dziewczyny, która poszła do monasteru.

Ale bracia wciąż cierpią niewygody. Liturgie w niedziele i święta, w mrozy i słoty, odprawiane są w dużej cerkwi, przejmująco zimnej. Gdy furmankami przyjeżdżają wierni, wciskają się mnichom w każdy kąt, byle się ogrzać, bo nie ma domu pielgrzyma.

I w tej sytuacji archimandryta Dołmatow podejmuje niezwykle śmiałą decyzję. Chce budować nową cerkiew, ciepłą, nie za dużą, połączoną z monasterskim korpusem. Wyliczono – jak zwykle u Dołmatowa z ogromną skrupulatnością – że ma kosztować 10 870 rubli i 35 kopiejek. I zamierza archimandryta wznieść jeszcze dwa

domy gościnne i stodołę – za 3531 rubli i 64 kopiejki. Budowa rusza.

8 maja 1889 roku poświęcono miejsce pod budowę cerkwi, którą 12 lutego 2017 roku wyświęcał metropolita **Sawa**. Jeszcze tego samego roku przykryto ją dachem. Prace – jak zauważył archimandryta Mikołaj Dołmatow – przebiegały bez najmniejszych nieporozumień i przestojów. Cerkiew wzniesiono za połowę zakładanej sumy. Ofiary na jej budowę płynęły znad Oki, Amu-Darii, Wołgi, Dniepru, Wisły. Najwięcej pomogli przy jej budowie miejscowi fabrykanci, szczególnie **Adolf Buchholtz**, i oczywiście wierni. W połowie następnego roku, czyli w 1890, cerkiew była już gotowa – stał w niej ikonostas, cztery piece holenderskie, wylano posadzkę cementowo-lastrikową. Cerkiew wyświęcono 26 września 1890 roku.

Można powiedzieć, że tamta cerkiew św. Jana Teologa do dziś pozostawała niewykończona. Przez 125 lat nie miała na ścianach polichromii. Może dlatego, że archimandryty Dołmatowa nie było już na nią stać. Wszak to przy nim dokonano odsłonięcia i konserwacji słynnych supraskich XVI-wiecznych fresków w cerkwi Zwiastowania. A tamte prace kosztowały mniej więcej tyle, co wzniesienie nowej cerkwi św. Jana Teologa.

I nastał czas, przy archimandrycie **Andrzeju** (**Borkowskim**), kiedy dokonano w latach 2011-2016 gruntownego remontu tak zwanej ciepłej cerkwi – wymieniono okna, położono na ścianach nowe tynki, posadzkę lastrikową zamieniono na kamienną, wstawiono nowy rzeźbiony ikonostas i napisano do niego ikony, gruntownie odnowiono część ołtarzową, budując pod jego posadzką część katakumbową. I najważniejsze – na wszystkich ścianach i sklepieniu położono polichromię. Cerkiew rozpisywali **Jarosław** i **Joanna Jakimiukowie**.

Dlaczego 12 lutego 2017 roku arcybiskup **Jakub** mówił, że ta cerkiew uratowała monaster?

– Pani **Gala Łoś**, która gotowała mnichom – mówił – pamiętała lata pięćdziesiąte XX wieku, kiedy prawosławni szli na nabożeństwa do małej cerkwi św. Jerzego na cmentarzu – dodajmy też wzniesionej przy archimandrycie Dołmatowie w 1901 roku. Wtedy cerkiew św. Jana Teologa stała bez dachu, bo władze chciały ją rozebrać, gdyż cały kompleks po drugiej wojnie, podobnie jak w okresie międzywojennym, nie należał do prawosławnych. Prawosławnym proponowano opuszczoną poprotestancką kirchę, dziś kościół rzymskokatolicki. Wierni mówili: – Weźmy, urządzimy w



niej cerkiew. Ale proboszcz supraskiej parafii, o. **Aleksy Mularczyk**, mówił: – Tamta świątynia jest dla nas cudza, a ta nasza. Nie możemy jej opuścić. I tak pod koniec lat 50. XX wieku cerkiew św. Jana Teologa powróciła do prawosławnych. Wymagała rozległego remontu.

Ale najważniejsze, że prawosławni po blisko pół wieku wygnania ze swojej ławry mogli znów do niej wrócić – w jakże ograniczonym wymiarze. Wszak wokół buszowało młode życie uczniów szkoły rolniczej, którzy wzięli we władanie cały kompleks. W centrum zabudowań straszyły od 21 lipca 1944 roku ruiny cerkwi Zwiastowania Bogarodzicy. Ale prawosławni wydeptywali tu swoją ścieżkę do cerkwi św. Jana Teologa. Jakże niezbędna się ona okazała, gdy metropolita **Sawa**, wtedy arcybiskup białostocki i gdański, na początku lat 80. XX wieku zabiegał o możliwość rekonstrukcji głównej monasterskiej cerkwi, gdy potem zabiegano na najwyższych krajowych szczeblach o zwrot prawosławnym całego kompleksu. Bez obecności prawosławnych w cerkwi św. Jana Teologa ta historyczna nić mogłaby zostać zerwana.

Metropolita Sawa 12 lutego mówił: – Dziś prawosławna Cerkiew przeżywa wielką radość. Przyszła ona po trudnych momentach. Pan daje nam tę radość. Ławra pozostawała przez dziesiątki lat w poniżeniu, ale nikt jak Najwyższy czyni cuda. Dziś modlimy się w niej. Któż śmiałby myśleć w czasie wojny i po wojnie, że nastanie taki dzień jak dziś?

– Wyświęcenie tej cerkwi po remoncie, jej polichromii, jest jak zapowiedź dzieła najważniejszego – wyświęcenia fresków w głównej cerkwi – *Błagowieszczańskiej*, na które czekamy – mówił *Błażennijszyj*. – Bóg czyni cuda poprzez modlitwę wielu, a może i niewielu ludzi. To silna wiara czyni cuda. I na ten cud jeszcze czekamy. I dodał, nawiązując do czytania Ewangelii o Synu Marnotrawnym, że jeśli jakiś syn odszedł od Cerkwi, niech wraca do swojego Ojca i Matki Cerkwi, niech wejdzie na prawosławną drogę zbawienia. Starajmy się, by nasza modlitwa nigdy nie gasła, by przyciągała wielu ludzi. Ceńmy to, że nasi przodkowie pozostawili nam taki skarb, jakim jest supraska *obitiel*.

Władyka Sawa podziękował ikonopiscom. Powiedział, że pobłogosławił ich na wyjazd do Paryża i rozpisywanie tam cerkwi. Pozdrowił biskupa supraskiego Grzegorza – 12 lutego jest dniem jego niebiańskiego patrona. Mnóstwo wiernych pozdrowiło swego władykę.

Orderem świętych równych apostołom Cyryla i Metodego został udekorowany **Roman Szymczuk**. Listy pochwalne otrzymali prof. **Jerzy Uścinowicz**, **Jan Szymczuk**, **Zenon Kamieński**, **Wiera Matejczuk**, dr **Adam Musiuk**, **Eugeniusz** i **Raisa Olchowikowie**.

Anna Radziukiewicz
fot. **autorka** i **Jan Makal**

Zacznijmy od przebaczenia

Wo imia Otca i Syna i Swiatago Ducha!

Dzisiejszym nabożeństwem rozpoczynamy Wielki Post. I rozpoczynamy go od czynu *proszczenija*. Przez *proszczenije,* otrzymane od swoich bliskich, wyzwalamy się z grzechu, który wobec nich popełniamy. Prawdę mówiąc w dużym stopniu życie duchowe człowieka polega na tym, żeby przezwyciężać grzech.

Jeszcze niedawno pojęcie grzechu było wszystkim ludziom wspólne. Wiedzieli, co jest dobre a co złe, bo sercem, sumieniem odczuwali, a umysłem uświadamiali sobie, co jest prawdziwe a co fałszywe, co grzeszne a co święte.

Zagrożenie obecnych czasów polega na tym, że ze świadomości wypiera się pojęcie grzechu. Już kilkaset lat temu zaczęły się pojawiać filozoficzne prądy i nauczania, które utrzymywały, że człowiek rodzi się jasny i czysty i przychodzi na ten świat doskonały. I cel wychowania polega na tym, żeby nie przeszkadzać w ujawnieniu się wewnętrznych sił człowieka. Wszystko w nim jest dobre i piękne.

Później, już w naszym XX wieku, rozwój tej niebezpiecznej myśli zaczął doprowadzać ludzi do przekonania, że żadnego grzechu nie ma. Człowiek jest powołany do tego, co dla niego dobre i żadne autorytety nie powinny dyktować mu tego, co dotyczy jego wewnętrznego moralnego życia.

I powoli zamiast pojęcia dobra i zła, zamiast wypieranego pojęcia grzechu zaszczepia się przekonanie, że każdy człowiek jest dla siebie miernikiem dobra i zła. I jeśli dokonuje czegoś grzesznego, ale nie uważa tego czynu za grzech, to i czyn przestaje być grzechem.

Koniec historii ludzkości – przyjście na świat antychrysta – jest związany z pojęciem zła, ze zniknięciem dobra. Jeszcze całkiem niedawno trudno było sobie wyobrazić, jak ludzie będą mogli przyjąć antychrysta, niosącego i głoszącego zło. Jak można w ogóle zgodzić się ze złem czy kłamstwem? Ale jeśli niebezpieczne zabłądzenia naszego obecnego dnia, które wypierają pojęcie grzechu z naszego życia, które ścierają granice między dobrem i złem, będą narastać, to bez trudności ludzie nabiorą przekonania, ze zło jest dobrem, dobro – złem. Trudno to sobie wyobrazić, zwłaszcza ludziom cerkiewnym, ale to, o czym teraz mówimy, już jest osiągnięciem współczesnego człowieka. Pojęcie grzechu znika z życia.

Spowiadałem pewnego razu uczonego, wykształconego, kulturalnego człowieka, który przeżył ponad siedemdziesiąt lat i nigdy się nie spowiadał. I kiedy go zapytałem, w czym czuje się grzeszny, podniósł na mnie pełne zdziwienia oczy i powiedział: „W niczym nie czuję się grzeszny, nigdy nie popełniłem grzechu”. I nie było to kłamstwo, było to głębokie zabłądzenie tego człowieka, w którego świadomości grzech nie istniał. A istniała tylko jego własna prawda i jego rozumienie dobra i zła.

Zadanie, które stoi przed wszystkimi, którzy wstępują w Wielki Post z poważnymi zamiarami, z pragnieniem wyzwolenia się z grzechu, polega na tym, żebyśmy nauczyli się widzieć swój własny grzech. Jeśli człowiek kaja się przed Bogiem, jeśli jest w stanie poprosić o przebaczenie Boga i swoich bliźnich, to oznacza, że w świadomości tego człowieka istnieje pojęcie grzechu, taki człowiek wie, co to jest grzech. I jest to już ważne świadectwo stanu duszy człowieka. Nawet jeśli taki człowiek dopuszcza się grzechu, ale uświadamia sobie, że to czego dokonuje jest grzeszne, jest nadzieja na zbawienie i oczyszczenie.

Wiemy, jak trudno bywa poprosić o przebaczenie. Dzisiejszy dzień jest jakby egzaminem dla każdego z nas. Jeśli podchodzimy do człowieka i prosimy o przebaczenie, sami nie wiedząc za co, siłą pewnego obyczaju, obrzędu, to tak łatwo jest powiedzieć komuś, z kim się nigdy nie kłóciliśmy: *Prosti mienia Christa radi*. Dzisiaj w ołtarzu podszedł do mnie pewien batiuszka i mówi: *Prostitie mienia*, a ja mu z łatwością odpowiadam: *Boh prostit*. Dlatego, że ani on mi niczego złego nie zrobił, ani ja jemu. To tak jakbyśmy wymienili dobre pozdrowienia.

Ale każdy wie, jak trudno jest podejść do kogoś, z kim pozostajemy w konflikcie, zwłaszcza kiedy czujemy, że ten człowiek wobec nas zgrzeszył, kiedy to jego obarczamy winą za konflikt. Jak niebywale trudno ugiąć przed nim kolana! Ale należy pamiętać – im trudniej jest ugiąć kolana, tym więcej jest powodów żeby to zrobić, bo tym ugięciem dotykamy pewnego duchowego nerwu, poruszamy coś istotnego w swoim życiu. I jeśli, nie bacząc na opór, który wypływa z naszej dumy, mimo wszystko kajamy się przed bliźnimi, czynimy ważny pierwszy krok, który dowodzi, że nie utraciliśmy zdolności do odróżniania dobra i zła, że nie zatraciliśmy pojęcia grzechu, że grzech rani nasze sumienie. A dopóki grzech będzie ranić nasze sumienie – będzie także nadzieja na zbawienie, bo ze zranionym sumieniem bardzo trudno jest żyć. Kiedy gryzie nas sumienie, pragniemy wyzwolić się z tego stanu, nie przez samouspokojenie, nie przez duchowe uśpienie samego siebie, a przez przebaczenie i pokajanie, to oznacza rzeczywisty krok na drodze duchowego życia.

Cerkiew nie przypadkiem proponuje nam, byśmy poprosili o przebaczenie właśnie na początku Wielkiego Postu. Z jednej strony jest to jakby egzamin stanu naszej duszy i stanu naszych umysłów, z drugiej pierwsze doświadczenie, które należy przejść, by z czystym sumieniem wejść na drogę wyzwolenia od grzechu.

Dzisiaj dokonamy czynu *proszczenija* tutaj, w świątyni. A po przyjściu do domu poproście o przebaczenie swoich bliskich, może sąsiadów, a jutro współpracowników, zwłaszcza tych, z którymi się pokłóciliście. I nawet jeśli ktoś nie zrozumie co robicie, nie krępujcie się. Jeśli zapyta o sens – odpowiedzcie mu, wyjaśnijcie znaczenie swoimi słowami i powiedzcie, że bez wzajemnego przebaczenia grzechów nie ma oczyszczenia duszy.

Myślę, że *Proszczonnoje Woskresienije* znowu powraca do naszego społecznego życia. To ważne wydarzenie, świadczące w pierwszym rzędzie o tym, że wszystkie te nowomodne wyobrażenia o moralności, które ostatecznie wszelką moralność naruszają, nie zniewalają serca naszego narodu. I dopóki będzie tak, zawsze będziemy mieć nadzieję na zbawienie i na odrodzenie naszego osobistego, rodzinnego, społecznego i państwowego życia.

Od przebaczenia rozpoczynamy *podwig* świętej czterdziesiątnicy, od przebaczenia rozpoczynamy drogę duchowego odrodzenia. I niech pomoże nam Pan wykonać ten pierwszy krok na Jego chwałę i nasze zbawienie. *Amiń.*

Słowo na *kanunie*
Wielkiego Postu

Post i modlitwa zmienią wszystko

Wo imia Otca i Syna i Swiatago Ducha!

Post jest środkiem, za pośrednictwem którego człowiek może rzeczywiście wpłynąć na stan swojej duszy. Poprzez powstrzymanie się od jedzenia, rozrywki, różnego rodzaju pokus, ćwiczymy wolę, rozbudzamy uczucia.

Innym środkiem oddziaływania na ludzką duszę i środkiem uniesienia duszy jest modlitwa. Św. Teofan Zatwornik powiedział: „Cały sens modlitwy zawiera się w słowach *Gospodi pomiłuj*”. Kiedy wspominamy te słowa, wydaje się nam, że prosimy Boga, by nas nie karał, jednak słowo *pomiłuj* ma dużo większe znaczenie i szerszy sens, niż tylko prośba o litość.

Zwracając się do Boga z prośbą o zmiłowanie prosimy o wybaczenie naszych grzechów, naszych nieprawości, naszej nieczystości. Ale w słowie *pomiłuj* jest wezwanie do wylania na nas Jego łaski. Bóg nie tylko jest zdolny ukarać nas za nasze grzechy, ale z miłości obdaruje nas swoją łaską, swoją mocą.

Jeśli człowiek modli się, to jest naprawdę religijnym człowiekiem. Jeżeli nazywa siebie wierzącym i jest przekonany o istnieniu Boga jako wyższej siły, ale nie zwraca się do Boga z modlitwą, to jest człowiekiem niereligijnym. Czasami bywa nawet tak, że ludzie dość cerkiewni przestają się modlić. Na tyle przyzwyczajają się do swojej cerkiewności, że żywa modlitwa jako łączność z Bogiem znika z ich życia. Zdarza się, że nawet niektórzy duchowni, sprawujący nabożeństwa, znający na pamięć modlitwy, przestają żyć religijnym życiem. Jeśli natomiast zwracamy się do Boga, to znaczy, że czujemy Jego obecność w naszym życiu jak starożytni prorocy, o których jest powiedziane, że chodzili przed obliczem Boga.

Co znaczy chodzić przed obliczem Boga? To znaczy czuć Bożą obecność, uświadamiać sobie, że Bóg jest obok. A jeśli Bóg jest obok, jak można obrazić Boga, jak można robić to, co jest Mu przeciwne? Jeśli Bóg jest obok, człowiek nie tylko stale zwraca się ku Niemu, ale stara się budować swoje życie w ten sposób, żeby Boże oczy, patrząc na niego, zawsze były pełne litości i miłości.

A jak mają się nauczyć modlić ci, którzy nie potrafią? Dzisiaj wielu ludzi przychodzi do cerkwi, zwraca się do Boga, ale nie umie się modlić. W pewnych okolicznościach modlą się nawet ludzie małej wiary – kiedy okoliczności życia stają się trudne.

Jak mówią uczestnicy wojny, nawet bezbożnicy szli do ataku z modlitwą. Kiedy pojawia się rozpacz i kiedy uświadamiamy sobie, że nie jesteśmy w stanie swoimi siłami pokonać trudności, wtedy znowu z łatwością wypowiadamy słowa modlitwy. Tak dzieje się także wtedy, gdy w trakcie rozmowy z lekarzem człowiek słyszy straszną diagnozę. Wtedy ludzie modlą się i znajdują słowa, i nikogo już nie trzeba uczyć się modlić. Ale wystarczy pokonać trudności, otrzymać uzdrowienie i znowu słabnie więź z Bogiem i modlitwa zostaje przerwana.

Nawyk modlitwy to jedno z najważniejszych ascetycznych działań. Modlić się należy słowami modlitwy, jeśli je się zna, a także własnymi prostymi słowami, modlić się nie tylko rano i wieczorem, modlić się należy wielokrotnie w ciągu dnia, choćby na chwilę zwracając się do Pana. Wychodząc z domu trzeba przeżegnać się, bo współczesne ulice nie są bezpieczne. Można spotkać złego człowieka i napotkać trudne okoliczności. A kiedy, rozpoczynając nowy dzień, zwracamy się do Boga z modlitwą, przywołujemy Jego błogosławieństwo.

Istniała monastyczna tradycja – każdą trzecią godzinę oświęcać modlitwą. Stąd i cerkiewny *ustaw* trzeciej, szóstej, dziewiątej godziny także innych nabożeństw. W warunkach współczesnego życia nie można co dwie-trzy godziny chodzić na nabożeństwo. Ale regularnie prosić o pomoc Bożą, wzdychać do Boga, dziękować Bogu za otrzymane dary, po prostu wspominać Boga – właśnie to oznacza odczuwać Bożą obecność w swoim życiu.

Osobną szkołą modlitwy jest modlitwa w cerkwi. Dzisiaj było długie nabożeństwo, słyszeliśmy wiele psalmów i pieśni, ale świadomość człowieka tak funkcjonuje, że stale śledzić słów modlitwy nie sposób. Trzeba wdrażać się w zrozumienie tego, co się dzieje w cerkwi. Ale nawet jeśli z powodu naszej słabości myślami odbiegamy od modlitwy, to mimo wszystko znajdując się w cerkwi, w pobożnej atmosferze modlitwy innych ludzi, znajdujemy się pod stałym oddziaływaniem Bożej łaski. Oto dlaczego modlitwa w cerkwi ma szczególne znaczenie i moc, „bowiem tam, gdzie dwoje lub troje zebranych w imię Moje, tam Ja jestem pośród nich” (Mt 18,20). Post i modlitwa to wielkie środki uniesienia duszy, pokonania grzechów, zmiany wewnętrznego stanu człowieka. W Wielkim Poście powinniśmy szczególnie wykorzystać te środki, żeby pomóc samym sobie, żeby zmienić swój wewnętrzny świat, żeby być bliżej Boga. *Amiń.*

Kazanie we wtorek pierwszego
tygodnia Wielkiego Postu
w Zacztjewskim Monasterze
w Moskwie

Patriarcha Kirył
tłum. **Ałła Matreńczyk**

Odpowiedź na krzyk duszy

Z Julianiją (Denisową), mniszką z monasteru św. Elżbiety w Mińsku, rozmawia Julia Posaszko. Rozmowa została zamieszczona w książce Julii Posaszko „Monachi". Matuszka Julianija, wybitna kompozytorka i dyrygentka, jest laureatką tegorocznej edycji Nagrody im. Księcia Konstantego Ostrogskiego. Poszła do monasteru, gdy w życiu świeckim osiągnęła wszystko. Była dyrygentką znaną w całej Białorusi, osiągnęła uznanie w świecie muzyki, wychowała troje dzieci. Nakręcono o niej film „Dyrygent". A po kilku latach drugi – „Inokinia".



Julia Posaszko: – Dlaczego szczęśliwi i pełni sukcesu ludzie porzucają wszystko i idą do monasteru? Czy może współczesny człowiek iść drogą *prepodobnych*?

Matuszka Julianija: – 45 torebek, 35 par obuwia, szafa kosmetyków, własne oddzielne mieszkanie – jedz, pij, wesel się! A w duszy krzyk: „Tak dłużej nie mogę"!

– W filmie „Inokinia" Matuszka powiedziała, że nie myślała o życiu mniszym. Że zdecydowała się na tę drogę w ciągu trzech dni. Co się wydarzyło w ciągu tych trzech dni?

– To pytanie często mi zadają. A ja do dziś nie wiem, jak właściwie na nie odpowiedzieć. Te trzy dni były szczytem góry lodowej, ale ku temu szczytowi biegło moje całe życie. Teraz, jak przez przezroczyste szkło, ujrzałam całe moje życie jako przygotowanie do tego ostatecznego wydarzenia. Były momenty, kiedy szłam w kierunku przeciwnym, od Boga. Myślę teraz, że Pan daje możliwość wyboru, pewne warianty każdemu człowiekowi. Człowiek cały czas schodzi z wytyczonej drogi i ześlizguje się w grzech, a Pan „łowi" go tam i szuka dla niego innej.

– I tak było z Matuszką?

– Tak. Moja dusza zawsze poszukiwała, jeszcze z młodości. „Łowić" Boży *promysł* usiłowałam nawet jako niewierząca, nie ochrzczona. Tęskniłam za jakąś czystością… Chociaż żyło się tylko sobą – wszystkie te „ja, ja, ja" naznaczają od dzieciństwa.

– Jak wyglądało wewnętrzne życie Matuszki przed przyłączeniem do Cerkwi?

– Twórczość, zapędzona do wewnątrz. W ogóle dobre pytanie, czym możesz żyć, kiedy nie znasz Boga, jakim wewnętrznym życiem? Jakieś tam tajemne życie duszy poszukującej sensu – było. Wewnątrz tragedia, poszukiwanie, nieusatysfakcjonowanie… Wszystko to nie dawało zadowolenia.

– Czy nigdy nie miała Matuszka pokusy ujrzenia jedynego sensu życia w dzieciach, pracy?

– Sens życia pokładany w dzieciach, pracy, służbie – to wszystko ziemskie. Dusza czuła jednak, że nie jest stąd! Ale wyrazić tego nie potrafiła. Dlatego szukała, gdzie tylko mogła. A na początku lat 90. stało się bardzo popularne wywoływanie duchów, okultyzm, astrologia, wypłnęły nazwiska Bławatskiej, Roericha. Dosłownie miesiąc po chrzcie zaproponowano mi abonament do szkoły astrologii Pawła Głoby… Nikt dokładnie nie wiedział, co to takiego, ale inteligencja kupuje takie „sztuczki". Diabeł rozumie społeczne uwarunkowania i działa w takiej terminologii, jaka jest danemu człowiekowi bliska. W tym przypadku to było wybraństwo: „to dla wybranych, jakiś robotnik z fabryki tego nie zrozumie, a ty przecież jesteś człowiekiem wysokiej kultury"! Tworzyliśmy horoskopy, zajmowaliśmy się chiromancją, a kiedy u mojego młodszego syna Ignata stwierdzono raka nerki, i to w ostatnim stadium, przechodziliśmy kurs medycznej astrologii – „korektę zdrowia według horoskopu".

– Cóż za ironia, podobno uczyła się Matuszka leczyć ludzi, a własne dzieci popadały w choroby.

– Tak, moje dzieci bardzo z tego powodu cierpiały. Przechodziły niemal wszystkie choroby, jakie tylko są, wszystkie szpitale Mińska były mi znane. A ja, nie wiedzieć czemu, nie wiązałam tego ze swoimi zajęciami astrologii. Wydawało mi się, że jeszcze trochę czasu i znajdę jakiś „filozoficzny kamień", i wszystkie biedy miną. Największą zagadką w moim życiu do dzisiaj jest, w jaki sposób Pan wyciągnął mnie z tego wszystkiego! Astrologiczny etap mojego życia był najbardziej negatywny, przygotowujący do jakiejś katastrofy. Tę katastrofę czułam całym swoim jestestwem, wiedziałam, że coś strasznego nastąpi. Trzy tygodnie przed przyjściem do Boga napisałam wiersz:

Мое сердце
Сердце спит в оковах скуки –
Видно так ему уютней.
И ничто его не тронет,
Не освободит от плена:
Ни раздумье о печальном,
Ни известие о тайном.
Даже смерти лик ужасный
Ото сна его не будит.
Я от сердца отделилась –
Вот живу, пою, стенаю,
Причитаю, как торговка,
О всеобщем равнодушьи,
Растреклятым спящим сердцем
Ничего не ощущая,
Не мечтая, не страдая,
Зная все уж до могилы.
Как легко мне притворяться,
Что в груди огни и бури!
Это мне труда не стоит –
Все «обманываться рады».
Знаю: с сердцем беспробудным,

С онемевшею душою
Я накличу столько горя,
Сколько прежде не знавала.
Знаю: беды – не ошибки,
Их исправить невозможно.
Где же Тот, Кто не позволит
Злому сердцу умереть?!

To było na początku grudnia 1991 roku. A po tygodniu dowiedziałam się o diagnozie Ignata. Do Boga przyprowadziła mnie choroba syna, dokładnie tak. To był ostatni przycisk, na który Pan nacisnął.

– Kiedy po raz pierwszy na poważnie pomyślała Matuszka o mniszym życiu?

– Dopiero przed samym odejściem do monasteru. A do tego czasu – absolutnie! Jestem bardzo pragmatycznym człowiekiem. Marzyć o monasterze mógł Serafim Wyrycki albo ojciec Ioann (Krestiankin), którzy mając po osiem lat zostali błogosławieni na życie mnisze, a którzy mnichami stali się po pięćdziesiątce. A ja? O czym miałabym marzyć? Nawet kiedy starsze dzieci już podrosły, mówiłam sobie: „Moment! Może o monasterze myśleć człowiek, jeśli jego młodsze dziecko ma 13 lat? Nie może". Teraz rozumiem, że nie od razu staniesz się Serafimem Sarowskim, że człowiek przychodzący do monasteru niczym nie odróżnia się od człowieka świeckiego, jedynie pragnieniem stania się kiedyś w przyszłości mnichem. My cóż, jakiś naród wybrany? Do monasteru biorą jakichś szczególnych ludzi?

– A nie?

– Oczywiście, że nie. Oczywiście, nie!

– A po co tam iść? Co tam takiego?

– *Tajna sija wielika jest*. Z ludzkiej pozycji taki krok to absurd. Dla młodej dziewczyny, która skończyła szkołę w centrum Mińska iść do monasteru zamiast na uniwersytet – to absurd. Współczesnemu człowiekowi to jeszcze trudniej pojąć.

– Mimo wszystko niezbędność wyboru – monaster albo rodzina – dziś dla wierzącego człowieka wcale nie jest oczywista. Chrześcijanie żyją w świecie, modlą się, chodzą do cerkwi i nie myślą o żadnym wyborze. No więc coś zmusiło Matuszkę do postawienia tak zdecydowanego kroku. Co to – powołanie?

– Oto tak! Do monasteru nie można trafić bez metafizycznej interwencji Boga w swoje życie. Nie uzyska się tego po prostu tak, według jakiegoś planu – *wocerkowlatsia*, chodzić do monasteru św. Elżbiety na służby, zachwycić się jakimś duchownym, u którego się spowiadało i pomyśleć: „A nie powinnam pójść do monasteru"? Życie każdego człowiek układa się po swojemu. Siostra, która jako przedostatnia przyszła do monasteru, liczy 75 lat, ostatnia dziewiętnaście. Ich życie i motywy są zupełnie różne! Ale podobne jest jedno – poczułyśmy jakieś ostatnie, ale zdecydowane wezwanie – choć każda różnymi słowami to objaśnia. Ale i tak w tych wyjaśnieniach brzmi coś, co wydaje się pozbawione argumentów, niezgadzające się z czystą logiką.

– Przez wiele lat pracowała Matuszka jako dyrygent, któremu udało się stworzyć niezwykły chór. Dlaczego by nie uznać, że taka służba Bogu i ludziom, jako dyrygenta, wystarczy?

– Nie mogłam już ani chwili dłużej pozostawać w świecie. Moje wewnętrzne życie tak się przestroiło, że w każdej sekundzie odczuwałam – tak dalej żyć nie mogę. Nie rozumiałam, dlaczego! Prosiłam Boga, żeby cokolwiek uczynił ze mną. Wypełniała mnie po prostu pewność, że tak jak dotąd żyć nie mogę. A potem Pan zaczął podpowiadać – dokąd iść dalej. W pewnym momencie podeszłam do swego *duchownika*: „Tak dalej nie mogę. Coś trzeba ze mną zrobić! Może do monasteru powinnam pójść"? *Duchownik* odpowiedział: „No tak, idź do monasteru"! To była sobota. Potem pomyślał trochę i powiedział: „Porozmawiam z siostrami, pomodlimy się… Przychodź w poniedziałek". W ciągu tych trzech dni nastąpił ostatni etap mego stanowienia się. Kiedy rakietę przygotowują, ile lat ją budują, ile pieniędzy wkładają, a potem ktoś na guzik naciska i mówi *pajechali*. Machnął ręką i …poleciał Gagarin w kosmos. Od jednego naciśnięcia guzika. Trzy dni, to był mój przycisk. Dla mnie wszystko stało się jasne, wszystko się zmieniło. Zrobiłam się inna. Przestałam siebie poznawać. Ciągle zadawałam sobie pytanie: „Czyżbym to była ja? Idę do monasteru"? I sama sobie odpowiadałam: „Tak oto ja, dokładnie ja idę bez żadnego wahania. Innej drogi nie mam".

– W jaki sposób nieoczekiwana decyzja Matuszki wpłynęła na rodzinę, przyjaciół, kolegów?

– Nikt nie wierzył, nie chciano mnie puszczać do monasteru, nie przyjmowano tego do wiadomości. Jedni płakali, inni denerwowali się. Jeszcze inni mówili: „Zakopujesz talent pod ziemię!", nie rozumieli, że to słowa z Ewangelii, a ja idę właśnie tam, gdzie uczą się żyć według Ewangelii! Monaster to akurat to miejsce, gdzie talent otwiera się w stosowną stronę.

– Nie czuła Matuszka lęku przed tak zdecydowaną zmianą swego życia?

– Czułam. Podejrzewałam, że nie znam świata, który przede mną się otworzy. Bałam się. A co, jeśli będzie dla mnie nie do wytrzymania? Przecież jestem maksymalistką, jeśli odchodzę, to bez żadnych „nie", do końca. Na to trzeba było się zdecydować. A przecież tylko co osiągnęłam dobrostan i jakiś sukces w życiu, poważanie i nagle – rzucać to wszystko i iść do zupełnie innego środowiska. Przecież to nie wszystko jedno, co z tego się urodzi. Dziecko w czasie porodu też czuje strach i ból, nie wie, dokąd go popychają. Tu tak samo. Było życie, w którym znałam każdy jego zakamarek. A tu wszystko trzeba zmieniać. Wszystko! Człowiek może przeprowadzić się do innego miasta. Może z generała zostać zdegradowany do rozżalonego szeregowca, może się rozwieść, zmienić swój status społeczny. A tu wszystko jednocześnie, w moment. Przestajesz być tym kim byłaś, niezmienny pozostaje tylko twój świat wewnętrzny. Tylko ten zabierasz ze sobą do monasteru. To wszystko bardzo nieproste. Jest tylko jedno, co czyni równowagę – Chrystus, ze względu na którego to wszystko czynisz.

tłum. **Anna Radziukiewicz**

Nie jest tak źle jak myślicie

Przed jakimi problemami, obcymi jej rodzicom, staje dzisiaj młodzież? Na ile Cerkiew i rodzice dostosowują się do zmienionej sytuacji? Jak przygarniać dzieci i młodzież do Cerkwi – o tych i innych problemach dyskutowali: Anna Choruży, katechetka, dziennikarka Radia Białystok, Lucja Niemierowicz, dyrektor przedszkola nr 14 w Białymstoku, nazywanego białoruskim, o. dr Piotr Pietkiewicz proboszcz parafii Wszystkich Świętych w Białymstoku, o. Paweł Szwed, wikariusz parafii Wszystkich Świętych w Białymstoku, duchowy opiekun Bractwa Młodzieży Prawosławnej w Polsce, o. Piotr Makal, diakon parafii św. Jana Teologa w Białymstoku, pracujący w szkole św. św. Cyryla i Metodego, Dariusz Sulima, katecheta, dziennikarz Radia Orthodoxia, przewodniczący zarządu bractwa diecezji białostocko-gdańskiej, Maciej Owsiejczuk, przewodniczący centralnego zarządu Bractwa Młodzieży Prawosławnej, Piotr Giegiel, komendant szczepu drużyn harcerskich i zuchowych Nika, wiceprzewodniczący zarządu centralnego BMP. Redakcję Przeglądu Prawosławnego reprezentowali Eugeniusz Czykwin i Anna Radziukiewicz.

Anna Radziukiewicz: – Zacznijmy od przedszkola. Tu macie kontakt z dziećmi i rodzicami – zwracam się do pani dyrektor Lucji Niemirowicz. – Kto sprawia większe problemy wychowawcze?



Lucja Niemierowicz: – Z dziećmi nie mamy problemów, ale coraz częściej musimy wychowywać rodziców. Są często wymagający wobec nas, nauczycieli, i nie lubią dyscypliny, jaką narzucamy ich dzieciom. A my uważamy, że dzieci trzeba wychowywać w pewnej dyscyplinie. Dlatego nie zgadzamy się w niektórych kwestiach z rodzicami. Zapraszamy ich regularnie na wykłady i prelekcje na temat wychowania. Przychodzi mało osób, np. po pięć. A na uroczystościach, związanych z różnego rodzaju świętami i rocznicami zbierają się tłumy. Wieczór kolęd zgromadził około 230 osób. Podobnym powodzeniem cieszy się świętowany u nas dzień babci, dziadka, matki.

Anna Radziukiewicz: – Wasze przedszkole jest specyficzne, drugiego takiego w Białymstoku nie znajdziemy.

Lucja Niemierowicz: – Wychowujemy nasze dzieci w atmosferze tradycji mniejszości narodowych. Na wysokim poziomie prowadzone jest wychowanie religijne. To dzięki naszej bardzo dobrej prawosławnej katechetce Irenie Matys. Nasze sześciolatki znają na przykład gdzieś po dwanaście kolęd w językach białoruskim, ukraińskim i rosyjskim. Na 175 naszych dzieci, 102 jest prawosławnych.

Eugeniusz Czykwin: – Do waszego przedszkola trudno się dostać.

Anna Radziukiewicz: – Może więc te dzieci, które nie dostaną się do was, przyjmie przedszkole organizowane przy parafii Świętego Ducha w Białymstoku?

Lucja Niemierowicz: – Ale nasze to przedszkole samorządowe, czyli z opłatą ze strony rodziców po złotówce za godzinę, minimalną. Tam trzeba będzie płacić czesne.

O. Piotr Pietkiewicz: – Myślę, że przedszkola samorządowe, z niewielkimi opłatami, zorientowane na pielęgnowanie wiary prawosławnej i kultury mniejszości narodowych, czyli z oddziałami nazwijmy je białoruskimi, mogłyby być tworzone w Bielsku Podlaskim i Hajnówce.

Eugeniusz Czykwin: – By taka placówka powstała, potrzebna jest lokomotywa, taka jak Lusia Niemierowicz.

Lucja Niemierowicz: – Potrzebni są rodzice, tacy jak Barbara Piekarska czy Mirosława Kalina, które 22 lata temu doprowadziły do zorganizowania tego przedszkola. To bardzo ważne, by istniały tego rodzaju placówki, wszystkie bowiem inne działania edukacyjne, prowadzone w domach kultury czy przy parafiach, są ważne, ale mają charakter dorywczy, okazjonalny. Tu dzień w dzień trwa proces edukacji. Rodzice to doceniają. Niedawno zadzwonił ojciec. Bardzo chciał, by jego dziecko trafiło do naszego przedszkola, ponieważ pragnie, by nauczyło się rozmawiać po białorusku. On już nie zna tego języka. Ale dziecko niech się nauczy mowy przodków, mówił.



O. Piotr Pietkiewicz: – Takie placówki funkcjonują dzięki ich kadrze. Tam są świetni nauczyciele, osobowości, które tworzą unikalny klimat.

Anna Radziukiewicz: – Gdy do szkół podstawowych trafiają dzieci, które przeszły przez przedszkole białoruskie, widać że odcisnęła się na nich dobra edukacja?

O. Piotr Pietkiewicz: – Religii w szkołach uczę od dwudziestu lat. Kiedyś, gdy uczyłem na Nowym

Mieście w Białymstoku, a klasy tam były liczne, po trzydzieści osób, po dwóch-trzech lekcjach mogłem wskazać, które dzieci mają za sobą białoruskie przedszkole. To było tak widoczne w poziomie ich rozwoju! Jakby w stosunku do innych dzieci przeskoczyły kilka stopni edukacji. Poza tym te dzieci są odważne, nie boją się publicznych wystąpień.



O. Piotr Makal: – Nie można mówić, że jeżeli dziecko nie trafi do białoruskiego przedszkola, będzie miało kiepski start. Za wychowanie powinni odpowiadać głównie rodzice. Ja z kolei widzę od razu, które dzieci modlą się z rodzicami w domach, które chodzą do cerkwi. Dodam, że są i inne dobre przedszkola – na przykład brackie. To w Bielsku Podlaskim też powstało z pragnień rodziców, czy bardziej dziadków, siedem lat temu. Cieszy się dużą popularnością wśród prawosławnych. Katolicy też posyłają do niego dzieci. W tym roku szkolnym to samo bractwo – św. św. Cyryla i Metodego – założyło przedszkole w Hajnówce.



O. Paweł Szwed: – Uczyłem dzieci w publicznej szkole podstawowej. Tam bardzo wyraźnie widać religijne wychowanie dzieci w domu, zwłaszcza jeśli rodzice regularnie uczęszczają do cerkwi, śpiewają w chórze. Jeśli rodzice nie położą fundamentu pod religijne wychowanie dziecka, to my jako duchowni czy katecheci za wiele nie zdołamy uczynić. W dziecko jest wpisany wzorzec rodzinny.

Eugeniusz Czykwin: – Zwracam się do młodych dyskutantów. Należycie do pokolenia wyżu demograficznego. W cerkwiach tego wyżu za bardzo nie widać. Jak to postrzegacie?



Dariusz Sulima: – Na pewno jest nas w cerkwi, czy na spotkaniach bractwa, niewielki procent. Przyczyny? Pytam młodą dziewczynę – dlaczego nie byłaś w piątek na spotkaniu bractwa? – Darek – odpowiada – najpierw kariera, później Bóg. Codziennie mam od ósmej do piętnastej zajęcia w szkole, co drugi dzień po szkole angielski, bo chcę studiować na Oxfordzie albo innym renomowanym uniwersytecie. Do cerkwi kiedyś przyjdę. Ta dziewczyna pochodzi z bardzo religijnej rodziny, co niedziela przychodzącej do cerkwi. W pierwszej klasie liceum zadałem, jako katecheta, pytanie – jak widzicie swoje miejsce w Cerkwi? Dwóch chłopców, *prisłużników*, odpowiedziało – może pójdziemy do seminarium, dwie dziewczyny – jedna z Siemiatycz, druga z Gródka, że nie widzą dla siebie miejsca w Cerkwi. One ze trzy razy w roku chodzą do cerkwi – na Paschę, *Kreszczenije* i na Spasa jadą na Grabarkę.

Od sześciu lat jestem przewodniczącym parafialnego bractwa. Moje pokolenie, które teraz z bractwa odchodzi, niemal w całości wyjechało za granicę. Pojawią się w cerkwi na Antoniuku kilka razy w roku, gdy przyjadą do rodziców. Moi koledzy mieszkają w Brukseli, Londynie, we Włoszech. Nieco starsi jeszcze się przytrzymują w Białymstoku, oczywiście nie wszyscy. I oni tworzą grupę 30+. Chwała im za to. Mają przy parafii regularne spotkania. Najmłodsze pokolenie, które by coś chciało zrobić dla Cerkwi, napotyka na barierę. W tygodniu się uczy, a w weekendy jakże często już pracuje. Ich nie ma w cerkwi. A ja chcę mimo wszystko mieć z nimi kontakt. Zapraszam w piątek na spotkanie bractwa. Przychodzi z pięćdziesiąt osób. I wiem, że ich w niedzielę w cerkwi nie spotkam. Takie życie. Żeby kontakty podtrzymywać, organizuję wyjazdy. W ubiegłym roku byliśmy w Grodnie, dwa lata temu w Żyrowicach. Wiem, że na wszelkie możliwe sposoby trzeba być z młodymi, po to by – jak mówię – nie sprzedali swojej wiary za kawałek opłatka.

Anna Choruży: – W szkole, w której prowadzę zajęcia z katechezy, uczniowie już od drugiej klasy pracują jako kucharze czy kelnerzy. Mogą pracować w weekendy. Ale są oni w wieku, w którym się szuka drogi do Boga, do cerkwi. Zawsze im powtarzam – wyjeżdżając do wkacyjnej pracy w kraju czy za granicą, zawsze szukajcie cerkwi. Ich trzeba uczyć, jak ważne jest prawosławie. Cieszy mnie, gdy dziewczyna po wakacjach informuje, że w Niemczech odnalazła cerkiew i grecką, i rosyjską.

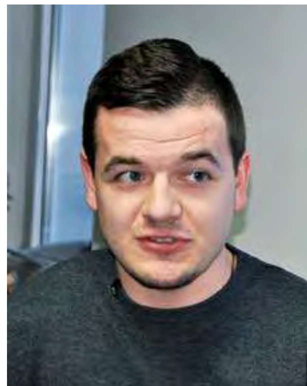
O. Piotr Makal: – Czy naszym celem jest tylko, żeby ci młodzi ludzie pozostawali w jakiejś zorganizowanej grupie, na przykład bractwie? Wtedy za trzy pokolenia nikt do cerkwi nie zajrzy. Rodzice wożą dzieci na angielski, balet, piłkę nożną. Pragną ich rozwoju. A rozwój duchowy? Ilu młodych pojawia się na Liturgii?

O. Piotr Pietkiewicz: – Młodzi ludzie nie są obojętni. Różne sprawy im przeszkadzają, ale czują więź z Cerkwią i zachowują wiarę. Ja bym tak nie dramatyzował. Nie jest źle. Trzeba na to spojrzeć szerzej. Rynek pracy stawia wysokie wymagania – nieraz potrzebę zdobycia wykształcenia na kilku kierunkach. Młodzi są zapracowani i

nie zawsze są w stanie uczestniczyć w życiu liturgicznym. Pobożności nie należy mierzyć obecnością w cerkwi. Wydaje mi się nawet, że teraz jest lepiej niż kiedyś. Teraz ludzie więcej się modlą, częściej uczestniczą w sakramentach, więcej czytają duchowej literatury.

Lucja Niemierowicz: – Cenię młodzież. Widzę jak moja córka i inni młodzi ludzie z zarządu centralnego bractwa wiele pracują społecznie, organizując różne akcje, spotkania, obmyślając przez dwa dni, jak zmienić plan majowej pielgrzymki na Grabarkę. Moje pokolenie, gdy byłam w wieku córki, spotykało się w soborze św. Mikołaja. Teraz przy wszystkich cerkwiach, we wszystkich parafiach.

O. Piotr Pietkiewicz: – Kiedyś spotykało się przy jednej cerkwi 40-50 osób, teraz może z tysiąc przy różnych parafiach. Kilka tysięcy chodzi w Białymstoku w szkołach na religię. To naprawdę inna skala niż kiedyś.



Maciej Owsiejczuk: – Ale młodzi, jeśli wyjeżdżają z rodzinnego miasta, starają się znaleźć cerkiew w innym mieście, na przykład mój znajomy w cerkwi w Olsztynie śpiewa w chórze.

Dariusz Sulima: – Młodzieżowy chór katedralny w Warszawie opiera się głównie na młodzieży z Białegostoku. Spotkałem w nim siedem osób jedynie z parafii Świętego Ducha.

Anna Radziukiewicz: – A harcerze?

O. Piotr Pietkiewicz: – O nich można mówić tylko dobrze. Marta Całpińska, niegdyś przewodnicząca centralnego zarządu bractwa, teraz posłusznica w monasterze w Zwierkach, rzuciła ziarno.



Piotr Giegiel: – Mamy już pięć jednostek harcerskich, współdziałających ze sobą. 95 procent w nich to młodzież prawosławna. Kształcimy od najmłodszych, czyli od szkoły podstawowej. Od pierwszej do trzeciej klasy to są zuchy ze szkoły św. św. Cyryla i Metodego. Drużyny harcerskie tworzymy z uczniów od klas czwartych do szóstych szkół podstawowych. Starsi harcerze to gimnazjaliści, uczniowie szkół średnich i studenci. Teraz założyliśmy krąg wychowawców tej harcerskiej młodzieży. Spotykamy się regularnie, dokształcamy. Marta Całpińska osiem lat temu założyła pierwszą drużynę harcerską. Liczyła dziesięć osób. W ciągu trzech lat nasze prawosławne harcerstwo rozrosło się do 60 osób i rozrasta się nieustannie, zyskując w prawosławnym środowisku dużą popularność.

Anna Radziukiewicz: – Skąd ta popularność?

Piotr Giegiel: – Do harcerstwa posyłane są głównie dzieci rodziców, którzy sami przeszli harcerskie wychowanie. W naszych drużynach nie możemy zrezygnować z idei harcerstwa na rzecz tylko prawosławnego wychowania. Jedno z drugim łączymy, pozostając w duchu prawosławnym. Podczas wyjazdów dzieci same codziennie czytają na zmianę w cerkiewnosłowiańskim modlitwy poranne i wieczorne. Uczestniczą w Liturgii, gdy nie ma w pobliżu cerkwi, w polowej. Przyjeżdża wtedy na obóz nasz kapelan o. Jan Kiryluk i służy Liturgię. Letnie obozy organizujemy, dotychczas mieliśmy ich sześć – w Opartowie koło Rajgrodu. Są i zimowiska. Każdego roku proponujemy obóz i rekolekcje podczas zimowej świątecznej przerwy. Rekolekcje cieszą się większą popularnością. Odbywają się od pięciu lat na Świętej Górze Grabarce. Trwają cztery-pięć dni.

O. Piotr Pietkiewicz: – Uważam, że bardzo ważne są wyjazdy integracyjne, to co robią harcerze. Młodzi powinni czuć wspólnotę i to, że od nich coś zależy. Stąd taki sukces bractwa na Antoniuku. Młodzieży potrzebna jest modlitwa, katecheza, ale i wspólne pójście na lodowisko, kręgle, zawody sportowe czy spływ kajakowy. Jakaż to piękna inicjatywa profesora Jana Kochanowicza, organizatora kajakowej pielgrzymki z Gródka do Supraśla po rzece Supraśl 8 i 9 sierpnia. Co roku ze swoją młodzieżą biorę w tej wodnej pielgrzymce udział. Ta młodzież bardzo dobrze ze sobą się czuje.

O. Piotr Makal: – Ale spotkania paschalne młodzieży na Grabarce, idąc tym tropem, powinny gromadzić coraz więcej młodzieży. A jest chyba odwrotnie.

O. Piotr Pietkiewicz: – A może dlatego, że pojawiły się nowe formy spotkań, bardziej kameralne, jak choćby obozy harcerskie, które bardziej integrują młodych? Moja córka wróciła z obozu harcerskiego. Poznała nowych ludzi. Chce się z nimi spotykać na zbiórkach, spotkaniach bractwa. Te kontakty są bardzo cenne. Są one utrzymane w klimacie naszej tradycji. Pamiętajmy, że młodzi niekoniecznie przychodzą na spotkania dla duchownego, by od niego coś mądrego usłyszeć. Oni chcą być ze sobą.

O. Paweł Szwed: – Niektórzy mówią o kryzysie w pracy z młodzieżą, a takiego nie ma. Mamy potencjał w naszej młodzieży. Niedawno mieliśmy spotkanie z członkami zarządów bractw diecezjalnych. W każdej diecezji są obecnie zarządy bractwa i działają aktywnie. Ważne jest, aby interesować się i aktywnie pracować z młodzieżą. Dużą wagę do pracy z młodzieżą przykłada biskup przemysko-gorlicki Paisjusz i widać już tego efekty. W najbliższy weekend (rozmowę prowadziliśmy 7 lutego) zbierze się w Krakowie 120 młodych ludzi z okazji światowego Dnia

Młodzieży Prawosławnej, głównie z diecezji łódzko-poznańskiej i przemysko-gorlickiej.

Eugeniusz Czykwin: – Dorośli łaskawiej patrzą na młodzież, a sama młodzież dostrzega w swoim środowisku wiele problemów?

Maciej Owsiejczuk: – Problemem bractwa jest brak liderów. Harcerstwo jest bardziej rygorystyczne, uczy dyscypliny i samodzielności, ma sporo liderów. Dysponuje całym ciągiem wychowawczym, od zucha pierwszoklasisty, po harcerza studenta. Bractwo tego nie ma. U nas pojawiają się ludzie na kilka lat, potem znikają. Brakuje naturalnego długofalowego procesu pozostawania w organizacji.

Dariusz Sulima: – Nikt nie chce zostać liderem. Młodzi teraz bardzo boją się krytyki, czy nawet zwykłej podpowiedzi. Skrytykujesz i słyszysz – ok, nie będę się wtrącał. Takiego nie zaangażujesz już do żadnych działań.

Anna Radziukiewicz: – Brak umiejętność przyjmowania krytyki, jest objawem duchowej niedojrzałości.

Dariusz Sulima: – Nie wiem, jak wyłaniać liderów. Jednemu bratczykowi powiedziałem – będziesz moim zastępcą. I już więcej go nie zobaczyłem. Młodzi nie chcą do niczego się zobowiązywać.

Eugeniusz Czykwin: – Chcę postawić inny problem. W moim pokoleniu istniała wśród prawosławnych dość powszechna tendencja do ukrywania swojej białoruskości czy prawosławności. O. Serafin Żeleźniakowicz mówił kiedyś, że niektórzy prawosławni, idąc Lipową, przechodzili na jej drugą stronę, by nie przechodzić obok cerkwi. Bo a nuż ktoś pomyśli, że są prawosławni i zmierzają do cerkwi.

Lucja Niemierowicz: – Teraz tego nie ma. Nieraz widzę, jak młodzi żegnają się w autobusie, przejeżdżając obok cerkwi.

O. Piotr Pietkiewicz: – Młodzi są teraz bardziej świadomi swojej wiary. Nieraz, gdy idę ulicą, podchodzą do mnie młodzi ludzie z prośbą o błogosławieństwo. Albo siedzę w maturalnej komisji i maturzysta przed komisją i kolegami prosi: „Batiuszka, pobłogosławcie".

Anna Radziukiewicz: – Czyli została wykonana duża edukacyjna praca. Broń wstydu, jakiej używano wobec prawosławnych, Ruskich, co najmniej od szesnastego wieku, była wszak potężna.

O. Piotr Pietkiewicz: – Myślę że wstyd nie jest dzisiaj problemem grupowym, tylko indywidualnym. To znaczy że mogą się wstydzić tylko pojedyncze osoby, które nie znają przebogatej tradycji i kultury prawosławia.

Anna Chorużу: – Dla mnie jako katechetki, najważniejszym zadaniem jest doprowadzenie do tego, by uczniowie polubili prawosławie i cenili je. By uświadomili sobie, ze jest to skarb, który przekazali im rodzice i dziadkowie. By nie było im obojętne, gdzie wezmą ślub – w cerkwi, czy kościele i w jakiej tradycji – prawosławnej czy rzymskokatolickiej będą wychowywać dzieci. Moją radością jest, gdy dziewczyna, która na początku wykazywała wobec Cerkwi zupełną obojętność, na koniec stwierdza – tak, ślub w cerkwi, dzieci wychowywane w Cerkwi.

Eugeniusz Czykwin: – Czy młodzież szuka autorytetów wśród duchownych?

Maciej Owsiejczuk: – Tak. Wśród duchownych, ale autorytetem może być i katecheta. On jest najbliżej młodzieży.

Dariusz Sulima: – Zasada w parafii jest taka, że zwykle proboszcz deleguje do pracy z młodzieżą najmłodszego duchownego, a taki nie musi być dla niej autorytetem, ani nie musi mieć zdolności do takiej pracy.

O. Paweł Szwed: – Od roku jestem duchowym opiekunem Bractwa Młodzieży Prawosławnej. Zorganizowałem w Warszawie spotkanie z duchownymi, parafialnymi opiekunami bractw. Przybyło 32 duchownych. Z ankiety, jaką przeprowadziłem wśród tych duchownych, wynika jasno, że jeśli proboszcz wspiera pracę duchownego, będącego opiekunem młodzieży w swojej parafii, to koło bractwa prowadzi ożywioną działalność. I tak jest w parafii na Antoniuku w Białymstoku, w Orli, w parafiach w Bielsku Podlaskim.

Anna Radziukiewicz: – Zapytajmy o finanse? Czy młodzież ma pieniądze na prowadzenie działalności?

Lucja Niemierowicz: – Młodym bardzo brakuje pieniędzy. Moje pokolenie zarabiało na działalność bractwa, organizując duże bale karnawałowe na trzysta osób w stołówce Uchwytów, zabawy zapustowe, choinki dla dzieci. Robiliśmy ikonki – wydruki kleiliśmy na deskach i lakierowaliśmy je. Sprzedawaliśmy. Mieliśmy pieniądze. Teraz na tym nie da się zarobić. Tę sferę przejęły specjalistyczne firmy.

O. Piotr Pietkiewicz: – Kiedy robię dla młodych wycieczki, na przykład wyjazd na ognisko, płacą symbolicznie, po 5-10 złotych. Wsparcia szukam wśród znajomych, bogatszych ludzi, w firmach.

Dariusz Sulima: – Dziś rozmawiamy głównie o młodzieży z domów prawosławnych, a nie mówimy o tej z rodzin mieszanych wyznaniowo. A takiej jest bardzo dużo i będzie coraz więcej. Na spotkaniach bractwa na 15 gimnazjalistów, 14 pochodzi z rodzin mieszanych. Co to dla nas znaczy? Często blokadę dla cerkiewnej aktywności córki czy syna ze strony na przykład mamy katoliczki. Dlaczego nie jedziesz na majową Grabarkę? – pytam. – Mama nie puszcza – pada odpowiedź. Mama jest katoliczką. Dzwonię do tej mamy. Nie pozwala na wyjazd.

O. Piotr Pietkiewicz: – Naszą rolą jest stworzenie warunków do pracy z młodzieżą, danie jej możliwości na zasadzie „przyjdź i zobacz". Wiara jest bardzo prywatną sprawą. Gdy za dużo w niej narzucamy, możemy uzyskać efekt odwrotny do zamierzonego.

Eugeniusz Czykwin: – Musimy na kwestię wiary spojrzeć też w kontekście jej kryzysu w Europie.

O. Piotr Pietkiewicz: – Przy takich tendencjach odchodzenia od wiary w krajach europejskich, ale też i w Polsce, w naszej Cerkwi naprawdę nie jest źle. Nas starszych nikt nie zwolni z odpowiedzialności za wychowanie młodzieży.

– Dziękujemy bardzo za udział w dyskusji.

Opracowanie dyskusji
Anna Radziukiewicz

1%

KRS 0000106814

Dar dla Przeglądu Prawosławnego

Bardzo tego daru od naszych Czytelników potrzebujemy. Jest on ważną, być może najważniejszą, częścią naszego budżetu.

Żadne pismo kierowane do mniejszości narodowych nie utrzymuje się tylko z dochodu ze sprzedaży – nakład jest za niski. Wspiera je dotacjami Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji. W tym roku, po latach zmniejszania dotracji, odmówiono nam jej całkowicie. Złożyliśmy odwołanie.Do chwili zamknięcia numeru nie wiedzieliśmy, czy możemy liczyć na dotację i w jakiej wysokości.

Przypomnijmy, że ministerstwo wspierało nie „Przegląd" jako taki, a nasz dodatek „Sami o Sobie".

Jesteśmy za nie ministerstwu wdzięczni i wciąż liczymy, że Przegląd będzie oceniany tak jak i inne pisma kierowane do mniejszości, to znaczy bez dzielenia naszych publikacji na „wyznaniowe" i „narodowe".

Od naszych Czytelników otrzymaliśmy w 2016 roku 66 244 złotych. Kupiliśmy za nie, jak zawsze, papier na cały rok.

Dziękujemy za każdą, najmniejszą nawet, wpłatę. Takie gesty pozwalają nam trwać i podtrzymują nadzieję, że dobrze Wam, nasi Czytelnicy, służymy.

Spasi Hospodi!

Z LISTÓW ŚW. NIKOŁAJA VELIMIROVICIA

Inspektorowi skarbowemu Marko N. o wychowaniu starych i młodych

Pisze Pan o swojej miłości do dzieci ze względu na okazywaną przez nie wdzięczność, która u osób starszych jest dość przytępiała. Podaje Pan przykłady. Ja także wymienię chociażby jeden.

Izydor, metropolita petersburski, często opowiadał o tym, że jako dziecko musiał chodzić boso. Jakiś człowiek o imieniu Piotr zlitował się nad nim i kupił mu za pięć kopiejek *postoły* (łapcie) z kory lipowej. To małe dobrodziejstwo tak silnie utrwaliło się w pamięci Izydora, że później przez pięćdziesiąt lat, jako *świaszczennik* i władyka, wspominał podczas nabożeństw swojego dobroczyńcę Piotra.

Dalej pisze Pan, że właśnie z powodu tej miłości do dzieci Pan współczuje im, ponieważ nadeszły ciężkie czasy dla dzieci, dla duszy dziecięcej, dla charakteru dziecięcego. Zewsząd zgorszenie. Niepewności i sprzeczności jak zimne wiatry uderzają w dzieci w domu, w szkole, na ulicy. Nie tylko dlatego, że na lekcjach prezentuje się dzieciom całkowicie sprzeczne teorie o życiu, zachowaniu, rodzinie, ojczyźnie, ale wywołuje się w dzieciach zamieszanie podawaniem sprzecznych przykładów. Więc chciałby Pan, aby zostało wymyślone jakieś specjalne wychowywanie tylko dla dzieci, które ochroniłoby je przed współczesnymi grzechami i zgorszeniami.

Powiedział nam Chrystus: „Jeśli się nie odmienicie i nie staniecie jak dzieci, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego". Tak więc Chrystus podkreśla większą potrzebę wychowywania osób starszych aniżeli dzieci. Wskazuje sposób, w jaki starsi powinni być wychowywani. Bardzo prosty sposób – wzorując się na dzieciach. Ale i powiedział On również, w jaki sposób powinny być wychowywane dzieci. Znowu bardzo prosto: „Dopuśćcie dzieci i nie przeszkadzajcie im przyjść do Mnie". Niechaj tylko przyjdą do Chrystusa, a cała reszta będzie Jego dziełem. A jedynym zadaniem rodziców pozostanie, aby nie przeszkadzali dzieciom przyjść do Chrystusa.

Tak więc pozwólcie dzieciom zbliżyć się do Chrystusa i pozwólcie starcom zbliżać się do dzieci. W obecności Chrystusa, swojego największego Przyjaciela, dzieci nie tylko się nauczą, ale również będą silniejsze. Bowiem Chrystus nie tylko naucza, ale również daje obfitą siłę duchową, aby dzieci mogły wykorzystać to, czego się nauczą.

Chrystus jest Wieczną Młodością. Ta Wieczna Młodość przywołuje dzieci, aby dać im siłę, żeby nie postarzały się duchem, lecz na zawsze pozostały młode, żwawe i radosne. Jednymi słowy – mądrość wychowywania dzieci przez Chrystusa sprowadza się do tego, aby dzieci na zawsze pozostały dziećmi i nie przemieniły się w starców.

Przeciwieństwem tej mądrości jest szkolne, scholastyczne wychowywanie, które z całej siły stara się z dzieci jak najszybciej zrobić starców, aby im wskazać starców jako przykład, wpoić im starcze myśli do głowy, zmarszczyć im serca starczym sceptycyzmem i pesymizmem. Zamiast procesu, w czasie którego starcy stają się dziećmi – starcy od małego usiłują z dzieci zrobić starców. I w ten sposób ani sami nie wchodzą do Królestwa Chrystusowego, ani nie pozwalają dzieciom do niego wejść. Stąd głosy z różnych stron Europy, że młodzież jest w stanie rozpaczy.

Niechaj Chrystus pobłogosławi i odmłodzi europejską młodzież.

tłum. **Vladan Stamenković**

Listy Misjonarskie wydał hajnowski Bratczyk

O. Anatol Kiryk (senior) z matuszką Jeleną, córką Lalą i synem Tolikiem (juniorem)
Niżej lata seminaryjne jubilata, o. Anatol (junior) pierwszy z prawej, w górnym rzędzie

Za dni smutne i radosne dziękuję Bogu

Molebnem dziękczynnym, zakończonym uroczystym *Mnoga-ja leta*, parafia Wszystkich Świętych w Białymstoku uświetniła jubileusze swego długoletniego wikariusza, o. Anatola Kiryka. W nabożeństwie, któremu 29 stycznia przewodniczył arcybiskup Jakub, wzięło udział wielu duchownych, przybyli wierni i zaproszeni goście.

– Zebraliśmy się dzisiaj, by niczym Samarytanin z Ewangelii o uzdrowieniu dziesięciu trędowatych podziękować Bogu za wszystkie lata życia naszego drogiego jubilata – powiedział władyka, podkreślając że o. **Anatol Kiryk** obchodzi 80-lecie urodzin, 60 rocznicę święceń diakońskich i 55 kapłańskich. – Służbę kapłańską trudno jest nieść bez pomocy Boga, bez Bożej łaski – dodał. – A nic tak nie cieszy kapłana, jak dostrzeganie, że dzięki jego wysiłkom wierni nie oddalają się od Cerkwi, a przybliżają do Boga.

Tę służbę kapłańską o. Anatol Kiryk niósł najpierw na Warmii i Mazurach wśród wysiedlonej w ramach Akcji Wisła i ciężko doświadczonej ludności ukraińskiej, potem już w kilku parafiach na Białostocczyźnie, zawsze z dużym oddaniem.

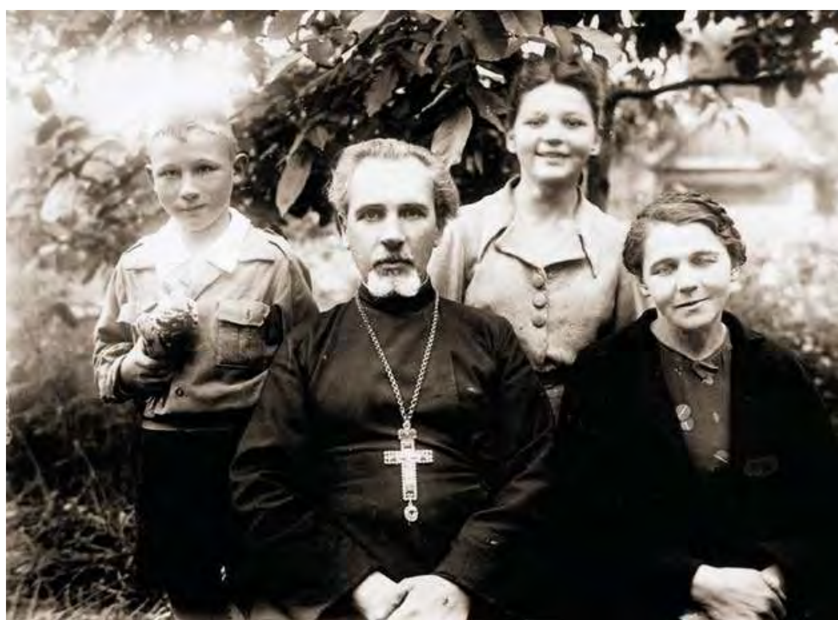
I za tę żarliwą służbę serdecznie podziękował jubilatowi w specjalnym liście metropolita **Sawa**, przekazując w prezencie krzyż z ozdobami.

Arcybiskup **Jakub** wręczył ikonę *Pokrowa Bożyjej Matieri*.

Do życzeń dołączyli duchowni i wszyscy zebrani.

O. Anatol Kiryk nie był pierwszym duchownym w swojej rodzinie. Duchownym był już jego dziadek o. **Konstanty Kiryk**, proboszcz parafii w Słonimie, trzej stryjowie i tata. Wszyscy czterej rozpoczynali posługę na Wileńszczyźnie i Grodzieńszczyźnie, a rewolucja i dwie wojny odcisnęły piętno na ich losach.

Najmłodszy ze stryjów, o. **Borys**, nie przeżył okupacji – zginął z rąk hitlerowców, którzy za opatrzenie rannego radzieckiego partyzanta żywcem wycięli mu krzyż na plecach. Drugi ze stryjów, o. **Paweł**, wieloletni sekretarz biskupa wileńskiego, zesłany przez sowietów do syberyjskich łagrów, przez dziesięć lat pracował przy wyrębie drzewa. Trzeci – o. **Włodzimierz**, po wojnie trafił aż do Kiniszmy, sto kilometrów na wschód od Moskwy.



Na Grodzieńszczyźnie pozostała jedynie ciocia **Ksenia**, matuszka o. **Borysa Pielichowskiego**, proboszcza katedralnego i dziekana grodzieńskiego, bo i tata jubilata, o. **Anatol Kiryk** (senior), opuścił rodzinne strony, docierając w ramach repatriacji na Białostocczyznę.

Papa swoją duszpasterską posługę rozpoczął już w latach dwudziestych.

Trudne to były lata dla naszej Cerkwi, targanej niepokojami związanymi z forsowaniem przez rząd autokefalii. Biskupi, którzy sprzeciwiają się tym planom, wśród nich władyka wileński **Eleuteriusz**, płacą wysoką cenę. W 1922 roku, na *kanunie* Pokrowy, tuż po *wsienoszczni* odprawionej w cerkwi wileńskiego monasteru Świętego Ducha, hierarcha zostaje aresztowany. Policjanci wiozą go do Krakowa, zamykają w klasztorze kamedułów, gdzie władyka, przed odesłaniem do Kowna, spędza cztery miesiące.

Prosi władze o możliwość *priczasz-*





Molebien dziękczynny w cerkwi Wszystkich Świętych
Niżej władyka Jakub wręcza jubilatowi ikonę Pokrowy

czeniaja – bezskutecznie. Wtedy o. Anatol Kiryk (senior) strzyże brodę i włosy i w kobiecym przebraniu, jako



pielgrzym, ze Świętymi Darami pod ubraniem dociera do klasztoru. Gdy pokazuje Święte Dary kamedułom – ci godzą się na *priczaszczenije* władyki (pisze o tym **Aleksandr Switicz** w książce „Prawosławna Cerkiew na Ukrainie i w Polsce w XX wieku").

W tym czasie o. Anatol Kiryk (senior) jest proboszczem cerkwi w Iże, później przychodzą kolejne parafie w Nowo-Wilejce i Trabach, rodzą się dzieci, trzy córki, a w 1937 roku syn Anatol (junior).

W Trabach batiuszka zaprzyjaźnia się z księdzem katolickim, **Rodźko**. – Anatol, źle się dzieje, wyzwoliciele nadchodzą – uprzedza go ks. Rodźko, gdy w 1944 roku nadciąga front. – Daję ci bryczkę, konie, pieniądze, uciekaj.

O. Anatol Kiryk został. I omal nie przypłacił tego życiem. Gdy szedł do cerkwi, drogę zastąpił mu niski rangą czerwonoarmista Kałmuk i chwytając za krzyż usiłował zadusić.

W 1944 roku batiuszka decyduje się na repatriację do Polski, dostaje dekret do Fast.

Zastaje parafię neounicką, wiernych prawosławnych, którzy jeżdżą do cerkwi w Choroszczy, oraz zbombardowaną podczas wojny część ołtarzową cerkwi. Remontuje świątynię, przywraca prawosławne nabożeństwo, do cerkwi wracają prawosławni wierni.

Ci, którzy nie mają gdzie mieszkać – zatrzymują się na plebanii.

W naszej Cerkwi trwają tymczasem duże niepokoje. Jedni duchowni, zgrupowani wokół o. **Wincukiewicza**, chcą przyłączenia do moskiewskiego patriarchatu, inni opowiadają się za autokefalią. W tej drugiej grupie jest władyka **Tymoteusz** oraz o. Anatol Kiryk. Wkrótce władyka powołuje o. Anatola na proboszcza soboru w Białymstoku, później na proboszcza *Preczystieńskiej* cerkwi w Bielsku Podlaskim. Tam, w 1949 roku, umiera jego matuszka, a dzieci, w tym dwunastoletni syn Anatol (junior), zostają półsierotami Na szczęście z pomocą przychodzi daleka kuzynka matuszki, **Nadieżda Prolisko**, uczestniczka powstania warszawskiego i więźniarka obozu w Ravensbrück (pochowana na cmentarzu na Woli w Warszawie).

O. Anatol Kiryk (junior), gdy dorośnie, pójdzie drogą dziadka, stryjów, ojca – zostanie duchownym. Święcenia kapłańskie przyjmuje w 1962 roku. Najpierw czeka go posługa duszpasterska na Warmii i Mazurach. W marcu 1966 roku umiera jego papa. Na łożu śmierci z pamięci powtarza całą Liturgię, potem *pokajannyje* modlitwy. A syn niebawem obejmuje parafie na Białostocczyźnie. Zaczyna od Kuźnicy Białostockiej.

W 1973 roku zostaje proboszczem parafii Podwyższenia Krzyża Pańskiego w Fastach. Zarówno cerkiew, jak i plebania wymagają remontu, a ponieważ parafia ma dużo ziemi, potrzebny jest nowy budynek gospodarczy. I jego budowa, i bieżący remont plebanii, do której wstawiono nowe piece, są zadaniem łatwiejszym. Kapitalny remont cerkwi, przy nieustannych brakach materiałów budowlanych, dużo, dużo trudniejszym. Udało się je zakupić dopiero w 1979 roku, remont rozpoczęto dwa lata później.

Jego zakres był ogromny. Najpierw wymieniono konstrukcję sklepienia, zbito stare i położono nowe tynki w środku cerkwi, na ścianach pojawiła się nowa, zrealizowana przez **Józefa Łotowskiego**, polichromia. Wykonano też specjalną platformę dla chóru, na który prowadziły kręte schody, położono nową instalację elektryczną, wstawiono elektryczne piece grzewcze. Potem zbito stare i położono nowe tynki na zewnątrz cerkwi, pomalowano dach, kopuły i krzyż, wykonano nowe schody do cerkwi.

– Zaangażowanie wszystkich parafian pamiętam do dziś – podkreśla o. Anatol Kiryk.

W parafii cały czas dwa razy w tygodniu prowadzone były lekcje religii.

O. Anatol Kiryk krótko obsługiwał parafię w Topilcu, był wikariuszem parafii św. Eliasza w Dojlidach, a od 1990 roku parafii Wszystkich Świętych w Białymstoku. Wierni zawsze lubili gorliwego, ciepłego batiuszkę. I choć od 2003 roku jest na emeryturze, stale służy w swojej cerkwi, opiekuje się parafianami.

– W życiu miałem więcej dni smutnych niż radosnych – przyznaje – ale za wszystkie dziękuję Bogu.

Ałła Matreńczyk
fot. **archiwum o. Anatola Kiryka**
Jarosław Charkiewicz



Pamiętam...

Dokończenie z poprzedniego numeru

Czerwiec 1944 roku. Front wschodni jest coraz bliżej Polesia. – Katoliccy i prawosławni duchowni z Pińska i Brześcia wyjechali nocnym pociągiem na zachód – rozeszły się wieści po okolicy. **Raisa**, która wkrótce podczas ewakuacji znajdzie się przejazdem w Warszawie, przekona się o tym osobiście. W metropolii warszawskiej, do której wbiegnie na kilka minut, potwierdzą: przy cerkwi na Podwalu zostali zakwaterowani władycy piński i poleski **Aleksander** oraz brzeski i kobryński **Gieorgij** (**Korenistow**) ze swym *kielejnikiem* **Aleksandrem**, o.o. **Jan Bekisz** i **Andrzej Łukaszewicz** z matuszkami.

Chociaż władyka Gieorgij jest jej kuzynem, a o. Jan Bekisz byłym proboszczem, Raja ma za mało czasu, by spotkać się z nimi osobiście. Przed nią dalsza długa droga. I Darmstadt z piękną cerkwią, zbudowaną z okazji ślubu cara Mikołaja II z księżniczką Hesji Alix, późniejszą carycą Aleksandrą Fiodorowną. I praca opiekunki do dzieci w wielodzietnej rodzinie państwa Fischerów. Pan domu **Wilhelm**, z zawodu kolejarz, zmobilizowany w końcu wojny, pełni służbę w Norwegii, pani domu **Anna** wychowuje czwórkę potomstwa – siedmioletnią córkę, pięcioletniego synka i dwuipółroczne bliźnięta. Raisa doskonale sobie radzi z dziećmi, zna bardzo dobrze niemiecki, jest zadbana, pracowita i energiczna. Anna Fischer szybko ją polubi. Gdy Raję boli ząb, zaprowadzi do dentysty, a ten przyjmie bez kolejki, odda bilet do teatru, pozwala na wypady w góry.

Pokaże też cerkiew. Nabożeństwa w pięknej świątyni, zaprojektowanej przez **Leontija Benois** (autora projektu m.in. soboru św. Aleksandra Newskiego na Placu Saskim w Warszawie), odbywają się raz w miesiącu, odprawia je stareńki batiuszka z Wiesbaden.

Podczas nalotów alianckich, 13 września 1944 roku, ginie 25 tys. osób. Ranny zostaje także ojciec Wilhelma, a wtedy dowództwo pozwala mu na dziesięciodniowy urlop. Rodzina chlebodawców jest w komplecie, o bezpieczeństwie może jednak tylko pomarzyć. Cały czas mieszka w budynku dworca kolejowego na drugim piętrze, a dworce nie przestają być celem alianckich ataków. W marcu 1945 roku Amerykanie przekraczają Ren. Lada moment wkroczą do Darmstadtu. Na wieść o tym cywile rozpaczliwie szukają schronienia. Fischerowie z Rają postanawiają ukryć się w tunelu pod nasypem kolejowym. Jest 23 marca, urodziny bliźniaków.

– A wie pani, tam są też Polacy – mówi do Rai pan Fischer, gdy z tłumokami spieszą do kryjówki.

Nie myli się. – Jesteśmy z Zawiercia i Leslau (Włocławka) – potwierdzają dwaj młodzieńcy. W tunelu jest ciemno, Raja tylko słyszy ich głosy. Nad ranem jeden z nich znów się odzywa, mówi, że z pobliskiego hotelu dobiegają głosy po angielsku. A więc Amerykanie są już w Darmstadt. Wszyscy jak jeden mąż postanawiają wyjść z tunelu. Raja potyka się na schodkach.

– Całą wojnę przeżyłam, a teraz tu się zabiję – mówi do siebie po polsku.

– O, to chyba ta dziewczyna z Polski – słyszy tuż po wyjściu na zewnątrz.

Przed nią stoją dwaj młodzi Polacy, przymusowi robotnicy. Jednym z nich jest **Stanisław Kwiatkowski**. Raja jeszcze nie wie, że wkrótce wyjdzie za niego za mąż.

Tymczasem Amerykanie w dawnych niemieckich koszarach organizują obóz byłych polskich jeńców wojennych oraz przymusowych robotników. Do tego obozu, który nazywa się Lwów, trafia Stanisław.

Raja, choć także została tam zameldowana, wolała pozostać u Fischerów. Podjęła pracę tłumacza w UNRRA i dzięki temu mogła przynajmniej trochę odwdzięczyć się swoim chlebodawcom. Tym bardziej, że Wilhelma znów nie było w domu – odbywał trzymiesięczną kwarantannę w amerykańskim obozie gdzieś w Bawarii.

Raja bardzo dobrze czuła się w tej rodzinie, nie chciała stąd wyjeżdżać. Najbliżsi zostali przecież za Bugiem, tu już miała pracę i przyjaciół. Stanisław, który po sześciu-siedmiu tygodniach znajomości jej się oświadczył, nie chciał nawet o tym słyszeć. Bez przerwy mówił o powrocie do Polski i ślubie. Był katolikiem, a Raja chciała wziąć ślub w cerkwi. Cerkiew w Darmstadt była nieczynna. Co robić?

17 sierpnia do obozu Lwów miał przybyć główny kapelan polowy armii Andersa, biskup **Gawlina**. Stanisław zaprosił Raję na tę uroczystość.

Było to bardzo podniosłe spotkanie. Z polskimi flagami, orkiestrą, byłymi polskimi jeńcami w amerykańskich mundurach i byłymi robotnikami przymusowymi w cywilnych ubraniach.

Obok biskupa Gawliny Raja ujrzała rosłego wojskowego w berecie i pelerynie. Gdy salutował, dostrzegła prawosławny krzyż i *panagiję* na jego piersi. – To nasz biskup – krzyknęła, chwytając narzeczonego za rękę.

Był to władyka **Sawa** (**Sowietow**), główny prawosławny kapelan Armii Andersa. Uśmiechnął się do Rai, pobłogosławił. Stanisław od razu postanowił z nim się spotkać, bo wciąż myślał, gdzie by tu wziąć prawosławny ślub, ale program wizyty władyki nie

Z lewej rodzina Fischerów, rok 1944, 10-letnia Tamara i 15-letnia Ewa z mamą, Nakło, rok 1963
Niżej Raisa (z prawej) i jej mąż Stanisław Kwiatkowski (z lewej) z rodzeństwem, Włocławek, Wielkanoc 1946 roku





przewidywał indywidualnych przyjęć. Przewidywał za to prawosławną Liturgię w pobliskim serbskim obozie byłych jeńców wojennych, która miała być odprawiona następnego dnia. Stanisław, który dowiedział się o tym później, skoro świt wyruszył z tą wiadomością i znajomym Serbem do narzeczonej i we troje na rowerach pospieszyli na nabożeństwo.

Obóz serbskich jeńców wojennych nie wyróżniał się niczym szczególnym. Barak, w którym odprawiano Liturgię, także. Przy wejściu flagi, polska, serbska i amerykańska, z dużą ikoną Świętej Trójcy nad nimi i portretem serbskiego króla Piotra pośrodku. Wewnątrz przenośny ikonostas, prestoł i żertwiennik, na środku analoj ze skrzyni z ikoną św. Sawy, skrzyneczki z piaskiem do stawiania świec. Wielu Serbów i niewielu, bo około trzydziestu, Polaków w amerykańskich mundurach.

Nabożeństwo odprawiał serbski duchowny, biskup Sawa stał po prawej stronie przed ikonostasem w mundurze generalskim z omoforionem, *panagiją* i krzyżem. Po *Otcze nasz* nastąpiła spowiedź ogólna. Potem *priczaszczenije.*

– Ochrzczona, prawosławna? – zapytał Raję po polsku władyka, który wyszedł z czaszą do wiernych z Polski.

– Tak.

Po Liturgii odprawiono molebien za pomyślność Serbii i Polski. Do krzyża Serbowie podchodzili do serbskiego batiuszki, pozostali do władyki Sawy.

– Pani jest z powstania? – zapytał Raję biskup. – Nie, z Polesia.

– Wie pani, że władyka piński i poleski Aleksander zmarł w amerykańskiej strefie?

Stanęła jak wryta, bo słyszała o tym po raz pierwszy.

– Proszę biskupa, a mógłby biskup udzielić nam ślubu? – Stanisław nie mógł przepuścić takiej okazji.

Władyka roześmiał się i odprawił ich do Wiesbaden. – Tam jest czynna cerkiew – powiedział.

Pojechali do Wiesbaden, była sobota. Odnaleźli cerkiew i dom batiuszki. Okazało się, że to on właśnie przyjeżdżał i odprawiał w Darmstadt. Teraz, mocno schorowany, leżał w łóżku. Raja ze Stanisławem prosili, żeby za tydzień udzielił im ślubu.

– Za tydzień nie wiem czy dożyję – na to duchowny – ale jutro miałbym jeszcze dość siły… Młodzi popatrzyli po sobie. Nie mieli ani odświętnych ubrań, ani świadków. Innego wyjścia też nie.

Następnego dnia deszcz lał od samego rana. W cerkwi okna wciąż były osłonięte czarnymi papierami, na marmurowej posadzce leżały, dla ochrony, trociny. Batiuszka poprosił dwóch przypadkowych mężczyzn o trzymanie koron. Raja w znoszonej garsonce, pamiętającej jeszcze gimnazjalne czasy, Staszek też w byle czym. I tak wzięli ślub.

Teraz czekał ich wyjazd do Włocławka. To centrum Polski. Raja, co tu ukrywać, bała się spotkania z tym miastem, przede wszystkim z rodziną męża.

– Pamiętaj, jeśli ktoś coś powie przeciwko prawosławiu, wyjdę choćby w środku nocy – ostrzegła męża.

Ten uspokajał ją jak mógł.

Miał rację. Do Włocławka dotarli głęboką nocą. Stanęli przed bramką, nacisnęli na dzwonek.

– Witacie nie tylko mnie, ale i moją żonę – Staszek przedstawił Raję.

Cała rodzina przyjęła ją niezwykle ciepło. Teraz familia była już prawie w komplecie. Bo choć wciąż czekali na **Jurka**, więźnia obozu koncentracyjnego, pojawił się kolejny jej członek. I to z żoną.

A ta po trzynastu dniach podróży marzyła tylko o tym, żeby się umyć.

– Dajcie ręcznik Rajeczce – poprosił Stanisław.

– To takie nazwisko? – zainteresował się teść. Wytłumaczyła, że to bardzo popularne, prawosławne imię.

– To ty Ruska? – Ruska.

Teść tylko bliżej podsunął się na kanapie, podkręcił wąsa i zaczął śpiewać: *Wo Władmirskom siele Władimiry żyli*. Jak się okazało, służył w carskiej armii. Lody puściły.

Raisa Kwiatkowska z metropolitą Sawą, Stanisławowo, rok 2008



W 1947 roku od mamy, która szczęśliwie przeżyła wojnę i pozostała w Łunińcu, Raja dowiedziała się, że biskup Gieorgij jest w Warszawie. Natychmiast do niego napisała, zaprosił ją do siebie. Niestety, spodziewała się dziecka i wyjazd trzeba było odłożyć.

W styczniu 1947 roku urodziła synka **Gieorgija**, żył zaledwie dziesięć dni. W tym samym, 1947 roku, w grudniu, przyszły na świat bliźniaczki. Jedna z nich zmarła jeszcze w szpitalu. Tak samo płakała przed śmiercią jak Gieorgij. **Ewa**, druga córeczka, okazała się silniejsza, przeżyła.

A do spotkania z władyką Jerzym doszło dopiero w lipcu 1952 roku.

Raisa pracowała już jako nauczycielka języka rosyjskiego, skierowano ją do Warszawy, na uzupełnienie dodatkowych egzaminów z historii ZSRR i partii. A w stolicy uchwalano nową konstytucję, otwarto właśnie trasę W-Z, odbywała się defilada… Dotarła do soboru, nie wiedząc że 22 lipca według nowego stylu przypada *prestolny prazdnik* katedry, dzień św. Marii Magdaleny.

To nie był koniec niespodzianek. W soborze *Apostoła* czytał znajomy inżynier z Łunińca **Michał Budźko**, Ewangelię diakon z Pińska o. **Aleksander Żuk**, służył biskup Gieorgij (Korenistow), obecny był jego wieloletni *kielejnik* Aleksander. Krótko mówiąc, niespodziewanie znalazła się wśród swoich.

Po nabożeństwie władyka zaprosił ją na rozmowę, ale prawdę powiedziawszy porozmawiała tylko z Aleksandrem. Biskup, ledwie skończył się oficjalny obiad, pospieszył na pociąg, odprowadziła go więc na Dworzec Wschodni. Wracał do Łodzi i tam na Piramowicza zaprosił Raję.

Raja, już jako matka dwóch dziewczynek – w 1953 roku urodziła drugą córkę **Tamarę** – skorzystała z zaproszenia po ośmiu latach, za to obecna była na nie byle jakiej uroczystości, bo sześćdziesięcioleciu władyki. Przedstawiła biskupowi swoje córeczki. Odtąd kontakty z władyką stały się częstsze. Biskup nieraz dzielił się troską o losy Cerkwi w Polsce, duże nadzieje wiązał z dwoma młodymi ludźmi – **Miszeńką** (obecny metropolita **Sawa**) i **Wanią** (arcybiskupem **Jeremiaszem**).

Tymczasem Raisa ustabilizowała swoją pozycję zawodową, po ukończeniu Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Bydgoszczy przez 33 lata wykładała na tej uczelni. Pracowała także w Zespole Szkół Elektrycznych.

W 1978 roku przeszła na emeryturę, zdała trudny egzamin dla pilotów wycieczek zagranicznych, zwiedziła całą Europę i część Azji z Taszkientem, Ałma Atą i Samarkandą.

Do Łodzi jeździła bardzo często, także wtedy, gdy po śmierci władyki Gieorgija jego następcą na katedrze łódzko-poznańskiej został biskup Sawa. Córki rosły. Ewa studiowała – ukończyła nauczanie początkowe, Tamara filologię rosyjską.

To od władyki Sawy, już jako biskupa białostockiego i gdańskiego, dowiedziała się o monasterze w Supraślu, o odbudowywanej jego głównej cerkwi, o międzynarodowych obozach młodzieżowych. Tamara, młodsza córka, od razu postanowiła tam pojechać.

– Mamo czuję się tu jak w raju – opowiadała Raisie przez telefon. Przyjechała na trzy dni, została na trzy tygodnie. Po powrocie z Niemiec do Supraśla dotarła też pani Raisa.

– Na tym obozie międzynarodowym bardzo nam się pani ze swoją znajomością języków przyda – przekonał ją do tego w liście biskup Sawa. Jeździła tam przez trzy lata. Razem z pozostałymi uczestnikami rozbierała ruiny XVI-wiecznej cerkwi, wyznaczając miejsce pod położenie kamienia węgielnego pod nową świątynię. W pierwszym roku wszyscy obozowicze mieszkali w dużym domu nad rzeką. Chłopcy na górze, dziewczęta na dole. Spali pokotem na ziemi. Także pani Raisa. – Myślałem że w lepszym miejscu umieszczą – tłumaczył biskup Sawa, gdy wizytował obóz.

Rok później było już lepiej. Została zakwaterowana w parafialnym domu, w którym urządzono punkt monasterski. Mieszkał w nim młody mnich **Miron**. Rozmawiała z nim całe noce, do świtu. Miała ponad 60 lat, była z krwi i kości prawosławna, a tak wiele dowiedziała się od młodego mnicha. Podziwiała jego niezachwianą pewność co do słuszności wyboru monastycznego życia, dar przekonywania do czynienia dobra, miłości i pomocy bliźniemu. – Te rozmowy bardzo ugruntowały moją wiedzę o prawosławiu – dziś przyznaje.

Płynęły lata. Córki założyły rodziny. Raisa została babcią **Oli**, **Marcina** i **Iwo**, prababcią **Wiktora** i **Julii**. Owdowiała.

Gdy ukończyła 80 lat, postanowiła sprzedać mieszkanie w Bydgoszczy i przenieść się do ukochanej wnuczki, Oleńki, do Wałcza.

– To była nieprzemyślana decyzja – wspomina. – Oleńka z mężem (potomkiem dońskich kozaków) szli do pracy, ośmioletni Wiktor do szkoły, ja zostawałam sama.

W Wałczu owszem była cerkiew, ale znajomości łatwo zawiera się w młodości, na starość jest to trudniejsze.

W domu nie miała nic wielkiego do roboty. – Babciu, napracowałaś się już dosyć, odpoczywaj – wyręczała ją w najdrobniejszych pracach wnuczka. Zostawały samotne spacery nad jeziorem, karmienie kaczek, książki. Za mało. Po śmierci przyjaciółki **Feli** czuła się jeszcze bardziej samotna, odejście kuzynów **Mikołaja** i **Michała** tylko pogłębiło ten stan.

Aż tu na rekolekcje przyjechał arcybiskup Jeremiasz. Opowiedziała mu szczerze, że rodzina traktuje ją bardzo dobrze, ale czuje wokół siebie wielką pustkę. Wspomniał o Domu w Cieplicach. „Wyjeżdżaj, wyjeżdżaj”, coś jakby ją olśniło podczas paschalnej Liturgii. Wyjeżdżać? Ale dokąd? Do Cieplic? Tam mogła spędzić co

najwyżej lato. Aż tu od znajomej pani **Lusi**, której przodkowie, Rosjanie, w połowie dziewiętnastego wieku przyjechali do budowy nowogieorgijewskiej twierdzy (Modlin), dowiedziała się o świeżo wyremontowanym prawosławnym Domu Opieki Betania w Stanisławowie.

– Czy dostanę oddzielny pokój, czy będę mogła wziąć własne meble, książki, pamiątki – od razu chwyciła za telefon. I bardzo się ucieszyła, bo usłyszała twierdzącą odpowiedź.

A że lepiej raz zobaczyć niż sto razy usłyszeć, już 6 maja 2008 roku razem z panią Lusią stanęły w Stanisławowie. Kwitły kasztany, wśród nich bielała cerkiew i piękny budynek Betanii. Było jak w raju. Rozpłakała się. – Nie, ja stąd nie wyjadę – błyskawicznie podjęła decyzję. Batiuszka **Andrzej Bołbot**, proboszcz i dyrektor placówki, zaproponował, by najpierw spędziła kilka dni. Posłuchała tej rady.

Dom po remoncie spełniał wszystkie wymagania unijne. Każdy pokój z własną łazienką, na stołach w jadalni obrusy i kompletne sztućce, a w kuchni pani **Ania** w białym, wykrochmalonym kitlu. Wszędzie schludnie i czysto.

– Gdzie ona tu zostanie, taka dama – mimo to personel wciąż nie był pewien jej ostatecznej decyzji. A ona została.

Jest tu od ośmiu lat i nigdy nie żałowała tej decyzji. Częstuje własnoręcznie przygotowanym ciastem i nalewką własnej roboty.

– Odczuwam rękę Bożą nad sobą – przyznaje. – I serdeczność otaczających mnie ludzi.

Tu w Betanii miała zaszczyt powitać patriarchę Jerozolimy **Teofila III**, porozmawiać z patriarchą Konstantynopola **Bartłomiejem**. W warszawskim soborze witała patriarchę moskiewskiego i całej Rusi **Kiryła**. W swoim pokoju w Betanii nieraz gościła metropolitę Sawę, także metropolitę Cypru **Chryzostoma**, przyjmowała dziennikarzy i literatów.

Czy poznałaby ich wszystkich w Bydgoszczy albo Wałczu?

Ałła Matreńczyk
fot. **archiwum Raisy Kawiatkowskiej**

Dzieło kniazia Ostrogskiego

Przywykło się uważać, że działalność kniazia Konstantego Wasyla Ostrogskiego (około 1526-1608) należy w całości do historii i kultury ruskiej, do dziejów ruskiego prawosławia. I to jest oczywiście prawda – zwłaszcza, gdy będziemy pamiętać, z jaką determinacją bronił kniaź wiary prawosławnej w dobie rozpoczynającej się reakcji katolickiej. Ale sprawa jest daleko bardziej złożona.



Rusin Ostrogski, syn hetmana wielkiego litewskiego **Konstantego Iwanowicza Ostrogskiego**, zwycięzcy spod Orszy, należał przez większość życia do elity możnowładczej Wielkiego Księstwa Litewskiego. A było to państwo, które wprawdzie w swym trzonie pozostało ruskie i w którym językiem urzędowym był język ruski, ale które równocześnie, w swej części północnej, było katolickie i łacińskie, które ulegało procesom polonizacyjnym, i które było złączone z Polską kolejnymi umowami (uniami) oraz wielkoksiążęcą dynastią Giedyminowiczów (Jagiellonów). Gdy zaś Litwę i Polskę zjednoczyła zawarta w roku 1569 w Lublinie unia realna, a ziemie południowej Rusi weszły w skład Korony Królestwa Polskiego, Ostrogski – jako marszałek ziemi wołyńskiej i wojewoda kijowski – wszedł do elity możnowładczej polskiej, stając się najpotężniejszym magnatem Korony, a może i Rzeczypospolitej, postrzeganym jako niemal suwerenny władca jeżeli nie całej Rusi, to na pewno Wołynia.

Wzrastał w epoce dwóch ostatnich Jagiellonów. Pochodził z generacji **Jana Kochanowskiego** – był o kilka tylko lat od niego starszy – w jakimś sensie był dzieciędem polskiego renesansu. Jak pisze krakowski slawista, **Tomasz Hodana**, słynął „z tolerancji religijnej, której śmiałość budziła czasem niepokój i oburzenie wśród jego konserwatywnych współwyznawców”. Ostrogskiego trzeba widzieć nie tylko na tle Rusi, ale na tle Litwy i Polski – Rzeczypospolitej Obojga Narodów, której przez krótki czas był jednym z filarów.

MIT OSTROGSKICH

W tym czasie, w następstwie przejęcia Rusi przez Polskę, kraj ten budził coraz większe zainteresowanie polskich humanistów. Dotąd – jak w dziełach Jana Długosza, czy Macieja Miechowity – podkreślano żyzność ruskiej ziemi, jej urodę i bogactwo. Teraz chodziło już także o ruską przeszłość, tradycję, nawet ruską odrębność. Tym samym musiał budzić zainteresowanie – symbolizujący tę tradycję i odrębność – ród Ostrogskich. Dlatego w wydanym w 1578 roku w Krakowie w łacińskim dziele *Sarmatiae Europeae descriptio* (*Kronika Sarmacyjej europejskiej*) **Aleksandra Gwagnina** pojawił się pogląd, jakoby Ostrogscy pochodzili od Rurykowiczów. Taki pogląd był wtedy nowością. W panegirykach, jakie w 1514 roku, po zwy-



Makieta XVI-wiecznego Ostroga

cięstwie pod Orszą, pisano na cześć ojca kniazia, podobnej genealogii nie zauważano.

Czyżby więc było to odkrycie? Nie, to był mit. Na temat pochodzenia Ostrogskich historycy spierają się do dzisiaj i choć teza o pochodzeniu od Rurykowiczów zadomowiła się w nauce, to przecież nie znaczy, by w XVI wieku te sprawy w ogóle badano. Chodziło o coś innego: ród Ostrogskich funkcjonował jako substytut Rusi – sławiąc go, sławiło się Ruś i prawosławie. W jakimś sensie robił to także **Maciej Stryjkowski** (skądinąd katolik) w swej napisanej po polsku, a wydanej w 1582 roku w Królewcu *Kronice polskiej, litewskiej, żmódzkiej i wszystkiej Rusi*. Zawierała ona opowieść o Rusi litewskiej (dzisiejszej Białorusi) i Rusi koronnej (dzisiejszej Ukrainie), w zasadzie natomiast pomijała Ruś moskiewską. Według Stryjkowskiego naród ruski był starszy od litewskiego, tym bardziej więc godzien był uznania i szacunku. Przedstawiając zaś wspólnotę polsko-litewsko-ruską autor chwilami pisał wręcz z perspektywy Rusi. Dlatego więc i on sławił Ostrogskich.

Również **Bartosz Paprocki**, w wydanych w Krakowie w 1584 roku *Herbach rycerstwa polskiego* doszukiwał się możliwie najstarszej genealogii Ostrogskich, toteż w swym zapale dochodził do samego legendarnego Rusa. Tak więc pod piórem wszystkich tych pisarzy tworzyła się w świeżo powstałej Rzeczypospolitej nowa jakość ideowa. „Program genealogiczny Ostrogskich/Zasławskich – pisze ukraińska badaczka, **Natalia Jakowenko** – bez wątpienia tworzył fundament tożsamości ruskiej jako równoważnej z polską, a równocześnie zupełnie wyraźnie «ściągał» niejednorodne terytoria Rusi-Ukrainy we wspólną przestrzeń wirtualnej władzy i «wspomnień historycznych»”.

MIT PRZEDMURZA

Pojawił się też inny jeszcze aspekt odrębności Rusi: jej heroizm. We wspomnianych *Herbach rycerstwa polskiego* napotkamy *Pieśń o Strusie*. Jej autorem był – wtedy już nieżyjący – **Mikołaj Sęp Szarzyński**. W wydanym w 1601 roku tomiku tego poety *Rytmy abo Wiersze polskie* znalazła się – obok tego utworu – także *Pieśń o Fridruszu*. Oba te polskie wiersze mówiły o zmaganiach z Tatarami, odbywającymi się na ruskiej ziemi: w przypadku pierwszym w 1571 roku „na Rastawicy”, czyli nad rzeczką w województwie kijowskim, w przypadku drugim w 1519 roku pod Sokalem nad Bugiem. Jak więc się zdaje, to u Sępa właśnie należy szukać pierwszych poetyckich realizacji *antemurale christianitatis* (przedmurza chrześcijaństwa) i mitu „kresowego”. Ale i u współczesnego mu autora *Threnów i rzeczy rozmaitych* (1597) **Adama Czahrowskiego** pojawiają się obrazy rycerskiego, „usarskiego” pogranicza, broniącego Rusi od najazdów. Pojawia się także pierwszy w polskiej literaturze wizerunek kozaka.

Równocześnie z tymi utworami powstał anonimowy *Epicedion to jest żałobny wirsz o zacnym a wiecznej pamięci godnym Książęciu Michale Wisniewieckim* [sic!]. Ten 24-kartkowy druk, wydany w Krakowie w roku 1585, uznawany jest obecnie za zaginiony, na szczęście na początku XX wieku przedrukował go w Kijowie badacz ukraiński, **A. W. Storożenko**, i dzięki temu tekst ocalał. Autorem *Epicedionu* był prawdopodobnie **Zdan Bielicki (Biłyćkyj)**, prawosławny szlachcic wołyński, sługa kasztelana kijowskiego, kniazia **Michała Wiśniowieckiego**. Swój utwór ułożył wkrótce po śmierci kniazia, a ukończył 1 stycznia 1585 roku w Nyżniej Biłce pod Krzemieńcem. *Epicedion* traktował o walkach Wiśniowieckiego z Tatarami, Turkami i Moskwą, przedstawiając „poddnieprską Ukrainę” wypełnioną tamtejszymi nazwami miejscowymi (np. Czerkasami) oraz opisami nieustannych wojaczek na „polach szyrokich”, a także kurhanami, od których po wiekach zaroi się w literaturze polskiej:

Więc też chęci osobne do pola miewali.
Polem więcej niż domem wiek swój zabawiali,
Szukający pohańców po polach szyrokich,
Pilnie straży trzymając z kurhanów wysokich.

Dzieło Bielickiego, pomijane bądź traktowane surowo przez historyków literatury, jest jednak znamienne jako powstały w języku polskim już w XVI wieku utwór prawosławnego Rusina. Zapewne pierwszego prawosławnego Rusina w literaturze polskiej, skoro inny Wołyniak, **Józef Wereszczyński** (około 1530-1598 lub 1599), był jednak katolikiem (rzymskokatolickim biskupem kijowskim), a swe prace wydawał co najmniej o kilka lat później. Opowieść Bielickiego o zmaganiach na przedmurzu chrześcijaństwa, jakim były kresy ukrainne Rzeczypospolitej, stanowiłaby więc pierwsze ogniwo łańcucha, w którym po latach znajdą się takie klasyczne utwory literatury polskiej, jak *Maria* **Antoniego Malczewskiego**, *Mohort* **Wincentego Pola** czy *Ogniem i mieczem* **Henryka Sienkiewicza**.

RUŚ OSTROGSKIEGO

W takiej rzeczywistości ideowej przyszło działać kniaziowi Ostrogskiemu. Natychmiast po przejęciu w roku 1576 Ostroga założył tu szkołę elementarną, którą około 1585 roku przekształcił w kolegium – zakład na średnim poziomie naukowym. Kolegium, kierowane przez rektora **Herasyma Smotryckiego**, dokonało w świecie prawosławnym prawdziwej rewolucji – obok greki i języka staro-cerkiewnosłowiańskiego wykładano tu także łacinę. A w przykolegialnej bibliotece gromadzono zarówno druki i rękopisy cerkiewne, jak też książki katolickie i protestanckie. Nigdy jeszcze światy kultury bizantyńskiej i łacińskiej nie znalazły się tak blisko siebie. Ten eksperyment niosła ze sobą konstrukcja polityczna Rzeczypospolitej, ale w tych latach ucieleśniał go najpełniej Ostrogski.

Z niedalekiego Dermania ściągnął kniaź **Iwana Fiodorowa** – drukarza przybyłego przed kilkunastu laty z Moskwy i tłoczącego dotąd druki cerkiewne w Zabłudowie i Lwowie. Fiodorow pojawił się więc w Ostrogu i w porozumieniu z kniaziem przedsięwziął najważniejsze dzieło swego życia. Najpierw jednak, już w roku 1578, wydrukował *Bukwar* [elementarz], skądinąd będący repliką wcześniejszej o kilka lat edycji lwowskiej. A 5 maja 1581 roku wydał tomik *Chronołohija* **Andrzeja Rymszy**. Ten kalendarz, napisany „prostą mową”, na podłożu potocznego języka białoruskiego, stał się *de facto* pierwszym ruskim utworem poetyckim. Ale cel pozostawał ambitniejszy – dziełem życia Fiodorowa miało się stać wydanie pierwszej pełnej Biblii w języku starocerkiewnosłowiańskim.

Ostrogski patronował temu przedsięwzięciu. Za pośrednictwem pisarza wielkiego litewskiego **Michała Haraburdy** dostał od cara **Iwana Groźnego** odpis tzw. *Biblii Gennadiuszowskiej*. Był to przekład dokonany w roku 1499 w Nowogrodzie Wielkim przez dominikanina chorwackiego **Beniamina**, na zlecenie miejscowego arcybiskupa, **Gennadiusza**. Inną Biblię słowiańską (choć chyba niekompletną) otrzymał równocześnie od papieża **Grzegorza XIII**. Fiodorowa ze współpracownikami wysłał do Stambułu i Włoch oraz do monasterów Mołdawii, Grecji, Serbii, Bułgarii i Krety, sam zaś skontaktował się ze zbiegiem z Moskwy, kniaziem **Andriejem Kurbskim** i poprosił go o biblijne konsultacje. Poszukiwania i konsultacje prowadził więc wszędzie – zarówno na Wschodzie, jak na Zachodzie.

Rezultaty nie dały na siebie czekać. Fiodorow po powrocie z wędrówek wydał w 1580 roku w Ostrogu *Psałterz* i *Nowy Testament*. Była to próba generalna, po której prace nad wydaniem całości Biblii mogły już ruszyć pełną parą. Ustalaniem tekstu zajmowali się przybyli do Ostroga Grecy, **Dionizy Rallu** i **Eustachy Nathanael**, natomiast ciężar prac spoczął zwłaszcza na **Herasymie Smotryckim** jako głównym redaktorze. Praca wydawnicza trwała ponad rok i ostatecznie 12 sierpnia 1581 roku księga ujrzała światło dzienne. Zatytułowana *Biblia sirecz knigy wietchago i nowago zawieta po jazyku słowiensku* liczyła 1256 stron i została zamknięta posłowiem Fiodorowa.

Biblia ostrogska była pierwszą w dziejach pełną, drukowaną wersją Pisma Świętego w tradycyjnym, w większości wolnym od ruskich naleciałości, języku starocerkiewnosłowiańskim. Stała się – pisze **Zoja Jaroszewicz-Pieresławcew** – „nie tylko najwspanialszym osiągnięciem szesnastowiecznego drukarstwa cyrylickiego ruskiego w granicach Rzeczypospolitej, ale i ważnym kultowo i kulturowo wydarzeniem w życiu narodów posługujących się językiem starocerkiewnosłowiańskim”. Uznana przez wszystkie słowiańskie Kościoły prawosławne, także w Mołdawii i Słowiańszczyźnie południowej, stanowiła przez ponad dwieście lat podstawowy wzorzec dla wszystkich Biblii tego kręgu kulturowego (np. dla Biblii moskiewskiej 1663 r.). Był to więc – po pierwszych na świecie drukach cyrylicą, jakie w 1491 roku pojawiły się w Krakowie – kolejny przypadek promieniowania na świat prawosławny kultury ruskiej z Polski (Korony Polskiej), z Rzeczypospolitej. Zdaniem **Iwana Ohijenki** (wybitnego filologa, zarazem prawosławnego metropolity Winnipegu i Kanady, Hilariona) Ruś koronna stała wówczas kulturalnie najwyżej ze wszystkich narodów prawosławnej Słowiańszczyzny.

RUSKIE I ŁACIŃSKIE

Czy Biblia ostrogska, mecenat kniazia i działalność Fiodorowa powinny wchodzić w krąg zainteresowań także historyka kultury i literatury polskiej? W pierwszym odruchu gotowi bylibyśmy udzielić na to odpowiedzi przeczącej. A jednak byłaby ona błędna. Powstająca w Rzeczypospolitej literatura ruska (tak jak np. literatura niemiecka) powinna być przez polonistę co najmniej zauważana – jako jedna z komponent kultury tego państwa. Powstaje przy tym kolejne pytanie – czyżby w sferę profesji polonistycznej miały wchodzić polskie Biblie protestanckie wydawane na dzisiejszej Białorusi (*Biblia brzeska*, *Biblia nieświeska*), a nie wchodzić już wydana na dzisiejszej Ukrainie starocerkiewnosłowiańska Biblia prawosławna? I czyżby miał wchodzić mówiący o Rusi XVI-wieczny poemat **Sebastiana Klonowica** *Roxolania*, a wchodzić nie powinno piśmiennictwo, które wprawdzie powstało w językach ruskim bądź starocerkiewnym, lecz w wielkiej swej części stanowiło zwierciadlane odbicie polemik religijnych, tworzonych po polsku przez Polaków, było na te polemiki bezpośrednią odpowiedzią, wreszcie – co najważniejsze – stało się punktem wyjścia dla literatury tworzonej przez Rusinów w języku polskim? Początki tego różnojęzycznego piśmiennictwa ujrzymy za chwilę, zapytajmy więc jeszcze, czy badacz literatury powstającej od pewnego momentu po polsku może abstrahować od jej początków, tworzonych po rusku? A czy wybór języka – często przecież jedynie sytuacyjny – powinien decydować o zaszeregowaniu narodowym? Czy więc (powtórzmy początkowe pytanie) *Biblia ostrogska* – w gruncie rzeczy jedyna z Biblii Rzeczypospolitej,



Biblia Ostrogska

której znaczenie przekroczyło granice tego państwa – ma być dla polonisty zjawiskiem obojętnym, nieznanym, obcym?

Wydarzenia, jakie u schyłku XVI wieku zachodziły w wołyńskim Ostrogu, zdają się raz za razem przeczyć takiej możliwości. Gdy bowiem w roku 1587 otwarto na nowo ostrogską drukarnię, fakt ten wykorzystał Herasym Smotrycki, reagując na dwa pisma jezuickie: na wydane w Krakowie w 1586 roku dzieło **Benedykta Herbesta** *Wiary Kościoła rzymskiego wywody i greckiego niewolstwa historia* oraz na opublikowany w Wilnie w 1587 roku traktat **Stanisława Grodzickiego** *O poprawie kalendarza*. Swą odpowiedź zatytułował Smotrycki *Kljucz carstwa nebiesnogo*, dołączył do niej satyryczny *Kalendar rimskij nowij* i wszystko to wydał w 1587 roku w Ostrogu. Tak więc pierwszy impuls do powstania tego ruskiego dzieła popłynął z piśmiennictwa polskiego. Odtąd taka kolejność stała się nieledwie regułą. Gdy bowiem zaraz potem przyszedł w sukurs Smotryckiemu **Wasyl Maluszycki** (Surażski), ogłaszając w Ostrogu w 1588 roku pracę *Kniżica* „*O jedinoj istinnoj prawosławnoj wierie*", to i on zareagował w ten sposób na piśmiennictwo polskie: na opublikowaną w Wilnie w 1577 roku słynną książkę Piotra Skargi *O jedności Kościoła Bożego*. Tak oto – zawsze w związku z literaturą polską – narodziła się w Ostrogu ruska literatura polemiczna.

Związkom takim sprzyjał klimat tego ośrodka. Na dworze kniazia przewijało się około dwóch tysięcy bojarów i szlachty, w tym także ludzi pióra. W zdecydowanej większości byli to Polacy, ludzie odlegli od prawosławia, protestanci, czasem katolicy. Nic więc dziwnego, że w tym kręgu zaczęła niebawem powstawać literatura również w języku łacińskim. Jednym z poetów kniazia był **Szymon Pękala** (około 1567- po 1616) – Polak z mieszczańskiej rodziny z Olkusza. Znalazł się on na Wołyniu nie później niż w roku 1595 i zapewne natychmiast przystąpił do tworzenia poematu *De bello Ostrogiano ad Piantcos cum Nisoviis libri quatuor* (*O wojnie ostrogskiej pod Piątkiem z Niżowcami ksiąg cztery*). Dzieło to, wzorowane na *Eneidzie* **Wergiliusza**, wydał w 1600 roku w Krakowie pod zlatynizowanym mianem *Pecalides*.

Temat był miejscowy (z dzisiejszej perspektywy można rzec: antyukraiński) – chodziło o powstanie kozackie **Krzysztofa Kosińskiego**, wyprawę przeciw niemu Konstantego Wasyla Ostrogskiego z synem **Januszem** oraz zwycięską dla obu kniaziów bitwę stoczoną 2 lutego 1593 pod Piątkiem. Władztwo Ostrogskich – nazwanych tu „monarchami" – zostało utożsamione z całą Rusią, a obok kolejnej pochwały rodu znalazły się także wyrazy uznania dla miasta Ostroga oraz jego ozdoby: szkoły „trójjęzycznej" (*Trilingue Gymnasium Ostrogianum*). W księdze III widzimy natomiast pierwszy w literaturze pięknej obraz taboru kozackiego. Nie samego kozaka, jak u Czahrowskiego, lecz całego taboru. *De bello Ostrogiano* stało się kolejnym utworem łacińskim, dokonującym niejako „fundacji" Rusi, nadającym jej status trzeciego, obok Korony i Litwy, składnika Rzeczypospolitej. A autor dzieła, jak puentuje Natalia Jakowenko, „znalazłszy się w kręgu mieszkańców Ostroga, istotnie Ruthenus factus – „stał się Rusinem". Jakiego wyznania był ów „Rusin" – tego nie wiemy.

POLSZCZYZNA PRAWOSŁAWNA

Unia katolicyzmu z prawosławiem, ogłoszona 23 grudnia 1595 roku w Rzymie, a podpisana przez ruskich władyków 20 października 1596 na synodzie w Brześciu, stała się dla świata ruskiego nie tylko psychologicznym wstrząsem, lecz także ideową rewolucją. Nie była to jednak rewolucja językowa. Zarówno strona unicka, jak prawosławna, pisały z początku w różnych językach. I tak jeden z twórców unii, władyka włodzimierski i brzeski, **Adam (Hipacy) Pociej** (1541-1613) opublikował anonimowo w 1595 roku traktat *Unija albo wykład predniejszych artykułow ku zodnoczeniju Griekow s kostelem rymskim należaszczych*, trzymał się więc ruszczyzny i cyrylicy. Natomiast zwalczający unię nauczyciel szkoły brackiej we Lwowie, **Stefan Zyzanija**, wydał swe *Kazanie św. Kiriła, patryjarchy jerozolimskiego, o Antychryście i znakach jego*… (Wilno 1596) w wersji cerkiewnej, ale i polskiej. Czyżby unici byli bardziej niż prawosławni przywiązani do języka ruskiego? Jak się przekonamy, wniosek taki byłby fałszywy.

Mimo to *Unija* Pocieja okazała się kamyczkiem poruszającym lawinę. W reakcji na nią strona prawosławna poczuła się zmuszona do odpowiedzi. Skoro jednak nie dysponowano tu wtedy polemistami na odpowiednim poziomie, sięgnięto po pomoc protestantów, których na dworze Ostrogskiego nigdy nie brakowało. Jednym z nich był Wielkopolanin **Marcin Broniewski**.

W 1597 roku wydał on w Krakowie (również anonimowo) relację z synodu odbytego przez prawosławnych, zatytułowaną *Ekthesis abo Krótkie*

zebranie spraw, które się działy na partykularnym, to jest pomiastnym Synodzie w Brześciu Litewskim. Była to praca niewielka, faktycznie broszura, przedstawiająca fakty z prawosławnego punktu widzenia. Ważne jest jednak co innego – o ile Herasym Smotrycki zainaugurował w 1587 roku prawosławną literaturę polemiczną w języku ruskim, to po dziesięciu latach Marcin Broniewski zapoczątkował ją w języku polskim. I to tym bardziej jeszcze, że zaraz po niej napisał pracę drugą – znacznie większą i poważniejszą – teraz polemizującą głównie z dziełem Piotra Skargi *Synod brzeski i jego obrona* (Kraków 1597). Obszerny (278 stron) traktat polemiczny *Apokrisis abo odpowiedź na książki o Synodzie Brzeskim* został wydany pod pseudonimem Christophorus Philaleth w Wilnie w tymże 1597 roku, skądinąd zresztą razem z wersją w języku cerkiewnym.

Apokrisis stała się najwybitniejszym dziełem polemicznym ruskiego prawosławia, choć w istocie – paradoksalną koleją rzeczy – broniła tej wiary przy użyciu argumentów głównie protestanckich. Ale bardziej niż którakolwiek inna praca miała znaczenie przełomowe – oto bowiem prawosławni Rusini zaczęli bronić swych racji po polsku. Pisał niegdyś **Józef Tretiak**, że była *Apokrisis* „nadzwyczajnym zjawiskiem w literaturze ruskiej, a także i w polskiej, utwór ten bowiem wyszedł w dwu językach i […] więcej ma prawa być zaliczony do literatury polskiej niż ruskiej". Według badacza, polszczyzna utworu jest „znakomita", toteż tym więcej jest dlań zastanawiające, że „historycy literatury polskiej nie zajmują się nim wcale". Słowa te nie straciły do dziś aktualności.

W każdym razie od wydania *Apokrisis* głosy polemiczne obu stron rozbrzmiewały już coraz częściej po polsku. Przeciw Philalethowi została skierowana rozprawa, którą prawdopodobnie – przynajmniej w głównej części – napisał Pociej. Wydał on ją najpierw po rusku (Wilno 1599), lecz zaraz potem także po polsku (Wilno 1600). Zadedykowana kanclerzowi Wielkiego Księstwa Litewskiego, **Lwu Sapieże**, nosiła w języku polskim tytuł *Antirresis abo Apologija przeciwko Krzysztofowi Philalethowi*, wszakże oprócz niego zwracała się przeciw samemu Ostrogskiemu. Dlatego kolejna polemika strony prawosławnej wyszła znowu z kręgu kniazia, tyle że tym razem została napisana po rusku. Były to traktaty *Otpis na list […] Ipatija wołodimirs'koho i berestejs'koho episkopa*, wydany w Ostrogu w 1598 roku, oraz *Istorija o listrikijskom to jest o razbojniczem florentijskom soborie*, opublikowany dwukrotnie: w latach 1598 i 1601. Ich autorem był do dziś nie zidentyfikowany kleryk z Ostroga (klirik ostrogski).

Natomiast unita Pociej przeszedł już wtedy całkowicie na język polski. Sam otwarty na kulturę Zachodu, uderzał w równie otwartego Ostrogskiego, uważał bowiem, że Ruś nie powinna sprzymierzać się z protestantyzmem:

Powiedzcież nam panowie oryjentalnicy,
Co wam złego działają wierni katolicy,
Że się bratać wolicie snadź z Arymanami,
Aniżeli z swoimi i z katolikami,
I traktaty czynicie przeciw katolików,
Buntujecie na swoich jawnych heretyków.

W każdym jednak razie to za przyczyną ich obu – Broniewskiego-Philaletha, piszącego z pozycji protestancko-prawosławnych, i Hipacego Pocieja, piszącego z pozycji katolickich – doszło w ostatnich latach XVI wieku do zjawiska niezwykłego – Rusini zaczęli coraz częściej toczyć swe wewnętrzne spory religijne w języku polskim. Ale pisząc po polsku, nie przestawali być Rusinami, polszczyzna pod ich piórami nabierała charakteru ponadnarodowego. Takie też było dziedzictwo, jakie pozostawił po sobie kniaź Ostrogski.

SCHYŁEK

Dorobek Ostroga nie przetrwał dłużej niż pół wieku. Drukarnia tłoczyła jeszcze przekłady patrystyczne: Bazylego Wielkiego (1594) i Jana Złotoustego (1595), publikowała *Czasosłowy* (1598, 1602), *bukwary* (1598) i *Oktoich* (1603-1604). **Demian Naliwajko** wydał w 1607 roku *Likarstwo na ospałyj umisł czołowiczij*. Jednak po śmierci w 1608 roku Konstantego Ostrogskiego działalność drukarni stopniowo zamierała – jej ostatni datowany druk, *Misjacesłow* i *Czasosłow*, pojawił się w 1612 roku.

Ostrogskie kolegium przetrwało dłużej i stale oddziaływało na ruski świat prawosławny. Powstała w 1590 roku szkoła bracka przy monasterze św. Szymona w Brześciu Litewskim uczyła już nie tylko starocerkiewnosłowiańskiego, ruskiego i greki, ale także łaciny i polskiego. Łacinę (obok greki) wykładano też od roku 1614 w Mińsku Litewskim (dziś białoruskim). Również powstałe w roku 1617 w wołyńskim Łucku bractwo pod wezwaniem Podniesienia św. Krzyża założyło w 1624 roku szkołę bracką – grecko-słowiańsko-łacińską. Takie było dziedzictwo kolegium ostrogskiego, choć ono samo po śmierci kniazia wyraźnie obniżyło poziom, a później już tylko wegetowało. Zakończyło działalność niepostrzeżenie, prawdopodobnie na początku lat 30. XVII wieku. W dobie triumfującej kontrreformacji okazało się niepotrzebne.

A jednak pozostał Ostróg symbolem otwarcia ruskiego prawosławia na Europę, Zachód i łacinę, na Polskę i świat. Wyznaczył drogę, na której niebawem znalazł się sam Kijów, bo przecież nie byłoby metropolity, św. Piotra Mohyły, ani Kolegium Kijowsko-Mohylańskiego, kształcącego elity prawosławne (również elity moskiewskie, aż do czasów Piotra Wielkiego), gdyby wcześniej na Wołyniu nie działał stary kniaź. Broniąc prawosławia, dokonywał zbliżania kultur, budował Rzeczpospolitą. Szkoda, że w swoim czasie nie docenili tego polscy katolicy.

Andrzej Romanowski

Prof. dr hab. Andrzej Romanowski pracuje na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk. Jest kierownikiem Katedry Kultury Literackiej Pogranicza UJ oraz redaktorem naczelnym Polskiego Słownika Biograficznego. Ostatnio opublikował rozmowę-rzekę z Lucyną Tychową „Tak, jestem córką Jakuba Bermana" (Kraków 2016).

O ofiarach pamiętamy

Przed rokiem w Hajnówce miał miejsce Marsz Żołnierzy Wyklętych. Kilkaset, w dużej części przyjezdnych, osób przemaszerowało główną ulicą miasta, niosąc banery z wizerunkami Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki" i Romualda Rajsa „Burego". Skandowano hasła: „Bury, Bury, nasz bohater", „Armio Wyklęta – Hajnówka o was pamięta", „Cześć waszej pamięci Żołnierze Wyklęci". Początkowo organizatorzy twierdzili, że marsz swoim patronatem objął prezydent Andrzej Duda, a manifestacja miała się zakończyć mszą w hajnowskim kościele. Przeciwko marszowi zaprotestowało wiele środowisk, w tym samorządowcy z Hajnówki. Ostatecznie kancelaria prezydenta podała, że patronatu nie było, nie było też zapowiadanej mszy. W tym roku rada miasta Hajnówki w specjalnej uchwale wyraziła sprzeciw wobec organizacji marszu, a burmistrz nie wyraził na niego zgody. Ostateczną decyzję podejmie sąd już po oddaniu do druku tego numeru Przeglądu Prawosławnego.

Trasa tegorocznego marszu miałaby przebiegać przez Rondo Arcybiskupa Mirona i obok soboru Świętej Trójcy w czasie, gdy będzie w nim sprawowane poprzedzające Wielki Post nabożeństwo w intencji przebaczenia win. W Hajnówce mieszkają rodziny, których bliscy zginęli w dokonanej przez Żołnierzy Wyklętych, na przełomie stycznia i lutego 1946 roku, pacyfikacji pięciu prawosławnych wsi. Zapewne także one będą 26 lutego w cerkwi Świętej Trójcy. Zmiana trasy i godzin marszu tak, by przebiegał on obok świątyni, w której prawosławni gromadzą się na szczególne, odprawiane raz w roku, nabożeństwo jest zamierzoną prowokacją nie tylko wobec rodzin, których bliscy zostali w bestialski sposób pomordowani przez Żołnierzy Wyklętych, jest także zamierzonym działaniem, mającym na celu wzbudzanie podziałów i konfliktów na tle religijno-narodowym.

Odpowiedzialność za ewentualne skutki tej prowokacji – przecież nie można wykluczyć także nieodpowiedzialnych reakcji ze strony ludzi, których uczucia są urażane – spada nie tylko na bezpośrednich organizatorów marszu – jednym z liderów ubiegłorocznego marszu był katecheta, nauczyciel religii katolickiej **Bogusław Łabędzki** – odpowiedzialność za burzenie atmosfery zgodnego współżycia katolicko-polskiej i prawosławno-białoruskiej społeczności na Białostocczyźnie ponoszą także historycy, publicyści, organizacje kombatanckie, redakcje pism i instytucje państwowe, które – angażując się w heroizację Żołnierzy Wyklętych – przekraczają granice, których nawet w najszczytniejszych celach przekraczać nie wolno. Tą granicą jest usprawiedliwianie zbrodni i próby obarczania współodpowiedzialnością za nie niewinnych ofiar.

Takich prób jest coraz więcej. Z reguły, gdy działania, służące gloryfikacji sprawców zbrodni, przy jednoczesnym obarczaniu winą ofiar, podejmują środowiska nacjonalistyczno-narodowe lub osoby pokroju wspomnianego katechety, nie reagujemy. Nie możemy jednak, choćby ze względu na pamięć o ofiarach, milczeć, gdy w działalność taką angażują się osoby z naukowymi tytułami, reprezentujące instytucje państwowe, finansowane z podatków płaconych także przez prawosławnych obywateli, w tym rodziny ofiar.

Pretekstem do kolejnych publikacji i wystąpień, w których autorzy usprawiedliwiają sprawców i usiłują wykazać winę ofiar, stał się wyprodukowany przez TV Biełsat film w reżyserii **Jerzego Kaliny** „Siaroża" (o filmie piszemy na str. 30). Krytycznie do filmu na portalu Kresy.pl odnieśli się m.in. główny specjalista w warszawskim oddziale Referatu Badań Naukowych Biura Edukacji Publicznej IPN dr **Wojciech Muszyński** oraz przedstawiany jako historyk, a w rzeczywistości z wykształcenia ekonomista, **Leszek Żebrowski**.

Kierownik Referatu Badań Naukowych OBEP IPN w Warszawie, dr **Kazimierz Krajewski** wraz z **Grzegorzem Wąsowiczem**, „adwokatem, zajmującym się przywracaniem pamięci o żołnierzach polskiego podziemia niepodległościowego z lat 1944-1954", opublikowali w czterech kolejnych numerach „Naszego Dziennika" (19-23 marca 2016 roku) obszerny tekst „Bohater tragiczny", w którym przedstawili swoją wersję wydarzeń związanych z dokonaną przez oddział **Romualda Rajsa** pacyfikacji pięciu prawosławnych wsi na przełomie stycznia i lutego 1946 roku.

Autorów tych publikacji, jak i całą rzeszę komentujących sprawę „Burego" internautów łączy sprzeciw wobec ustaleń śledztwa „w sprawie pozbawienia życia 79 osób – mieszkańców powiatu Bielsk Podlaski, w tym 30 tzw. furmanów w lesie koło Puchał Starych, dokonanych w okresie od dnia 29 stycznia 1946 roku do 2 lutego 1946 roku", przeprowadzonego przez prokuratora IPN w Białymstoku, **Dariusza Olszewskiego**, w którym czyny „Burego" określił jako „zbrodnię o znamionach ludobójstwa".

Ustalenia te burzą misternie budowaną mitologię Żołnierzy Wyklętych, stąd też wręcz histeryczne reakcje zaangażowanych w heroizację tych formacji historyków i części prawicowych publicystów.

Przypomnijmy: w prowadzonym przez trzy lata śledztwie prokurator przesłuchał 169 świadków i uwzględnił wszystkie dostępne dokumenty. Pozwoliło to – czytamy na stronie ipn.gov.pl – na uznanie wszystkich zdarzeń objętych zakresem śledztwa

za zbrodnie przeciwko ludzkości, popełnione w celu wyniszczenia części obywateli polskich z powodu ich przynależności do białoruskiej grupy narodowościowej, poprzez dokonanie i usiłowanie zabójstw oraz spowodowanie ciężkiego uszczerbku na zdrowiu, jak również dopuszczenia się poważnego prześladowania osób tej grupy przez spalenie należących do nich budynków mieszkalnych i zabudowań. Nie budzi wątpliwości, że odpowiedzialność za zbrodnię ponosi dowodzący oddziałem Romuald Rajs



ps. „Bury", który wydawał rozkazy rozstrzelania furmanów i dokonał pacyfikacji wsi białoruskich.

Postanowienia prokuratora Olszewskiego utrzymał w mocy Sąd Okręgowy w Białymstoku, który – rozpatrując 30 listopada 2005 roku zażalenia czterech pokrzywdzonych (spośród 80 osób, którym przysługiwały takie uprawnienia) – ocenił uzasadnienia decyzji procesowej jako „nieprzeciętnie wnikliwe", a odnosząc się do zawartej w nich argumentacji stwierdził, że „traktuje ją jako wręcz swoją".

Mimo tak jednoznacznych stwierdzeń prokuratury i sądu wspomniani historycy i eksperci na wszelkie możliwe sposoby je podważają, przy czym nie kwestionują faktów śmierci furmanów i mieszkańców spalonych wsi Zaleszany, Wólka Wygonowska, Szpaki, Końcowizna i Zanie. Ich głównym celem jest podważenie ustaleń śledztwa, mówiących że oddział „Burego" dokonał zbrodni na tle narodowo-religijnym, przy czym w opisywaniu czynów „Burego" unikają słów „zbrodnia" i „morderstwo". W obszernym artykule w „Naszym Dzienniku" „zamordowany" został jedynie skazany przez sąd Romuald Rajs, zaś jego ofiary albo „poniosły śmierć" w wyniku „niewykonania poleceń", albo (furmani) „zostały zastrzelone" za ich stosunek „do państwa polskiego i reżimu komunistycznego".

Próbując wytłumaczyć czy wręcz usprawiedliwić poczynania Romualda Rajsa wspomniani autorzy odwołują się do funkcjonujących stereotypów i mitów. Jednym z nich jest twierdzenie o nielojalności miejscowej prawosławnej ludności wobec państwa polskiego: „Ta sama ludność – twierdzi dr Muszyński – znana była niestety ze swojej nielojalności względem państwa polskiego – zarówno w 1939 roku, jak i w okresie powojennym", a Leszek Żebrowski uzupełnia tę wypowiedź: „W 1939 roku, gdy wchodzili Sowieci, dochodziło tam, podobnie jak ogólnie na ziemiach wschodnich, do antypolskich ekscesów. Uruchomiono sowiecką V kolumnę, która rozbijała pojedyncze grupy żołnierzy, oficerów, mordowano nauczycieli i policjantów. Dochodziło do mordów politycznych. Te wydarzenia miały miejsce również na tamtych terenach" [na terenie pacyfikowanych wsi – przyp. red.].

Ponieważ powielane zarzuty o nielojalności prawosławno-białoruskiej mniejszości wobec państwa polskiego rodzą, szczególnie wśród młodego pokolenia „prawdziwych Polaków", podejrzliwość, a nawet wrogość wobec swoich prawosławnych sąsiadów, warto przytoczyć kilka ważnych faktów.

Choć w polskiej historiografii udział w kampanii wrześniowej żołnierzy niepolskiej narodowości jest z reguły pomijany, istnieją na ten temat wiarygodne opracowania. W czasie mającego charakter konferencji posiedzenia Sejmowej Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych 24 września 2009 roku zaprezentowano przygotowane przez Centralne Archiwum Wojskowe dokumenty, a specjalizujący się w tym zakresie historycy przedstawili cztery referaty o postawach i udziale w wojnie 1939 roku przedstawicieli białoruskiej, ukraińskiej, niemieckiej i żydowskiej mniejszości. Z ogólnej liczby 34 milionów obywateli ówczesnej Polski ponad dziesięć milionów (blisko 30 proc.) miało inną niż polska narodowość (Białorusinów było około dwa miliony). Wszyscy mieli obowiązek służby wojskowej. Przez cały okres międzywojenny mniejszościom blokowano możliwości awansowania na stopnie oficerskie. Szkoły i kursy oficerskie zarezerwowane były dla Polaków. Według danych z 1930 roku wśród blisko szesnastu tysięcy oficerów do mniejszości zaliczono 65, co stanowiło 0,42 proc. ogółu oficerskiej kadry – Białorusinów w stopniu oficerskim było sześciu. Pod koniec lat 30. poborowi, należący do mniejszości, legitymujący się średnim wykształceniem i „nieposzlakowaną lojalno-

ścią wobec państwa polskiego" byli przyjmowani jedynie na dywizyjne kursy podchorążych rezerwy piechoty. Nie mogli jednak stanowić więcej niż 5 procent stanu ogółu kandydatów. Z tych 5 proc. dla Białorusinów zarezerwowano 0,5 proc. miejsc.

W ocenie zachowań mniejszości narodowych w czasie wojny 1939 roku wyróżnia się kilka elementów – po pierwsze reakcja na mobilizację i próby unikania wcielania do wojska lub dezercja, po drugie udział w walkach, po trzecie zachowania po wkroczeniu 17 czerwca 1939 roku wojsk ZSRR na wschodnie tereny Polski. Jak wynika z dokumentów, Białorusini, otrzymawszy karty mobilizacyjne, zgłaszali się do jednostek, a unikanie wojska lub dezercje były stosunkowo nieliczne. Świadczą o tym sprawozdania z marcowej mobilizacji 1939 roku. Najwięcej pozytywnych ocen zachowało się o postawie Białorusinów. I tak w rejonie Słonima (79 i 88 Pułk Piechoty) odnotowano „przychylny stosunek do działań mobilizacyjnych, nie zanotowano żadnych aktów sabotażu czy dywersji". Władze wojskowe postawą Białorusinów były pozytywnie zaskoczone, gdyż obszar ten był terenem intensywnej działalności Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi. Stawiennictwo rezerwistów do formacji na Nowogródczyźnie i Polesiu oceniono jako „nadspodziewanie dobre" (bez opóźnienia osiągnięto 90 proc.). Przypadki ignorowania mobilizacji z przyczyn politycznych były „względnie nieliczne", „nie dostrzegano też żadnych różnic w porównaniu z Polakami, jeśli chodzi o morale". W jednym powiecie, gdzie jedynie rezerwistom katolikom wydano broń, „zaprotestowali prawosławni". Białorusini – co odnotowały władze – ociągali się z oddawaniem wojsku koni i wozów, zdarzały się przypadki ucieczki do lasu z tego powodu. Był to jednak okres zbiorów i z tego powodu również postawy polskich chłopów były podobne.

O rezerwistach białoruskich wiele dobrego napisano w relacjach dowództwa 19, 22, 35 i 78 Pułków Piechoty. W sprawozdaniu tego ostatniego napisano, iż Białorusini i Poleszucy nie posiadają wyraźnego poczucia odrębności, nie dostrzeżono też żadnych różnic, w porównaniu z Polakami, jeśli chodzi o morale.

Wcieleni do wojska polskiego Białorusini wraz z polskimi kolegami podzielili tragiczny los żołnierzy września. Szacuje się, że wśród 70 tysięcy poległych, blisko osiem tysięcy stanowili Białorusini. Pozytywne oceny Białorusinom jako „odznaczającym się dużą ofiarnością" wystawili między innymi gen. **Juliusz Rómmel** (dowódca Armii „Łódź"), gen. **Władysław Anders** (dowódca Nowogródzkiej Brygady Kawalerii), gen. **Franciszek Kleeberg** (dowódca Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie"). W broniących Helu oddziałach Białorusini stanowili ponad 10 proc. Wśród nich znajdował się białoruski pisarz **Janka Bryl**. Białorusinów wymienia się w elitarnym gronie obrońców Westerplatte.

Choć w polityce przedwojennej Polski wobec mniejszości narodowych było wiele błędów, wyrządzono tym środowiskom wiele krzywd – tylko w maju-czerwcu 1938 roku na Chełmszczyźnie i południowym Podlasiu zburzono blisko 150 prawosławnych świątyń – to w godzinie próby wykazały się one – taka była zgodna ocena uczestników konferencji – lojalnością wobec państwa polskiego, czego świadectwem są nie tylko liczby poległych należących do mniejszości żołnierzy w kampanii wrześniowej, ale i cmentarze wojenne pod Lenino, Monte Cassino, w Bolonii i wszędzie tam, gdzie żołnierze polscy walczyli o wolność swojej ojczyzny.

Twierdzenie o jakoby mających miejsce w rejonie pacyfikowanych wsi mordach polskich oficerów, nauczycieli, policjantów, bez podania jakichkolwiek faktów, jest zwykłą nikczemnością. Podobnie nikczemne jest twierdzenie, że śmierć kobiet i dzieci to „tragiczny rezultat tego, jak toczyły się wówczas walki o wsie". „Taktyka walk o wsie – wyjaśnia dr Muszyński – polega na tym, że żołnierze przemieszczają się od chaty do chaty, kryjąc za ścianami i strzelając na oślep, w kierunku słabo widocznego wroga. Tam, skąd padały w ich kierunku strzały, z okien czy piwnic, wrzucano granaty". (...) Naukowiec zaznacza, że nie było żadnych mordów czy celowych egzekucji niewinnych kobiet i dzieci: „Jeżeli ktoś coś takiego utrzymuje, to znaczy że jest oszustem. Albo idiotą, który nie zna materiału źródłowego".

Przytoczmy więc relację świadka, który przeżył pacyfikację wsi Zanie (32 strona uzasadnienia postępowania prokuratorskiego). „Ma jedenaście lat i wraz z matką, dwiema siostrami i dwiema dziewczynkami z sąsiedniego domu, przy zgaszonej lampie, w zimową noc 2 stycznia 1946 roku jest w swoim domu w Zaniach. Wszyscy dygocą ze strachu, bo we wsi słychać krzyki i strzały. Ojciec z dwoma starszymi braćmi jest poza domem i nie wiedzą, co się z nimi stało.

Ktoś kopie w drzwi i matka każe wszystkim szybko się ubierać. Sama – pamięta, że to katolickie święto Matki Bożej Gromnicznej – zapala gromnicę, zdejmuje ze ściany ikonę i wszyscy wychodzą. Przed domem stoją już trzej żołnierze w polskich mundurach. Dwóch ma pistolety, trzeci karabin na ramieniu, a w rękach snopek słomy. Ten z pistoletem, najwyraźniej zaskoczony widokiem gromnicy i obrazkiem z Matką Bożą, pyta: – Wy katolicy czy prawosławni? – My Polacy – odpowiada matka. – Mówi prawdę? – żołnierz zwraca się do stojącej na ulicy kobiety katoliczki (w Zaniach przed wojną mieszkały cztery rodziny katolickie, wszystkie o pacyfikacji zostały uprzedzone i obawiając się, że ogień z płonących domów ich prawosławnych sąsiadów może się rozprzestrzenić, stały na ulicy ze spakowanymi rzeczami). Pytana kobieta zaprzecza. Żołnierz strzela i matka upada. Chłopiec odskakuje kilkanaście metrów w bok i rzuca się na ziemię. Widzi, jak żołnierze zaganiają jego siostry i sąsiadki do chałupy. Ten ze snopkiem po drabinie wbiega na strych i podpala snopek. Podkłada go pod słomianą strzechę. Żołnierze wychodzą i zamykają wejściowe drzwi na skobel.

Odchodzą. Chłopiec leży i obserwuje palący się dom. Widzi, jak oknem wyskakują przerażone dziewczyny. Jedna z nich, najstarsza, ma piętnaście lat, gdy zaczynają się dusić od dymu, wyrywa wstawione na zimę podwójne okno i wszystkie uciekają. Jedna z sióstr wychodzi później za mąż za chłopaka ze wsi, który także cudem przeżył tę straszną noc. Wraz



ze starszym mieszkańcem kazano mu położyć się na wiejskiej drodze. – Prawosławny czy katolik? – pada pytanie. Obaj odpowiadają, że prawosławny. Strzelają po dwa razy do każdego. Leżący obok mężczyzna charczy, więc jeszcze strzelają. On, trafiony w szyję i łokieć, leży bez ruchu. To go ratuje. Żołnierze odchodzą".

Zamordowanie w obecności dzieci ich matki, która nie wyparła się swojej wiary, nie jest jedynym dowodem na stosowanie przez Żołnierzy Wyklętych kryterium religijno-narodowego. O tym, że „część furmanów, którzy byli Polakami, została zwolniona, a rozstrzelano Białorusinów" zeznał w czasie procesu „Burego" jego podkomendny **Antoni Cylwik** „Szczygieł". Selekcję furmanów według kryterium narodowościowego potwierdził także inny żołnierz 3 Brygady NZW, **Józef Puławski** „Gołąb". Urodzony w 1928 roku mieszkaniec Zaleszan **Wiktor Lemiesz** tak relacjonował przebieg zdarzeń: „Tej nocy w Zaleszanach przebywało kilku mężczyzn z Sak. Zostali zatrzymani przez wartowników, kiedy chcieli opuścić wieś. Sam słyszałem: «Panowie, puśćcie nas, my katolicy z Sak». «W takim razie wracajcie do domów» . Zostali puszczeni wolno". Ważnym według „naukowców" i „ekspertów" argumentem, mającym świadczyć, iż „Bury" nie stosował kryterium wyznaniowego, była obecność w jego oddziale żołnierzy prawosławnych, w tym miejscowych pochodzenia białoruskiego. W tym kontekście przywołuje się **Mikołaja Kuroczkina** „Leśnego" i **Władysława Jurasowa** „Wiarusa". Kim byli i skąd pochodzili – na pewno nie z powiatu bielskiego – wyżej wymienieni, nie wiadomo. U „Burego" nie było miejscowych prawosławnych – o takich z pewnością wiedziałaby lokalna społeczność. A jeśli byliby prawosławni, to o czym miałoby to świadczyć i jakie wnioski z tego faktu można by wyciągnąć? W utworzonej na podstawie rozporządzenia Generalnego Gubernatora **Hansa Franka** formacji Granatowej Policji, w której były pododdziały do walki z partyzantką, służyło około 16 tysięcy Polaków katolików, 200 zapewne prawosławnych i grekokatolików Ukraińców i około 700, w części także prawosławnych, Białorusinów. W żydowskich gettach istniały żydowskie służby porządkowe, a w obozach koncentracyjnych więźniowie – Polacy, Białorusini, Ukraińcy, przedstawiciele innych narodowości – ze statusem kapo. W hajnowskim marszu, co z nieukrywaną satysfakcją podkreśla katecheta Łabędzki, uczestniczą także młodzi prawosławni. Czy z zachowań jakiejś części danej społeczności można wyciągać uogólniające wnioski i snuć teorie o wyborach i postawach całego narodu? Na tak postawione pytanie każdy zdrowo myślący człowiek odpowie, że nie. Jednak wspomniani autorzy dla udowodnienia z góry założonej tezy gotowi są podpisać się pod każdą nieprawdą. Później ich publikacje stanowią paliwo dla skandujących na ulicach Hajnówki: „Bury, Bury, nasz bohater".

Podobną wartość mają twierdzenia o tym, że wiozący oddział „Burego" furmani niemal do końca byli przekonani, że przewożą „swoich, czyli oddział komunistycznego Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Sowietów" i „nie żałowali informacji o tym, kto jest kim w okolicy, kto gdzie działa oraz porad, jak się trzeba z podziemiem rozprawić". I to wszystko po tym, jak furmani na własne oczy widzieli wszystko to, co ci „swoi" wyprawiali w Zaleszanach i Wólce Wygonowskiej.

W poszukiwaniu winy ofiar pojawiają się coraz to nowe „fakty". Oprócz wersji o ostrzelaniu przez mieszkańców jednej z wiosek oddziału „Burego" z broni maszynowej, pojawiła się wersja o „prowokacji sowieckiej". Wszystkie te wersje były sprawdzone w śledztwie prokuratora IPN. Wszystkie wersje, mające wykazać winę ofiar, zostały odrzucone.

Do tragedii lat powojennych społeczność prawosławna odnosi się tak jak uczy Cerkiew. Ofiary wspomina się modlitewnie. Przy trasie Bielsk Podlaski – Hajnówka, w Zbuczu, zbudowano cerkiew upamiętniającą Męczenników Ziemi Chełmskiej i Podlaskiej. W Zaleszanach powstała mała wspólnota monastyczna – jej przełożoną jest mniszka **Elżbieta**, wnuczka **Nikity Niczyporuka**, którego będąca w zaawansowanej ciąży żona wraz z trzema małymi synami zginęła w podpalonym przez żołnierzy „Burego" domu. W monasterze jest Zaleszańska Ikona Matki Bożej. W dniu jej święta – ostatnia sobota lipca – zwracając się do wiernych metropolita **Sawa** powiedział: – Na miejscu cierpienia naszych braci, naszych sióstr i naszych dzieci dokonujemy dziś dzieła Bożego – zwierzchnik Cerkwi sprawuje Świętą Liturgię. Oznacza to, że ziarno tej krwi przynosi owoce.

Eugeniusz Czykwin
fot. **Michał Bołtryk**

Symbol zła i okrucieństwa

Z prof. EUGENIUSZEM MIRONOWICZEM
historykiem z Uniwersytetu w Białymstoku
rozmawia Przemysław Prekiel

– Panie Profesorze, kim dla środowiska mniejszości białoruskiej jest Romuald Rajs „Bury”?

– „Bury” dla Białorusinów mieszkających na Białostocczyźnie jest symbolem bezmyślnego okrucieństwa, sadyzmu, sprawcą mordu bezbronnej ludności, w tym dzieci, kobiet i starców.

– Ta pamięć o pacyfikacji wsi prawosławnych jest jeszcze żywa?

– Pamięć o pacyfikacjach wsi prawosławnych, a generalnie o aktywności podziemia w pierwszych latach po wojnie, wpływała na postawy i zachowania osób nie tylko z pokolenia, które bezpośrednio doświadczyło kontaktów z „wyklętymi” bojownikami. Uczucie potwornego strachu z racji inności wyznaniowej, kulturowej i religijnej przekazali także swoim dzieciom. Towarzyszyły temu sugestie rodziców adresowane do młodzieży emigrującej z białoruskich wsi do polskich miast, aby nie okazywali własnej tożsamości. Pokoleniu wnuków, które urodziło się w Białymstoku i innych miastach rzadko już towarzyszyła pamięć o powojennej traumie dziadków.

Wraz ze zmianą systemu politycznego w Polsce rozpoczęła się jednak gloryfikacja bojowników podziemia. W ostatnich kilkunastu latach przybrało to już wymiar niemal sakralizacji wszystkich tych, którzy po wojnie bez zgody ówczesnych władz robili użytek z posiadanej broni. Obraz propagandowy jest całkowitym zaprzeczeniem tego, co zostało zapamiętane przez prawosławnych mieszkańców pacyfikowanych wsi – ludzi, których kilkakrotnie obrabowano, a zwłaszcza tych, którym zamordowano najbliższych krewnych lub uprowadzono ich wraz ze zrabowanym mieniem. Niektórzy przez całe życie szukają miejsca pochówku swoich bliskich.

Nowa polityka historyczna brutalnie przypomniała o wydarzeniach, o których starano się zapomnieć. Marsze „patriotycznych” organizacji w Hajnówce, upamiętniające czyny „Burego”, są nie tylko demonstracją pogardy dla jego ofiar, ale także przypominają miejscowym Białorusinom o obecności w bliskim sąsiedztwie tych, którym imponują dokonania Romualda Rajsa i jego podwładnych w Zaleszanach, Zaniach, Szpakach, Wólce Wygonowskiej, Końcowiźnie czy w pobliżu miejscowości Puchały Stare, gdzie w bestialski sposób zamordowano 28 uprowadzonych furmanów.

– Znamy dokładną liczbę ofiar „Burego” i jego żołnierzy?

– Nie sądzę, aby komukolwiek udało się taką liczbę ustalić. Hagiografowie „Burego” nie posługują się terminem „ofiary”, lecz „wyeliminowani wrogowie ojczyzny, komuniści, agenci UB i NKWD”, nawet gdy ci mieli tylko po kilka lat. Dokładnie znana jest natomiast liczba ofiar podczas rajdu oddziału Romualda Rajsa na Białostocczyźnie na przełomie stycznia i lutego 1946 roku. To 82 zabitych i pięć spalonych wsi.

– Co Pan czuje, kiedy widzi, jak buduje się mit „żołnierzy wyklętych”. Kiedy do jednego worka wrzucani są zarówno Witold Pilecki, który nie ma na rękach krwi bezbronnych ludzi, jak i „Ogień”, „Bury” czy „Łupaszko”? Historyk ma z tą sprawą dylemat?

– Historyk, który historię traktuje jako naukę, nie powinien mieć z tym żadnego problemu. Jeżeli zechce solidnie wykonywać swoją pracę, to zawsze dojdzie do wniosku, że każda z tych trzech postaci, które Pan wskazał, dokonała w swoim życiu czynów, które zasługują na powszechną aprobatę, ale także okrutnych zbrodni. Świat nie jest czarno – biały, nawet szarość ma wiele odcieni.

Historia traktowana jako nauka, na takiej samej zasadzie jak matematyka, nigdy nie była, nie jest i chyba nigdy nie będzie fundamentem służącym kształtowaniu świadomości obywateli. Funkcje tę spełnia polityka historyczna, która ma dość luźny związek z historią.

Polityka historyczna potrzebuje mitów, które są treścią propagandy, podręczników szkolnych i jest zawsze tworzona z punktu widzenia potrzeb elit formalnie sprawujących władzę lub mających wpływ na władzę. Z reguły wraz ze zmianą formacji dokonuje się zmiana lub korekta polityki historycznej.

Zawsze także znajdą się usłużni historycy, którzy zachowując wszystkie formalne wymogi naukowości, zbudują oczekiwany przez władze obraz przeszłości. Szkoda natomiast, że historia, jako produkt nauki nigdy nie interesowała rządzących, gdyż to ona, a nie mitologia, jest przysłowiową nauczycielką życia. U schyłku XIX wieku jeden z polskich historyków, Józef Szujski, wyraził niezwykle trafną myśl, że tylko na podstawie prawdziwej historii można prowadzić prawdziwą politykę. Zakłamana historia popycha nieraz całe zbiorowości do zbrodni lub działań o charakterze samobójczym.

W kontekście mitu o „wyklętych” można się jedynie domyślać, dlaczego „Bury” czy „Ogień” mają być wzorem cnót dla współczesnej młodzieży. Na sąsiedniej Ukrainie z podobnych przyczyn promuje się Stefana Banderę, Romana Szuchewycza oraz esesmanów z dywizji „Galicja”, co u promotorów „Burego” i „Ognia” wywołuje czasami odruch dezaprobaty. W moim przekonaniu w jednym i drugim przypadku jest to droga donikąd.

– Nawet białostocki oddział IPN przyznał w swoim oficjalnym śledztwie, iż działalność „Burego” nosi znamiona ludobójstwa. To jednak



nie zamknęło sprawy. Jego kult wcale nie osłabł.

– Na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia, gdy rozpoczął się proces rehabilitacji członków powojennego podziemia, historycy, publicyści, organizacje kombatanckie próbowały racjonalnie uzasadnić to, co stało się na Białostocczyźnie na przełomie stycznia i lutego 1946 roku. Poszukiwania szły w kierunku wskazania winy ofiar. Pojawiły się tezy o wrogim stosunku miejscowej ludności do podziemia, strzelaniu do żołnierzy polskich we wrześniu 1939 roku, współpracy z UB, a nawet prowokacji NKWD. Trzy lata prokurator Białostockiego Oddziału IPN prowadził śledztwo w tej sprawie, przesłuchał 169 świadków, w większości rodziny ofiar oraz byłych partyzantów, uwzględnił dostępne dokumenty oraz wyniki ekshumacji zwłok furmanów zamordowanych w Puchałach Starych. W raporcie końcowym z 30 czerwca 2005 roku był zmuszony konstatować, że działania Romualda Rajsa i jego podwładnych kwalifikują się do „kategorii zbrodni przeciwko ludzkości". To, że dzisiaj upowszechniany jest kult „Burego" mnie specjalnie nie dziwi, bo taka jest potrzeba określonego środowiska. Wyrosło już pokolenie wychowane na nowej mitologii narodowej. A poza tym wszystko jest względne. Stalina w swoim czasie wykreowano nawet na zbawcę ludzkości.

– Zastanawiam się, dlaczego to prawosławna mniejszość stała się celem „Burego". Czy miał ich za rzekomych zwolenników komunizmu? Jakie to mogły być motywy?

– „Bury" wykonał tylko rozkaz komendanta okręgu NZW Białystok majora Floriana Lewickiego (w rzeczywistości Jana Szklarka) „Kotwicza" z 20 września 1945 roku „zorganizowania odwetu na wrogiej ludności do sprawy konspiracyjnej". Nie wiem, dlaczego tylko wykonawca zbrodniczego rozkazu od wielu lat jest z jednej strony obiektem oskarżeń o ludobójstwo, z drugiej uwielbienia za popełnione czyny. „Zasługi" Floriana Lewickiego są równie wielkie jak Romualda Rajsa.

– O temperaturze sporu świadczą ostatnie wydarzenia w Hajnówce. Środowiska nacjonalistyczne chcą zorganizować marsz ku czci „Burego". To może być prowokacja?

– To jest pomyślane jako prowokacja. Gdyby ci ludzie chcieli tylko czcić „Burego", mogliby to czynić na przykład w Białymstoku, gdzie mieliby nawet większą publiczność. Natomiast gdy ktoś planuje wielką akcję logistyczną przewiezienia kilkuset czy kilku tysięcy osób do Hajnówki, aby maszerować z portretami „Burego" pod oknami potomków jego ofiar, to czym to może być, jak nie świadomą prowokacją. Przy okazji widać, jakimi wartościami etycznymi i moralnymi kierują się ci ludzie.

– Sprawa „żołnierzy wyklętych" budzi w Polsce ogromne kontrowersje. Przeważają jednak opinie, iż byli to żołnierze dobrej sprawy, patrioci, którzy nie godzili się na sowiecką okupację. To próba rozliczenia z historią, czy też próba pisania jej na nowo?

– To jakie opinie przeważają na ten temat, jest efektem polityki historycznej, treści jej przekazu oraz zapotrzebowania politycznego. Nie wiem, co się kryje pod pojęciem „rozliczenie z historią", lecz z pewnością jest to pisanie nowej wersji powojennej rzeczywistości. Niektóre fakty się przemilcza, inne przekręca, bohaterom podziemia przypisuje się idee, myśli, intencje, czyny, które nigdy nie miały miejsca. Mitologię peerelowską dość skutecznie zastępuje się mitologią odpowiadającą aktualnym potrzebom rządzących elit. Pocieszające jest to, że z dala od szumu medialnego wielu historyków stale szuka w archiwach odpowiedzi na pytanie: jak było naprawdę. Dla ludzi dociekliwych oprócz prawdy objawionej dostępna jest także prawda będąca wynikiem badań naukowych. Takich jest jednak niewielu.

– Czy działalność „Burego" rzutuje w jakimś stopniu na relacje polsko – białoruskie? Czy to problem bardziej regionalny, lokalny?

– „Bury" jest tylko symbolem, wykreowanym trochę sztucznie. Powojenny koszmar na Białostocczyźnie to setki incydentów zakończonych czyjąś śmiercią lub dotkliwym pobiciem przez ludzi z najbliższego sąsiedztwa. W roli żołnierzy niepodległościowego podziemia występowali także zwyczajni bandyci, nie związani z żadną strukturą polityczną, nocami zajmujący się rozbojami i rabunkami, zazwyczaj w imieniu „wojska polskiego". To wszystko przez długie lata funkcjonowało w pamięci ludzkiej jako monolit, pod nazwą podziemie. Rajd „Burego" był wprawdzie najbardziej krwawym incydentem powojennej historii, lecz wydarzeniem jednym z wielu.

Współcześnie przedstawiciele środowiska białoruskiego zapraszani są czasami do debat w mediach na temat „wyklętych", ale mam wrażenie, że chyba tylko po to, aby mogli usłyszeć, że „Bury" lub „Łupaszko" „wielkim (bohaterem) był". W ubiegłym roku w lokalnej telewizji kablowej w Hajnówce miała miejsce debata z udziałem potomka ofiar i miejscowego kapłana kultu „wyklętych". Na pytanie Białorusina, jak pan ocenia uzbrojonego partyzanta strzelającego z bliskiej odległości do dziecka, usłyszał odpowiedź: „Sytuacja nie była jednoznaczna". Tak mniej więcej wygląda dyskusja o „wyklętych".

– Dziękuję za rozmowę.

wywiad ukazał się
na stronie internetowej trybuna.eu

Niezgoda

Film „Siaroża" w reżyserii **Jerzego Kaliny** otrzymał wyróżnienie w tegorocznej edycji nagrody Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich „za publikację na temat współczesnej cywilizacji i kultury oraz popularyzację wiedzy". Wśród laureatów nagrody figurują nazwiska wyróżniających się, najlepszych polskich dziennikarzy. W dostrzeżeniu przez jury „Siaroży" nie byłoby nic nadzwyczajnego – film na międzynarodowym festiwalu w Dniepropietrowsku, gdzie zaprezentowano 25 filmów z Białorusi, Estonii, Gruzji, Rosji i Ukrainy, otrzymał główną nagrodę – gdyby nie fala krytyki, jaka spadła na dzieło Jerzego Kaliny po premierowym pokazie w Białymstoku 26 stycznia 2016 roku. Szczególnie ostro reżysera i **Agnieszkę Romaszewską**, prezes telewizyjnego kanału Biełsat, który film wyprodukował, atakowali publicyści prawicowych portali, m.in. Kresy.pl, w tym ks. **Tadeusz Isakowicz Zaleski** oraz posłowie klubu Kukiz15, którzy złożyli do ministra skarbu interpelację w sprawie produkcji filmowych TV Biełsat „na przykładzie filmu szkalującego Żołnierzy Wyklętych".

Film – pisaliśmy o nim w PP nr 3/2016 – opowiadając o życiu **Sergiusza Niczyporuka**, ukazuje losy pokolenia prawosławnych Białorusinów w powojennej rzeczywistości. Pokolenie to wraz ze swoimi rodzicami, którzy przeżyli tragedię bieżeństwa, powrót *na hoły kameń* z ogarniętej rewolucją i wojną domową Rosji, przejście frontów i okupację niemiecką, po wojnie stanęło przed dramatycznymi wyzwaniami. Najważniejszym z nich była decyzja, czy znów porzucić z takim trudem odbudowane domy i własną ziemię i wyjechać za wschodnią granicę, czy mimo prowadzonej do połowy 1945 roku przez oficerów i podoficerów Armii Czerwonej agitacji, a następnie kilkuletniego terroru polskiego podziemia, pod groźbą utraty życia pozostać na swojej ojcowiźnie.

Po przejściu frontu w 1944 roku na Białostocczyźnie mieszkało około 150 tysięcy prawosławnych. W ramach tzw. repatriacji do ZSRR wyjechało około 35 tysięcy. Z tej liczby tylko nieliczni wyjechali dobrowolnie. Najwięcej przesiedleń było z powiatu sokólskiego (12 tys.), gdzie odnotowano największą liczbę konfliktów na tle narodowo-religijnym, zakończonych zabójstwami. 10 tysięcy wyjechało z powiatu białostockiego i kolejne 10 tys. z powiatu bielskiego. Wyjeżdżali, a raczej uciekali, mieszkańcy wsi bezpośrednio sąsiadujących z miejscowościami, w których mieszkała ludność katolicka. Tam było najwięcej rabunków, zabójstw na tle etnicznym.

Rodzina Niczyporuków, w której urodził się bohater filmu, pozostała w swoich Zaleszanach. I tu przeżyła straszną tragedię. W czasie dokonanej 29 stycznia 1946 roku przez oddział dowodzony przez **Romualda Rajsa** ps. „Bury" pacyfikacji wsi zginęła duża część rodziny. Ojciec Sergiusza, **Nikita**, chodząc po wsi z żołnierzami „Burego" – nakazano mu, aby im towarzyszył przy „zbieraniu aprowizacji" – zorientował się w ich zamiarach i na zarządzone przez „Burego" „zebranie" poszedł z dwiema starszymi córkami. Brzemienną żonę z trzema, w wieku ośmiu, sześciu i czterech lat, synami zostawił w domu. Wszyscy zginęli w podpalonym przez żołnierzy domu. – Moje siostry wyszły z tragedii żywe – mówił Sergiusz Niczyporuk po projekcji filmu w białostockim kinie Forum – mimo że ojciec przeznaczył je na ofiarę, jak Abraham Izaaka, by ratować synów. Stało się inaczej. To on z moimi siostrami przeżył, a ci, których chciał ocalić, zginęli.

Wśród szesnastu ofiar pacyfikacji Zaleszan był brat Nikity Niczyporuka, bratowa i ich dziecko. – Nieraz zastanawiałam się, skąd wziął siły, żeby to przeżyć – przyznaje jego synowa **Maria Niczyporuk**. – Pochował osiem osób, w środku zimy, na gołej ziemi został sam z dwiema córeczkami. Jak nie postradał zmysłów? Musiał mu Pan Bóg pomóc. Nie należał do żadnej partii, był wiejskim, spokojnym, wierzącym człowiekiem. Co roku, aż do śmierci, jeździł na *Preobrażenije* na Grabarkę. Nawet wtedy, gdy bardzo bolała go noga, modlił się przez całą noc. Stał jak bocian na jednej nodze, oparty plecami o sosnę.

Fotografia z planu filmu „Siaroża"



Teść nieraz wspominał tę tragedię, zawsze z bólem, ale nigdy z nienawiścią do oprawców. „Żeby tego nie zrobiło żadne z moich dzieci" – kiedyś powiedział.

Podobną postawę wobec sprawców prezentuje jego syn Sergiusz, który w kończącej film scenie mówi: – Wszyscy powinniśmy prosić Boga, żeby wypędził z naszych serc nienawiść... Czas zapomnieć o krzywdach, trzeba odwołać się do rozumu. Dzieląc się na jednych i drugich, powtórnie siejemy ziarna nienawiści. A po projekcji dodawał: – Zbyt długo dzieliliśmy się na nas i onych. Mam tego dość. Wydaje mi się, że nadszedł wreszcie czas, by na zgliszczach tamtej tragedii szukać dróg porozumienia. Przydadzą się one i tym co zginęli, i tym co żyją. A każdemu z nas przyda się modlitwa, zanim zacznie rzucać oskarżeniami. Pomyślmy, jacy my jesteśmy, zanim podniesiemy kamień

Film nie skupia się na martyrologii, nie rozdrapuje ran, a zbrodnie „Burego" to nawet nie najważniejsza część

jego przekazu. Ani reżyser, ani główny bohater w poszukiwaniu dróg do normalnego życia nie formułują jednoznacznych ocen. Te padają w wypowiedzi prokuratora Instytutu Pamięci Narodowej **Dariusza Olszewskiego**, w ocenie Sergiusza Niczyporuka człowieka szlachetnego i sprawiedliwego, który miał odwagę zgodnie z prawdą ocenić czyny Romualda Rajsa i jego żołnierzy. I to przypomnienie ustaleń przeprowadzonego przez niego śledztwa wywołało falę skierowanych przeciwko Jerzemu Kalinie i TV Biełsat pomówień i oskarżeń.

Broniący honoru „Burego" i jego żołnierzy, których pamięć w filmie jest rzekomo „szkalowana", zapomnieli jednak o zasadzie, mówiącej że każda akcja może wywołać reakcję.

Z reakcją środowiska prawosławnego nikt z tych „historyków" i „ekspertów" się nie liczy. Dla nich nasze odczucia i nasze oceny tragicznych momentów wspólnej historii nic nie znaczą. Jednak krytyczne wobec filmu publikacje przyczyniły się, co zapewne nie było zamiarem ich autorów, do jego popularyzacji. Efektem tych kłamliwych oskarżeń było zainteresowanie filmem środowiska dziennikarzy polskich, z których większość – jeżeli już używać takich ocen – sympatyzuje z szeroko pojętym obozem polskiej prawicy – obecny prezes SDP **Krzyszof Czabański**, po zmianach w telewizji publicznej, prowadzi w TVP Info cykliczny program „24 minuty".

Nagroda SDP dla filmu „Siaroża" zaskoczyła wielu, w tym chyba najbardziej samego reżysera. Choć w uzasadnieniu nie ma o tym mowy, to trudno się oprzeć wrażeniu, że jest ona wyrazem sprzeciwu środowiska polskich dziennikarzy wobec zakłamywania naszej historii, wobec prób usprawiedliwiania i heroizacji osób, które mundur polskiego żołnierza splamiły krwią niewinnych, w tym dzieci i starców, współobywateli, których jedyną winą było to, że ich matczynym językiem nie był język polski, a ich wiarą wiara ich przodków – prawosławie.

Eugeniusz Czykwin

Monastery wileńskie

Część 2

Przez cały okres międzywojenny ordynariuszem diecezji wileńskiej pozostawał arcybiskup **Teodozy Feodosjew**. W 1939 roku Niemcy, pokonawszy Polskę, przekazały Wilno Republice Litewskiej, następnie, w 1940 roku, Republika Litewska stała się częścią Związku Radzieckiego.

W nowych warunkach politycznych monastery wileńskie, zwłaszcza Świętego Ducha, zaczęły odgrywać nową rolę jako jedne z nielicznych ośrodków zakonnych w państwie, w którym życie cerkiewne praktycznie unicestwiono. W 1940 roku w Rosji Radzieckiej nie było ani jednego czynnego monasteru, działało zaledwie kilkaset parafii.

W 1939 roku do Wilna przyjechał rezydujący w Kownie metropolita **Eleuteriusz Bogojawleński**, który został wyznaczony na wileńską katedrę jeszcze przez patriarchę **Tichona**. Arcybiskup Teodozy odszedł w stan spoczynku i do swojej śmierci w 1943 roku mieszkał monasterze Świętego Ducha. Metropolita Eleuteriusz rozwiązał Konsystorz Duchowny Warszawskiej Metropolii i zajął się zjednoczeniem diecezji w jurysdykcji patriarchatu moskiewskiego. Zmarł w grudniu 1940 roku. Jego następcą został rezydujący w Rydze egzarcha patriarchatu moskiewskiego w państwach bałtyckich, metropolita **Sergiusz Woskresieński**.

Metropolita Sergiusz Woskresieński był wiernym współpracownikiem metropolity **Sergiusza Starogordzkiego**, zastępcy strażnika tronu patriarszego, który faktycznie pełnił funkcję zwierzchnika Cerkwi rosyjskiej. W Rosji Sergiusz Woskresieński był uważany za agenta NKWD i do Rygi został wysłany jako zaufana osoba służb bezpieczeństwa.

Władze radzieckie sprawowały pełną kontrolę nad polityką kadrową Cerkwi rosyjskiej od 1927 roku. Dotyczyło to przemieszczenia biskupów i kapłanów oraz udzielania święceń kapłańskich i biskupich. Działalność duszpasterska i liturgiczna również pozostawała pod pełną kontrolą władzy, dotyczyło to odprawiania nabożeństw, spowiedzi, udzielania chrztów, ślubów, odprawiania pogrzebów lub wspólnych modlitw w domach wiernych. Żadna czynność kapłana nie pozostawała bez ścisłego nadzoru i kontroli służb.

Taka kontrola była też możliwa wskutek postawy metropolity Sergiusza, który uważał, że Cerkiew nie może istnieć bez akceptacji rządu, nawet bezbożnego rządu radzieckiego. Dlatego zwierzchnik Cerkwi gotów był na wszelkie kompromisy i ustępstwa wobec władz państwowych. Metropolita Sergiusz Starogordzki uważał, że tylko w ten sposób można uratować Cerkiew przed całkowitą zagładą. Rezultaty jego działalności okazały się jednak nikłe.

W 1941 roku Cerkiew rosyjska nie posiadała ani jednego monasteru, ani jednego seminarium lub niższej szkoły duchownej, nie wydawano ani jednego periodyku cerkiewnego, nie działało żadne bractwo lub zrzeszenie wiernych, czynnych było tylko kilkaset parafii, na wolności przebywało trzech biskupów i około pięciuset kapłanów.

Metropolita Sergiusz Woskresieński, egzarcha państw bałtyckich, również uważał, że Cerkiew nie może istnieć bez aprobaty i opieki państwa bez względu na to, jaką politykę to państwo prowadzi. Dlatego cieszył się zaufaniem władz radzieckich i również dlatego w lipcu 1941 roku rozpoczął szeroką współpracę z niemieckimi okupacyjnymi władzami w Rydze.

W sierpniu 1941 roku w ścisłej współpracy z nimi metropolita Sergiusz Woskresieński powołał tzw. Misję Pskowską, której zadaniem miało być odrodzenie życia cerkiewnego na okupowanych przez Niemców terenach diecezji pskowskiej, nowo-

grodzkiej i leningradzkiej. Na całej przestrzeni północno-zachodniej Rosji czynnych było wówczas zaledwie dziesięć parafii.

Rezultaty współpracy egzarchy bałtyckiego z niemieckimi władzami okazały się o wiele bardziej wymierne, niż współpraca metropolity Sergiusza Starogordzkiego z władzami radzieckimi. W ciągu niespełna dwóch i pół roku odtworzono ponad trzysta parafii, duchowieństwo uzyskało dostęp do szkół publicznych, radia. Wydawano cerkiewne periodyki, odtworzono przytułki dla sierot, prowadzono działalność charytatywną, wspomagano jeńców rosyjskich w obozach. Cerkiew również otrzymała prawo używania dzwonów podczas nabożeństwa oraz zgodę na uroczyste procesje, co było zabroniono w Rosji radzieckiej. Przy tym metropolita Sergiusz Woskresieński zapłacił mniejszą cenę za taką współpracę niż zastępca tronu patriarszego w Moskwie, ponieważ Niemcy oczekiwali publicznych wyrazów lojalności i poparcia, lecz nie mieszali się w życie wewnętrzne i politykę kadrową Cerkwi. Czasami nawet godzili się na szczególne ustępstwa, dopuszczając duchownych do obozów jenieckich, wbrew zaleceniom władz centralnych.

Dla pełnego zrealizowania zamierzonych planów odrodzenia życia religijnego na objętych Pskowską Misją terenach brakowało duchownych. Zaangażowano część duchowieństwa diecezji ryskiej i narwskiej, kilkunastu kapłanów przyjechało z Prawosławnego Instytutu Teologicznego w Paryżu i Rosyjskiego Sojuszu Chrześcijańskiego. Powstała potrzeba kształcenia misjonarzy. Wileńskie monastery zostały zaangażowane w przygotowanie nowych kapłanów dla Pskowskiej Misji.

Pastersko-teologiczne kursy w Wilnie powstały na bazie wileńskiego seminarium duchownego. Uczestnicy kursów uczyli się i mieszkali w budynkach monasteru Świętego Ducha. Początkowo rektorem kursów był były profesor Moskiewskiej Akademii Duchownej prot. **Bazyli Winogrodów**, który uciekł z Moskwy w pierwszych



tygodniach wojny. Nauczycielami kursów byli wykładowcy seminarium duchownego w Wilnie, którzy w większości skończyli wydział teologii prawosławnej Uniwersytetu Warszawskiego. W kwietniu 1944 roku kursy ukończyło 27 osób, w tym 5 już wyświęconych młodych kapłanów.

Latem 1944 roku Armia Czerwona wkroczyła do Wilna, wszyscy uczestnicy i współpracownicy Pskowskiej Misji zostali aresztowani.

Zaangażowanie wileńskich monasterów w działalność Pskowskiej Misji miało duże znaczenie. Cerkiew była obecna w trudnych latach wojny na terenach, na których przez dłuższy czas nie rozwijało się żadne życie religijne. Ochrzczeni w tym okresie ludzie często stawali się podporą Cerkwi w trudnych latach powojennych, życie religijne zostało przebudzone i w pewnym stopniu utrwaliło się na terenach północno-zachodniej Rosji po wojnie.

Metropolita Sergiusz Woskresieński został zamordowany przez dywersantów wiosną 1944 roku w pobliżu Kowna, w drodze powrotnej z Wilna do Rygi.

Jego następca na katedrze wileńskiej, arcybiskup **Korneliusz Popow**, zastał monaster Świętego Ducha w opłakanym stanie. Walki w mieście doprowadziły do znacznych uszkodzeń głównej świątyni monasteru. Podczas paschalnego nabożeństwa w 1945 roku na modlących się w cerkwi Świętego Ducha przez uszkodzony dach padał deszcz, nie było także prądu i jeszcze przez dłuższy czas służono wyłącznie przy świetle świec.



Bez względu na cierpienia i próby, których było niemało w historii monasterów wileńskich, pierwsze powojenne lata zostały uświęcone powrotem relikwii świętych męczenników wileńskich do monasteru Świętego Ducha po trzydziestu jeden latach nieobecności.

Relikwie świętych męczenników zostały przywiezione do Wilna 26 lipca 1946 roku, a wspomnienie tego wydarzenia jest szczególnym świętem monasteru Świętego Ducha.



Katakumbowa cerkiew w katedralnym soborze Świętego Ducha w Wilnie, w której znajduje się grób metropolity Józefa Siemaszki

Zachowało się świadectwo prof. **Michaiła Rusakowa**, ekonoma siedziby patriarchy moskiewskiego, który przyjął relikwie z muzeum propagandy ateizmu i dostarczył je do patriarszego soboru w Moskwie: – Miałem przyjechać do muzeum o pierwszej w nocy. Spotkał mnie dyrektor muzeum. Przeprowadził do szerokiej witryny z podnoszącą się nakrywką. W witrynie znajdowały się trzy nagie ciała męczenników. Byłem zdumiony, jak zachowały się ich święte ciała… Stałem w bogobojnym zdumieniu przed tymi odważnymi wyznawcami wiary, modliłem się i się żegnałem.

Mimo że powrotowi relikwii nie nadano rozgłosu, wierni już od wczesnego ranka zapełnili ulice wokół monasteru Świętego Ducha. Wielu z nich pamiętało ich ewakuację w 1915 roku. Relikwie świętych męczenników Antoniego, Jana i Eustachego spoczęły w podziemnej kapliczce cerkwi Świętego Ducha.

Obecność relikwii Świętych Męczenników Wileńskich sprawiła, że monaster Świętego Ducha ponownie stał się miejscem pątniczym. Organizowanie pielgrzymek przez Cerkiew nie było możliwe, lecz dużo wiernych przyjeżdżało we własnym zakresie nawet spoza Republiki Litewskiej, ażeby oddać pokłon świętym relikwiom.

W okresie powojennym władze komunistyczne zlikwidowały wszystkie katolickie klasztory w Wilnie, pozostawiając nietknięty jedynie prawosławny monaster Świętego Ducha. Kilka razy władze lokalne zwracały się do władz centralnych Związku Radzieckiego z propozycją likwidacji także tego monasteru, lecz za każdym razem nie udawało się tego sfinalizować. Dowodzi to znaczenia monasteru Świętego Ducha w Wilnie. Monaster zapewniał nie tylko ciągłość prawosławnego życia mniszego w stolicy Litwy, lecz również stał się jednym z najważniejszych ośrodków życia religijnego całego regionu.

Zmiany nastąpiły dopiero po rozpadzie Związku Radzieckiego. Monaster Świętej Trójcy, zamknięty po zakończeniu II wojny światowej, ostatecznie został przez prawosławnych utracony. Przekazano go Cerkwi grekokatolickiej, a ponieważ nie ma ona na Litwie żadnej parafii, włączony został do diecezji lwowskiej. Monasterskie budynki wynajmowane są różnym instytucjom i niszczeją.

W monasterze Świętego Ducha w 1997 roku relikwie Świętych Męczenników Wileńskich zostały uroczyście przeniesione z podziemnej kapliczki do głównej nawy soboru. Położono je w specjalnie przygotowanym dużym relikwiarzu, umieszczając go przed *soleją*.

W 1993 roku przy monasterze odtworzono bibliotekę, która obecnie liczy ponad 20 tys. tomów. Co niedzielę odbywają się spotkania duchownych z wiernymi. Przy monasterze funkcjonuje stołówka dla biednych i dom pielgrzyma.

W 1997 roku monaster Świętego Ducha odwiedził ówczesny zwierzchnik Cerkwi prawosławnej w Rosji patriarcha **Aleksy II**.

Monaster Świętego Ducha jest również siedzibą ordynariusza prawosławnej diecezji litewskiej oraz struktur diecezjalnych. Działa również odrodzone w latach 90. bractwo Świętego Ducha.

Wileński monaster Świętego Ducha zawsze odgrywał znaczącą rolę i nie zmieniło się to do dzisiaj. Najważniejszą misją monasteru było utrwalenie obecności prawosławia w mieście, obrona prawosławnej tradycji przed zewnętrznymi zagrożeniami, zapewnienie ciągłości życia liturgicznego i religijnego społeczności prawosławnej Wilna i opieka nad największą świętością miasta – relikwiami świętych męczenników Antoniego, Jana i Eustachego.

Monaster chroni też kopię ikony Wileńskiej Bogarodzicy Hodegetrii z dziewiętnastego wieku, w podziemnej kapliczce soboru Świętego Ducha znajduje się grób metropolity **Józefa Siemaszki**, który w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku wziął na siebie główny ciężar działań związanych z odrodzeniem prawosławia na terenach współczesnej Litwy, Białorusi i Podlasia.

Życie monastyczne w Wilnie, skupione w monasterze Świętego Ducha, nadaje kierunek i kształt całej tradycji prawosławnej diecezji litewskiej i w znacznym stopniu wpływa na życie kulturalne miasta.

o. Denis Rusnak
opr. **ota**
fot. **archiwum autora**

Śpiew jak chleb



Rodzeństwo **Patryk** i **Maryna Misiejuk**, rodzeństwo **Jakub** i **Anastazja Szeremeta** oraz **Dominika Błahuszewska**, tworzący zespół muzyczny Stebło, stanęli 15 stycznia na najważniejszej scenie prawosławnego świata, na znajdującej się w kompleksie chrama Chrystusa Zbawiciela w Moskwie scenie Sali Cerkiewnych Zebrań (Soborów), mieszczącej 1250 widzów. Zaśpiewali kolędy w językach ukraińskim, polskim, białoruskim i rosyjskim. Dyrygowała nimi matuszka **Anna Misiejuk** – dla jednych mama, innych ciocia, a dla Dominiki z parafii w Topilcu, jak żartuje matuszka, ciocia przyszywana.

Do dziś nie mogą uwierzyć, że mogli zaśpiewać na tej scenie podczas Patriarszego Festiwalu „Pieśni Chrześcijańskiego Świata", gdzie zabrzmiała muzyka cerkiewna, klasyczna i ludowa w najlepszym wykonaniu. – To dar Boży wystąpić przed taką publicznością – mówi matuszka. – A samo posłuchanie na żywo patriarszego chóru jest niebywałym przeżyciem – dodaje. – To wszystko inspiruje, podpowiada – warto pracować!

Koncert składał się z dwóch części. W pierwszej wystąpił znakomity Patriarszy Chór Cerkwi Chrystusa Zbawiciela pod kierunkiem **Ilii Tołkaczowa**. Chór istnieje od 1883 roku, został założony z okazji wyświęcenia cerkwi Chrystusa Zbawiciela, cerkwi pomnika zwycięstwa nad Napoleonem. To właśnie Ilia Tołkaczow, kompozytor i dyrygent, stał się pomysłodawcą festiwalu. A chór jest doskonale znany w prawosławnym świecie. Nagrał mnóstwo płyt. Śpiewa podczas nabożeństw z udziałem patriarchy, a te są transmitowane przez telewizyjne stacje. Śpiewu chóru słuchają więc miliony ludzi.

W pierwszej części wystąpiły jeszcze dwa chóry – moskiewskiej wojskowo-muzycznej szkoły ministerstwa obrony Federacji Rosyjskiej i chór Osanna ormiańskiej Cerkwi.

Część druga koncertu to występy zespołów, które na podstawie przysłanego do Moskwy materiału zapisanego na elektronicznych nośnikach, zostały wyłonione przez konkursową komisję do wystąpienia na scenie. Spływają setki zgłoszeń. Zaproszenie więc na scenę zespołu, jako laureata, staje się ogromnym wyróżnieniem. I takiego w tym roku doznało białostockie Stebło, wywodzące się ze szkoły im. Cyryla i Metodego, folklorystyczna grupa Omskiego Państwowego Dziecięcego Zespołu, chór niedzielnej szkoły jednej z parafii z Niżnego Nowgorodu Odegetria i chór Moskiewskiej Miejskiej Dziecięcej Szkoły Muzycznej im. Prokofiewa.



Песнопения Христианского Мира

Диплом

лауреата

Дипломом лауреата конкурса
«Рождественские песни народов мира»
Патриаршего международного фестиваля
«Песнопения Христианского мира»
сезона 2016 года

НАГРАЖДАЕТСЯ

Группа «СТЕБЛО»
выпускники и ученики первой православной школы в Польше,
начальной школы и гимназии имени св. Кирилла и Мефодия
руководитель Анна Мисеюк
Республика Польша

+ Кирилл

ПАТРИАРХ МОСКОВСКИЙ И ВСЕЯ РУСИ

– Było przepięknie – sumuje z młodzieńczym zachwytem Patryk Misiejuk. Urzekł go profesjonalizm festiwalu, wspaniale wyposażona sala prób, nagłośnienie, którego nie powstydziłaby się niejedna sala koncertowa. Urzekły też tysiące metrów kwadratowych kompleksu Chrystusa Zbawiciela, na którym jak na skale wznosi się *chram*. To tu się dowiedział, że w jego labiryncie, bez przewodnika i telefonu, można się zagubić.

Urzekła go Moskwa. Mógł pójść z całym Stebłem, w towarzystwie przewodnika, do moskiewskiej Matronuszki, współczesnej świętej, do której nieustannie stoją długie kolejki wiernych. Jej relikwie znajdują się w Monasterze *Pokrowskim*. Mógł się jej pokłonić. To tu spełniły się marzenia jego mamy, zawodowo analityka, która będąc w Moskwie w delegacji, poszła do świętej Matronuszki i zasiała w sobie myśl – wrócić tu razem z rodziną, choć wiedziała, że wyprawa to trudna i kosztowna, dzielona barierą wiz, drogiej podróży i pobytu w stolicy Rosyjskiej Federacji. A tu kłaniają się relikwiom wszyscy – i mama, i tata, czyli o. **Andrzej Misiejuk** i ciocia **Iwona**. Tu i taty marzenia się spełniły – mógł służyć podczas Liturgii w cerkwi *Chrysta Spasitiela*. W ołtarzu









Stebło z ambasadorem RP Federacji Rosyjskiej, prof. Włodzimierzem Marciniakiem (drugi z prawej) i o. Andrzejem Misiejukiem (pierwszy z prawej)
Grupa Stebło, pośrodku na drugim planie matuszka Anna Misiejuk, obok Dominika Błahuszewska, Jakub Szeremeta i Patryk Misiejuk (na drugim planie), z przodu Maryna Misiejuk i Anastazja Szeremeta
Stebło z laureatami festiwalu

tej cerkwi poznał *prisłużnika* studenta **Edwarda**, urodzonego w kazachskiej Astanie, którego rodzinę wysiedlono z Polski. Mówił: – Moja cała rodzina jest prawosławna – i ja i mój tata Stanisław.

Złożyli Matronuszce bukiet biało-czerwonych kwiatów, który otrzymali podczas koncertu od ambasadora Rzeczypospolitej w Federacji Rosyjskiej, prof. **Włodzimierza Marciniaka**, który powiedział: „Świat staje się lepszy, kiedy śpiewa Stebło", trawestując hasło festiwalu „Świat staje się lepszy, gdy śpiewamy".

Patryk i jego najbliżsi zwiedzili Kreml, odwiedzili najważniejsze cerkwie i monastery Moskwy. Doznali ze strony Rosjan ogromnego ciepła i gościnności. I tego ciągle towarzyszącego im zdumienia: – W Polsce, w tak katolickim kraju, są prawosławni?

Patryk Misiejuk, Jakub Szeremeta i Dominika Błahuszewska odwiedzili Moskwę po raz drugi. Pierwszy raz pojechali w nagrodę, jako laureaci konkursu piosenki rosyjskiej, organizowanego w Łodzi. Zajęli tam w 2014 roku drugie miejsce .

Jak rodziło się Stebło?

Najogólniej można powiedzieć ze śpiewaczych tradycji, tak charakterystycznych dla prawosławnych w Polsce, Białorusinów czy Ukraińców. To płodny grunt.

– Mnie i moją siostrę Iwonę Szeremetę prowadziła mama do soboru św. Mikołaja w Białymstoku i powierzała pod opiekę dyrygentki dziecięcego katedralnego chóru, **Ali Dubec**. Potem śpiewałyśmy już w chórze młodzieżowym dyrygowanym przez protodiakona **Aleksandra Łysynkiewicz**a. Ze śpiewania, zwłaszcza gdy fundament pod nie położono w dzieciństwie, się nie wyrasta. Potem z siostrą śpiewałyśmy w różnych chórach parafialnych. A gdy trzeba było stać w cerkwi podczas Liturgii nie śpiewając, bo dzieci były małe i wymagały nieustannej opieki, cierpiałyśmy – opowiada matuszka Anna.

Dziadek matuszki **Jan** śpiewał w cerkiewnym chórze w Ploskach, tata **Mikołaj** pochodzi z Puchłów. Jego córki jeździły do Puchłów do cerkwi na Liturgie i mogły tam słuchać, jak określają, brzmienia wiejskich przepięknych altów, w wykonaniu kobiet, które nie kończyły żadnych muzycznych szkół, a pewnie i nut nie umiałyby przeczytać. Te alty brzmią im w uszach do dziś. Wyrastały siostry zewsząd otulone muzyką, dobrą, cerkiewną, wymagającą.

Czy z ich dziećmi mogło być inaczej? Wszystkie chodziły do przedszkola nr 14 w Białymstoku, zwanego białoruskim, przedszkola rozśpiewanego, nieustannie występującego na scenie – przed rodzicami, dziadkami, władzami miasta, publicznością festiwalową, na konkursach. Potem wszystkie poszły do szkoły świętych Cyryla i Metodego. A tam nie tylko matematyka czy geografia są ważne. Tam równie ważna jest modlitwa, również śpiewana, języki narodowe, umiejętność zachowania się na scenie. Bo tam kształci się różne strony młodego człowieka, artystyczną także, gdzie indziej jakże często spychaną na margines, bo nie buduje „zawodowej kariery". W szkole Cyryla i Metodego śpiewały w zespole – najpierw Orth-Power, potem Stebło. Dzieci ze Stebła mają za sobą doświadczenie śpiewania w dziecięcym chórze Opery i Filharmonii Podlaskiej, starsze z nich śpiewają teraz w chórze miasta Białystok. Mimo swoich kilkunastu lat życia – są teraz licealistami – uczyli się śpiewu od różnych nauczycieli, którzy – tak się szczęśliwie złożyło – nie zabili ich indywidualności.

Nagrali płytę „Pokajanije" z wielkopostnymi utworami. Nagrali kilka teledysków. I ten właśnie materiał fonograficzny został posłany na konkurs do Moskwy.

Starszym śpiewakom, których próby matuszka prowadziła jakże często u siebie w domu, przysłuchiwały się młodsze dziewczynki, dziś dziesięcioletnie – Maryna Misiejuk i Anastazja Szeremeta. Tylko czekały, aż i im matuszka pozwoli razem śpiewać w Steble. Bo w takiej rodzinie śpiew, szczególnie wychwalający Pana, jest jak chleb codzienny. Zawsze powinien być na stole.

Anna Radziukiewicz

fot. **z archiwum zespołu Stebło**

Nim powstanie duży słownik

Terminologia prawosławna sprawia kłopoty niemal wszystkim – duchowieństwu i wiernym, dziennikarzom i tłumaczom, o ludziach wychowanych w tradycji rzymskokatolickiej nie wspominając. Nie wszyscy wiedzą, jak powinno się określać Boga, jak Bogarodzicę czy świętych, jak tytułować biskupów, a jak proboszcza, jak nazywać poszczególne części Liturgii, a jak sprzęty liturgiczne, co zapisywać małą, a co dużą literą. Mieszają się słowa zaczerpnięte z greki, cerkiewnosłowiańskiego, łaciny, przyjmując dowolne formy. Duża część prawosławnych nie zna już dobrze języków wschodniosłowiańskich, nie rozumie sensu niektórych słów, nie zna ich pochodzenia i oryginalnej pisowni. Stopniowo do języka cerkiewnego wsączają się też latynizmy, przy tym stosowane niewłaściwie.

Od dawna w różnych związanych z Cerkwią kręgach postulowano uporządkowanie i ujednolicenie tej dziedziny. Wskazanie, które określenia są właściwe, które tolerowane, a które niedopuszczalne. Inspiracją były prace działającego przy Radzie Języka Polskiego Zespołu Języka Religijnego, a zwłaszcza opublikowana w 2011 roku przez ks. prof. **Wiesława Przyczynę** i prof. **Renatę Przybylską** „Pisownia słownictwa religijnego".

Dwa lata temu, w marcu 2015 roku, spotkali się w Białymstoku wydawcy literatury prawosławnej i wśród innych problemów podnieśli i ten – braku ważnego narzędzia, ujednoliconego słownika prawosławnej terminologii w języku polskim. Na postulatach się nie skończyło. Powołano zespół i rozpoczęto intensywną pracę.

Wspomniany zespół to władyka **Jakub**, o. **Jerzy Tofiluk**, o. **Marek Ławreszuk**, o. **Włodzimierz Misijuk** i **Jarosław Charkiewicz**. Ponad rok spotykano się, dyskutowano, przedstawiano propozycje, konsultowano z lingwistami, teologami i innymi specjalistami, a pod koniec 2016 roku przedstawiono efekt tych działań, niewielką objętościowo, ale bogatą treściowo książkę „Specyfika polskiej terminologii prawosławnej. Koncepcja normatywizacji pisowni", wydaną przez Uniwersytet w Białymstoku.

Autorzy od razu zastrzegają – to nie etap końcowy ich trudu, a dopiero wstępny, zaproszenie do dyskusji oby jak najszerszego grona czytelników, przyczynek do opracowania w przyszłości obszernego słownika polskiej terminologii prawosławnej.

Książkę przedstawiono na spotkaniu o. prof. Marka Ławreszuka, przewodniczącego kolegium redakcyjnego i innych jego członków ze słuchaczami Wszechnicy Kultury Prawosławnej. Wzbudziła duże zainteresowanie.

Jako chyba pierwszy pojawił się problem: jesteśmy Cerkwią czy Kościołem prawosławnym? Głosy z sali dowodziły, że jednak Cerkwią i tego określenia należy używać we wszystkich sytuacjach. Autorzy, zastrzegając że są to terminy równoważne, przychylili się jednak do Kościoła. Zwrócili uwagę, że oficjalna, urzędowa nazwa prawosławnej wspólnoty to Polski Autokefaliczny Kościół Prawosławny, że tylko taka jest używana w aktach i innych dokumentach, że przez rzymskokatolicką większość nazwa Cerkiew może być odczytywana jako nieKościół, Kościół ułomny. To w istocie problem wart dogłębnego przemyślenia i rozwiania wszelkich wątpliwości. Zespół redakcyjny PP już dawno zdecydował się konsekwentnie pisać Cerkiew, Kościół pozostawiając jedynie w cytowanych pismach oficjalnych.

Autorzy podkreślili jednocześnie, że prawosławna świątynia to zawsze cerkiew.

Rozbieżność między określeniem urzędowym a używanym przez większość wiernych dotyczy też terminów *klasztor* i *monaster*. W oficjalnych dokumentach zawsze zapisane będzie klasztor, wierni mogą używać słowa monaster.

Określenie *ksiądz*, nie przez wszystkich akceptowane jako wprost przeniesione z tradycji rzymskokatolickiej, funkcjonuje już jednak powszechnie zarówno w języku oficjalnym, jak i potocznym. Autorzy sugerują jednak częstsze używanie określenia *ojciec*. W Kościele rzymskokatolickim mówi się tak tylko o zakonnikach, w Cerkwi słowo to oznacza każdego kapłana. Nie wyklucza to oczywiście tradycyjnych form zwracania się do duchownych – *batiuszka* czy (wśród Łemków) *jehomość*.

Nazwy świąt zawsze powinny być zapisywane dużymi literami (np. Niedziela Palmowa, Ścięcie Głowy św. Jana Chrzciciela, Sobór Trzech Hierarchów). Autorzy zwracają uwagę, że powszechnie używana nazwa Boże Narodzenie nie jest prawidłowa i powinniśmy mówić o święcie Narodzenia Chrystusa.

Słowo *sakrament*, zaczerpnięte z łaciny, autorzy proponują zamienić na *misterium*, oba są jednak równoznaczne. Nazwy sakramentów piszemy małą literą, z wyjątkiem Eucharystii, zawsze zapisywanej dużą.

W prawosławnej tradycji liturgicznej nabożeństwem nazywamy modlitwę wspólnotową. Nie powinno się prawosławnego nabożeństwa nazywać mszą. To Liturgia. Nazwy nabożeństw zasadniczo piszemy małą literą, z wyjątkiem nabożeństw eucharystycznych – Liturgii, Świętej Liturgii czy Boskiej Liturgii. Nazwy wieczornego nabożeństwa – *wieczerni*, nie należy zastępować łacińskimi *nieszporami* – to inny rodzaj nabożeństwa. W prawosławnej tradycji nie są znane takie nazwy nabożeństw jak *pasterka*, *gorzkie żale*, *koronka*, *droga krzyżowa*, *godzinki*. Należą one do tradycji rzymskokatolickiej. Nabożeństwa sprawo-

wane są *za żywych* lub *za zmarłych*, nigdy natomiast *w ich intencji*.

Takie przykłady można by przywoływać długo. Osobne rozdziały poświęcone są nazwom świątyń i obiektów sakralnych, ksiąg liturgicznych, elementom wystroju świątyń, szatom liturgicznym, sposobom zwracania się do duchownych i władyków, zasadom korespondencji.

Przywołam jeszcze tylko kilka zaprezentowanych w książce przykładów błędnego używania słów i konstrukcji składniowych.

Nieprawidłowe jest na przykład używanie w odniesieniu do prawosławnych określenia *wyznawcy prawosławia*. Słownik Języka Polskiego definiuje, że wyznawca to ktoś, kto wyznaje określoną religię. Wierni Cerkwi to zatem prawosławni chrześcijanie, prawosławni wierni lub po prostu prawosławni. Zdanie *Wyznawcy prawosławia rozpoczęli Wielki Tydzień* sugeruje, że ich wiara nie koncentruje się na Bogu, a na obrzędowości.

Powszechne jest, przy przywoływaniu rozłamu, do jakiego doszło w 1054 roku, używanie określenia *schizma wschodnia*. Prawosławni uważają je za błędne i negatywnie wartościujące. Właściwe określenie to wielka schizma, schizma 1054 roku lub schizma Wschód-Zachód.

Błędne jest – przypominają autorzy, zastosowanie zaimka dzierżawczego *twój* w tekście Psalmu 115: *Nie nam, Panie, lecz Twemu imieniu daj chwałę*. Zaimek twój używany jest jedynie wtedy, gdy nie odnosi się do rzeczy należących do podmiotu czynności (np. *Oddam ci twoje pieniądze*). Kiedy przedmiot czynności jest jednocześnie właścicielem rzeczy, używamy zaimka *swój*, w tym przypadku zatem *Nie nam, Panie, nie nam, lecz swemu imieniu daj chwałę*.

I jeszcze uwaga, że diecezjalne i metropolitalne kancelarie to nie kurie, a ogół prawosławnych biskupów to nie episkopat.

Praca powinna z pewnością znaleźć się w niemal każdym prawosławnym domu, a na pewno dotrzeć do jak najszerszego kręgu zainteresowanych. W redakcji PP postanowiliśmy zamieszczać w kolejnych numerach niewielkie fragmenty książki. Przy jej małym nakładzie pozwoli to czytelnikom włączyć się do zaproponowanej przez autorów wymiany myśli.

Dorota Wysocka

Abp Jakub Kostiuczuk, ks. Jerzy Tofiluk, ks. Marek Ławreszuk, ks. Włodzimierz Misijuk, Jarosław Charkiewicz, *Specyfika polskiej terminologii prawosławnej. Koncepcja normatywizacji pisowni*, Wydawnictwo Uniwersytetu w Białymstoku, Białystok 2016, ss. 140.

Tajemnica

Pewnego razu niezbyt znany tbiliski malarz i poeta **Georgij Mazurin** zwierzył się swojemu przyjacielowi:

– Gdy w czasach sowieckich studiowałem w akademii sztuki, naszła mnie myśl, że ludzkie twarze powinno się malować na zielono. Oskarżono mnie wtedy o surrealizm i wyrzucono z uczelni. I znów mam podobny problem – ciągle zastanawiam się bowiem, jak namalować rozgwieżdżone niebo? Próbuję znaleźć odpowiednie barwy, ale nic mi nie wychodzi. Zazwyczaj robi się to, używając ciemnego tła z gwiezdnymi kropeczkami, w kolorach od złotego aż po krwistoczerwony. Ale dla mnie to nie niebo, tylko zwykłe żuczki, które drepczą po czarnej płaszczyźnie ziemi. Spróbowałem więc namalować niebo purpurowe a gwiazdy zielone, ale powstało uczucie jakiejś trwogi, jakbyś patrzył na umieranie chorego. Purpura bowiem pogasiła gwiazdy i stawała się zarzewiem pożaru. Pomyślałem więc o efekcie negatywu – niebo złociste a gwiazdy czarne. Ale wyszło jeszcze gorzej. Jak popatrzyłem na obraz, to zobaczyłem tylko ogromne stada wron, krążące nad ziemią. No to może teraz jeszcze inaczej – uduchowić te gwiazdy i pokazać je w formie ludzkich twarzy. I znowu klapa. Zobaczyłem bowiem swoistą paradę odrąbanych głów. Wtedy spróbowałem oddać gwiazdy w kształcie świetlnych wielokątów. Wyszła jednak tylko chłodna abstrakcja, jakaś geometryczna gra wyobraźni. Mój następny pomysł polegał na tym, że przedstawiłem gwiazdy z długimi zaostrzonymi promieniami, które nicowały całe płótno. Ale wyszła mi z tego tylko jakaś dziwna sieć. Kolejny pomysł – pokazać gwiazdy jako iskierki, powstające na styku dwóch przewodów elektrycznych. I znów wyszło zupełnie nie to co chciałem. Gwiazdy wyglądały jak zimne ognie na bożonarodzeniowej choince. Zdecydowałem wtedy, by tym razem oddać gwiazdy jako różnobarwne świetlne półokręgi, biegnące eliptycznymi trajektoriami. Ale na obrazie wyszły mi z tego tylko migracje jakichś bajecznych ptaków. Skończyło się więc na tym, że nigdy nie znalazłem odpowiednich barw, żeby oddać tę nieskończoność. Wymazałem więc wszystko i zagruntowałem płótno, przygotowując je pod jakikolwiek pejzaż, przeznaczony na sprzedaż.

Po kilku latach znów się spotkali. Przypadkiem, na zatłoczonej tbiliskiej ulicy. Mazurin chwycił delikatnie przyjaciela za łokieć i odciągnął na bok: – Wiesz, przeszedłem dwa zawały, więc trzeci z pewnością mnie zabije. Sądzę, że chętnie byś mnie spytał, czy nadal jestem tym samym bezbożnikiem co zawsze. Na razie zostawmy to pytanie, bo chcę ci powiedzieć co innego. W ostatnim czasie prześladuje mnie myśl, która nie daje mi spokoju: co znajduje się za granicami tego widocznego świata? Tam, powyżej gwiazd! Wydaje mi się, że nie wierzę w Boga. Ale czasami też wydaje mi się, że oszukuję samego siebie... Łapię się bowiem na tym, że często, w czasie rozmowy, używam słowa BÓG. Dlaczego? – nie mam pojęcia…

– Pewnie dlatego – odrzekł przyjaciel – że to twoje gwiezdne niebo, stało się dla ciebie spotkaniem z największą TAJEMNICĄ.

Paweł Krysa

Od lewej Anna Giełdon, Hanna Rząca i Joanna Racka
Niżej Ewa Kunicka

Ikona zatrzymuje czas

– Gdy byłam dzieckiem, tata posadził mnie na kolanach, otworzył album z ikonami, akurat na Włodzimierskiej Ikonie Matki Bożej, i spytał: – Namalowałabyś?

– Oczywiście – odpowiedziałam z całą dziecięcą naiwnością, przecież malowanie uwielbiałam – mówi **Anna Gełdon** z domu Mielnicka, wnuczka batiuszki **Lwa Mielnikowa** i matuszki **Zofii**, pochowanych obok cerkwi św.św. apostołów Piotra i Pawła w Siemiatyczach.

– To zawiozę cię na obóz ikonograficzny – powiedział. Wziął mnie i moją siostrę i pojechaliśmy z Elbląga do Bielska Podlaskiego. Obóz prowadził o. **Leoncjusz Tofiluk**. A tam same zaskoczenia. Jesteśmy najmłodsze. Patrzy na nas ojciec Leoncjusz i pewnie się zastanawia – przyjąć nie przyjąć. I w tym momencie do jego kancelarii wpadają trzy roześmiane studentki. – Zaopiekujecie się nimi? – wskazuje duchowny na nas. – Tak – odpowiadają. I tak zostałyśmy na naszym pierwszym obozie ikonograficznym. Tamte studentki wydawały mi się mądre, zdolne. I drugie zaskoczenie – w szkole w Elblągu tylko ja i siostra byłyśmy prawosławne, a tu wszyscy wokół! Nie jesteśmy inne, nie jesteśmy dziwne – odkrywałyśmy. Obóz prowadziła **Walentyna Żdanowa** z Petersburga, znana ikonograf, wspaniała nauczycielka. Praca trwała od rana do wieczora. A tak mi się chciało biegać. Seminarzyści czytali nam na dobranoc żywoty świętych. A ja tęskniłam jeszcze za bajkami. Spaliśmy w parafialnym domu na strychu. Klimat tamtego obozu pamiętam do dziś. Był dla mnie ogromnym doświadczeniem.

Anna Gełdon wracała do Bielska. Wróciła też jako słuchaczka studium ikonograficznego. Potem pielgrzymowała do Rosji i tam szukała pracowni ikonograficznych, w których mogłaby doskonalić swój warsztat. Na Uniwersytecie Jagiellońskim skończyła historię sztuki ze specjalizacją bizantynistyka. O szkole ikony ojca Leoncjusza mówi: – Ma w sobie rygor i ogromny szacunek do ikony, będąc jednocześnie szkołą duchowości i miłości. Ludzie, którzy z niej wyszli, pilnują naszej tradycji, tworzą kulturę, trzymają się wyznaczonej tam drogi. Po latach spotykamy się ze sobą z ogromną przyjemnością jako absolwenci tej szkoły.



Anna mieszka w Krakowie. Tu ma rodzinę, dom, w nim pracownię ikonograficzną. Urodziła **Konstantego** oraz **Anastazję** i **Dionizego**. Chodzą do cerkwi przy Szpitalnej. W swojej pracowni organizuje warsztaty ikonograficzne. Przychodzą głównie katolicy. Mówią, że prawosławna sztuka zachowała w sobie szlachetność, jest wolna od łzawej sentymentalności. Ikona tak zrosła się z jej życiem, że kiedy wyjeżdżała do Gdańska, Anastazja z niepokojem pytała: – Mamo, jak wytrzymasz tydzień bez ikonek! Mama wyjaśniła, że jedzie innych uczyć pisania ikonek. To były warsztaty dla malarzy, organizowane w Akademii Sztuk Pięknych.

Teraz zakłada fundację Dobra Sztuka. W jej ramach chce wspierać sztukę sakralną, uczyć ludzi, jak odróżniać dobrą sztuką od kiczu, wskazywać – tu tandetny obraz a tu dobra ikona, chce uczyć Polaków gustu i smaku poprzez wystawy, wykłady, kursy, publikacje, a nawet aukcje. Wie, że teraz trudno o dobrą sztukę w Kościele rzymskokatolickim.

Annę spotykam w Supraślu. Tu przez lutowy tydzień prowadziła warsztaty ikonograficzne. Przyjechała ze swoimi uczennicami z Krakowa. Panie z innych miejscowości też dołączyły. 10 lutego był dniem zesłanym przez Pana



dla rozjaśnienia mroków zimy. Wszystko tonęło w blasku słońca, obrysowane białymi poduszkami śniegu. Na tej, leżącej wokół cerkwi Zwiastowania,



nikt nie postawił jeszcze od rana śladu. Z niej, jak z obłoku, strzelała cerkiew w błękit nieba. W skrzydle Pałacu Archimandrytów skupiły się uczennice sztuki pisania ikon. Ich pokój napełnił się długimi smugami zimowego słońca. Na stołach słoiczki z farbami. Za oknem widok na czarną wstęgę Supraśli, odcinającą wyniesioną wysoko monasterską skarpę od wybielonych zimą łąk i dalej ciemnego pasa Puszczy Knyszyńskiej. Z drugiej strony miasteczko, jakby nie zbudzone ze snu.

Larysa Nitecka przyjechała z Elbląga. – Tu znajduję atmosferę zacisza – mówi. – Widok mnichów, cerkwi, ikon, polichromii, wszystko to każe zastanowić się nad duchowym życiem. Tu widać ikonę w jej prawdziwym życiu. W wielu innych miejscach Polski staje się ona czymś abstrakcyjnym, wyjętym z kontekstu, muzealnym. Tu można jej się pokłonić, pocałować ją.

– W Krakowie mam codzienność – mówi pracująca w urzędzie miasta Krakowa jako konserwator zabytków **Joanna Racka**. – Kiedy przybywam do Supraśla, wkraczam w sacrum i odświętność. Mamy tu jedną, drugą, trzecią cerkiew, w miasteczku dwa kościoły, pałac Buchholtzów, zaciszne uliczki. Obraz Supraśla pielęgnuję przez cały rok, by znów tu wrócić, w tym roku po raz piąty.

– Potrzebowałam odmiany – ciągnie. – Zaczęłam chodzić na zajęcia plastyczne do domu kultury. Tam jednym z zajęć była nauka pisania ikon. Poziom absolutnie początkowy. Nie o to mi chodzi, stwierdziłam. Chciałam gruntownie poznać technikę. Przeczytałam ogłoszenie o warsztatach pisania ikon i znalazłam się u pani Ani Gełdon. To jest to! To co lubię. To zgłębianie tajemnicy. To ciągłe odkrywanie świętości i siebie.

Dominika Krupińska mieszka pod Krakowem, urodziła się i dojrzewała w Warszawie. Jest doktorem teologii katolickiej. Jej głównym zajęciem jest tłumaczenie literatury duchowej, z angielskiego głównie, czasem łaciny i rosyjskiego. Uczy też katechezy. Szła z Dworca Głównego na Rynek. Przy Szpitalnej na cerkwi zatrzymała ją kartka. – A ponieważ wszystko naokoło czytam i tę przeczytałam – mówi. – Informowała o ruszających kursach ikonograficznych. Bardzo chcę się tego uczyć, wiedziałam, choć nie mam przygotowania plastycznego. Zaczęłam chodzić raz w tygodniu w Krakowie na kursy do pani Ani i drugi raz jestem na warsztatach w Supraślu. Tu wszystko tworzy wspaniałą atmosferę duchową – monaster, mnisi, łąki, puszcza.

Dominika przetłumaczyła między innymi z rosyjskiego pouczenia batiuszki **Ioanna Kronsztadzkiego**, wydane przez znane wydawnictwo M. – W swoich myślach używał on całych fraz liturgicznych. By je przełożyć, musiałam sięgać do słownika języka staroruskiego, nawet do greki. To była praca detektywistyczna. Wiem, że ta książka dla łacinnika jest jak orzeźwiający letni deszcz. Pięknie tu napisano o Eucharystii i innych sakramentach, powiązano wiarę z naturą. Św. Ioann żył w czasach ataku pogaństwa. To samo obserwujemy teraz w całej Europie. Książka została więc napisana jakby dla współczesnego czytelnika.

Dominika mówi, że sporo duchowej literatury rosyjskiej czeka na tłumaczenie. Tylko jakie wydawnictwo podejmie się ryzyka wydawania na polskim rynku takich książek?

– U nas w Kościele katolickim nie ma możliwości jednoczesnych przeżyć duchowych i estetycznych – mówi **Ewa Kunicka**. – A dla mnie to pisanie ikon? – zastanawia się – To jak dotknięcie w tym szalonym, zabieganym świecie takich wartości jak prawda, piękno i dobro.

Ewa Kunicka skończyła liceum plastyczne w Supraślu. Przyjechała z Przasnysza. – Szkoła plastyczna trochę pomaga w wyczuciu kolorystycznym – stwierdza – a trochę przeszkadza w technice. Tu technika jest całkowicie inna. Jest bardzo trudna i fascynująca zarazem.

Tu jeśli masz odwagę i zapał, możesz przyjść i zobaczyć, jak się pisze ikonę. Nauczyć się. Wiele kursów kierowanych jest do organizowanych w ramach Kościoła katolickiego absolwentów szkół plastycznych.

Modlitwa, odwaga i wytrwałość są najważniejsze – przekonuje nauczycielka sztuki pisania ikon. – Nieraz obserwuję niepojęte rozumem zjawisko. Ktoś próbuje pisać ikonę. Nic mu nie wychodzi, bywa że latami. I nagle wszystko się otwiera. Zaczyna pisać piękne ikony. Wiem, że to jest działanie Ducha Świętego.

Niemal wszystko przyspieszyliśmy – błyskawicznie przemieszczamy się w przestrzeni, posyłamy listy elektroniczne, obliczamy, produkujemy. Pozbyliśmy się radości trwania w twórczości. Tylko ikona zatrzymuje czas. Praca nad nią wygląda tak jak setki lat temu. Ta praca ma siłę wyciszania, skupiania, przemieniania i prowadzenia do Boga i zbawienia. I niech tak zostanie.

Anna Radziukiewicz
fot. **autorka**

Lucja Orzechowska (przy mikrofonie) wraz z dziećmi, tworzącymi różne zespoły muzyczne

Forum odwagi

Zainicjowane przez dyrektor departamentu edukacji urzędu miejskiego w Białymstoku Lucję Orzechowską „Forum szkół" miało w tym roku osiemnastą odsłonę. Odbyło się 13 lutego w Teatrze Dramatycznym im. Aleksandra Węgierki. „Z odwagą w przyszłość" – brzmiało tegoroczne jego hasło. A poszukiwanie tej odwagi miało się odbywać na gruncie tradycji chrześcijańskiej, podobnie jak w przypadku poprzednich tego typu zgromadzeń, kiedy rozmawiano na przykład o potrzebie budowania więzi, o nadziei, o miłości i odpowiedzialności, o jedności w różnorodności, o współdziałaniu rozumu i serca. Głównym architektem każdego z tych zgromadzeń była Lucja Orzechowska.

W tym roku do kilkuset zgromadzonych dyrektorów białostockich szkół i nauczycieli, dyrektorów firm, przedstawicieli władz, mówił o odwadze ks. prof. **Tadeusz Guz**, teolog i filozof, który przez dwadzieścia lat nauczał na uniwersytetach niemieckich, a teraz związany jest z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim. Mówił o odwadze człowieka w wymiarze biblijnym, odwołując się często do najważniejszego dla Zachodu doktora teologii, Tomasza z Akwinu, oraz nauczania papieża Franciszka.

Polonista z Uniwersytetu w Białymstoku, prof. **Dariusz Kulesza**, wygłosił swój wykład – porywająco i ze swadą – chyba nie tak, jak tego publiczność oczekiwała, bo przekroczył schematy. Nie mówił o literaturze polskiej, która dodaje narodowi odwagi, rozgrzewając patriotyczne uczucia. Mówił o tym, że współczesna literatura nie potrafi zrzucić z siebie romantycznego, XIX-wiecznego płaszcza Konrada, czyli ciągle mówi głosem narodu, a nie potrafi mówić o indywidualnych, egzystencjonalnych problemach człowieka. Zarzucił też polskiej literaturze, że ma problemy z przedstawieniem transcendencji, a Boga traktuje instrumentalnie, Jego uniwersalizm zawężając do interwencji w narodowy byt Polaków czy wręcz oczekując od Niego służby narodowi.

W trzecim, moim wystąpieniu, skupiłam się na kusej ludzkiej logice, która jakże często zamiast zbliżać, oddala człowieka od Boga. Mówiłam o odwadze życia według praw duchowych, które są inne od praw materialnych, o odwadze przycinania dzikich gałęzi własnego egoizmu po to, by zrobić miejsce Bogu i ludziom, o odwadze myślenia dobrze o innych ludziach, o potrzebie dobrych myśli. O tym, że jeśli mamy iść odważnie w przyszłość, to tylko z Bogiem, naszymi świętymi i wielowiekową tradycją, która skupia najlepsze doświadczenia pokoleń. Inaczej będzie to błądzenie lub schodzenie na manowce, które ostatecznie w proch rozbije naszą odwagę wtedy, gdy będziemy się tego najmniej spodziewać.

Tegoroczne Forum było dla **Lucji Orzechowskiej** pożegnalne, jako dla wieloletniego dyrektora departamentu edukacji. Dlatego zgromadziło wielu jej przyjaciół, ludzi ceniących jej organizacyjny talent i niespożyty zapał, rodzący mnóstwo dobrych inicjatyw. Za dobrą współpracę dziękował na scenie teatru wiceprezydent Białegostoku **Adam Poliński**, dyrektorzy szkół, przedszkoli. W imieniu prawosławnych dziękował o. **Jan Fiedorczuk**, proboszcz katedralnej cerkwi św. Mikołaja w Białymstoku, kierownik wydziału katechetycznego diecezji białostocko-gdańskiej, reprezentujący arcybiskupa białostockiego i gdańskiego **Jakuba**.



– Dyrektor Lucja Orzechowska zawsze umiała dostrzec w naszym mieście społeczność prawosławną, zachęcić ją do głosu – zauważyła dla PP obecna na uroczystościach **Lucja Niemierowicz**, dyrektor przedszkola samorządowego nr 14 w Białymstoku.

Forum zakończono koncertem. Usłyszeliśmy śpiew i zobaczyliśmy tańce setek dzieci i młodzieży, tworzących zespoły w różnych białostockich szkołach. To był pokaz imponującego artystycznego dorobku.

– Pani Orzechowska bardzo inspirowała dyrektorów i nauczycieli do artystycznej pracy z młodzieżą. Przecież to w dużej mierze jej dorobek – wskazując na scenę skomentowała Lucja Niemierowicz.

Anna Radziukiewicz
fot. **autorka**

■ Ponad 47 tys. Polaków umiera rocznie z powodu wysokiego poziomu zanieczyszczenia powietrza. 87 proc. tych szkodliwych emisji pochodzi z domowych palenisk, a 9 proc. z koksowni i elektrowni. Koszty leczenia chorób, spowodowanych zanieczyszczeniami powietrza, wynoszą w Unii Europejskiej 940 mld euro rocznie. Z wypowiedzi prof. **Andrzeja Lekstona**, kierownika Pracowni Hemodynamiki Śląskiego Centrum Chorób Serca w Zabrzu: „Maski nie są dobrym rozwiązaniem. Takie zwykłe, chirurgiczne, w niewielkim stopniu nas ochronią. Lepsze kosztują ponad 200 zł plus filtry. Ile osób na to stać? Zawsze uważam, że w życiu najdroższa jest bieda. Jeśli ludzie sami nie zrozumieją, że paląc w piecach wszystkim co wpadnie w ręce oszczędzają tylko doraźnie i szkodzą sobie, swoim dzieciom, starszym członkom rodziny, sąsiadom, to problem nie zniknie. Jeśli nie będziemy o siebie dbać, badać się profilaktycznie, bo np. nie mamy pieniędzy na wizytę u lekarza, to problem nie zniknie. Sami sobie tworzymy smog”.

■ Prognozy **Ryszarda Florka**, właściciela Fakro, producenta okien dachowych: „Stajemy się krajem półkolonialnym. Mamy demokrację, wolność i puste kieszenie. Ludzie będą wyjeżdżać. I Polska zostanie wyczyszczona z lekarzy, murarzy, kierowców, pielęgniarek, bo takie osoby bez problemu znajdą pracę na Zachodzie. W kraju zostaną politycy, prawnicy, nauczyciele, urzędnicy i emeryci. To się już dzieje”.

■ Z rozmowy w tygodniku „Przegląd” z **Łukaszem Turskim**, profesorem w Centrum Fizyki Teoretycznej PAN i przewodniczącym Rady Programowej Centrum Nauki Kopernik, zatytułowanej „Triumf nieuctwa”: „Część ludzi została wychowana w przekonaniu, że nie ma reguł. Że jest postprawda, jakaś „narracja”. Oni panicznie boją się tego, co się dzieje. Różne facebooki i tzw. media społecznościowe zalane są postprawdą. To dlatego, że użytkownicy nie potrafią odróżnić, co jest prawdą, a co nie. A gdzie mieli się nauczyć? Nie mogli się nauczyć, bo odpuściliśmy uczenie dzieci i młodzieży, że prawda jest obiektywna. (...) Mam wrażenie, że zrobiliśmy wielką krzywdę ludziom, niewłaściwie przygotowując ich do życia. Teraz są wystraszeni i jak ktoś przyjdzie i powie, że będzie lepiej, bo on im to jakoś zapewni, gotowi są mu uwierzyć. Oni naprawdę mają powody, żeby się bać! Bo tego nie ogarniają. I to nie jest ich wina, tylko nasza. Są też ci, którzy ogarniają, ale też boją się przyszłości. Bo myślą, żę w tej przyszłości nie będzie dla nich miejsca”.

■ Prof. **Zbigniew Mikołejko**, kierownik Zakładu Badań nad Religią Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk: „W normalnych warunkach, gdyby wpompowano 12 proc. budżetu w rozdawnictwo, notowania rządzącej partii powinny poszybować powyżej 50 proc. A słupki PiS stoją w miejscu. Kaczyński postawił na społeczeństwo nieobywatelskie, społeczeństwo niepartycypacji, czyli takie, które nie uczestniczy w życiu publicznym, nie interesuje się polityką, nie czyta gazet. Ta grupa w naszym kraju jest bardzo liczna. W 1989 roku aż 40 proc. uprawnionych do głosowania nie wzięło udziału w wyborach, które miały przesądzić o kształcie ustrojowym Polski. Potem absencja była jeszcze większa. Jarosław Kaczyński wierzy, że uda mu się tę grupę nieuczestniczących przeciągnąć na swoją stronę. Próbuje ich mobilizować, posługując się „teologią polityczną” Carla Schmitta, a więc zarządzania społeczeństwem przez konflikt. Ale Polska to nie Niemcy z lat 30., a III RP to nie Republika Weimarska. Rok 1989 nie był klęską, lecz zwycięstwem...”.

■ Z rozmowy z 2015 roku z niedawno zmarłym prof. **Zygmuntem Baumanem**: „W wielkim więc skrócie i uproszczeniu mogę tylko stwierdzić, że błogi spokój jest ostatnią w kolejce wiarygodnych prognoz. Podział na elitę i całą resztę, na ukontentowanych i wyeksmitowanych, garstkę wybranych i masę przegranych, jest jak składnica prochu, obsługiwana przez namiętnych palaczy. Za Jurijem Łotmanem, wielkim rosyjskim literaturoznawcą i filozofem, posługuję się przenośnią pola minowego, o którym wiemy, że materiałów wybuchowych na nim mnóstwo, że do wybuchów dojść musi, tyle że nie da się z góry przewidzieć, gdzie i kiedy nastąpią”.

■ Dr **Sławomir Dębski**, historyk, politolog, dyrektor Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, o pożytkach z telewizji Biełsat (Rzeczpospolita Plus-minus, 14-15 I 2017): „Po pierwsze, Biełsat jest instrumentem naszej polityki wobec Białorusi, a więc okresowo musi podlegać ocenie pod względem efektywności. Kontekst międzynarodowy się zmienia, trzeba się zastanowić, czy nie dostosować naszych narzędzi. Po drugie, nie wiem, ile ostatecznie osób ogląda Biełsat, ale wiadomo, że ogląda go Aleksander Łukaszenko, a w każdym razie kilka razy zabrał głos na temat programu tej stacji. Po trzecie, przez dziesięć lat zainwestowaliśmy w Biełsat około 40 mln euro. Rocznie przeznaczamy na ten cel około 4 mln euro. Skala możliwości decyzji w sprawie Biełsatu jest potencjalnie szeroka, ale tylko zamknięcie stacji ma charakter nieodwracalny. Jeśli więc prezydent Łukaszenko chciałby polskie władze skłonić do refleksji na temat funkcjonowania Biełsatu, to sądzę, że powinien mieć pomysł na jakiś polityczny ekwiwalent. Próbowaliśmy już bardzo różnej polityki wobec Białorusi: raz sankcji, raz odprężenia. Od wejścia do UE na wspieranie białoruskiej demokracji wydaliśmy w różnych formach około 140 milionów euro. Wciąż powinniśmy wspierać białoruską niepodległość, ale nad metodami można się zastanawiać”. Z innego tekstu w tym samym numerze tej samej gazety: „Biełsat znowu wygrał. Premier Beata Szydło osobiście obiecała dyrektor Agnieszce Romaszewskiej-Guzy, że nikomu włos z głowy nie spadnie, a w telewizji zmian na gorsze nie będzie. Dyrektor stacji sama poprosiła o spotkanie z szefową rządu, a odzew był bardzo szybki. Z ulgą odetchnęli dziennikarze, technicy i współpracownicy – i ci z Warszawy, i ci z Mińska, ponad 200 osób”.

BUŁGARIA

Odnaleziono zabytkową Ewangelię

W jednej z bułgarskich świątyń odnaleziono rzadki, 400-letni egzemplarz Ewangelii. Księga, przechowywana całe stulecia w ukryciu, zawierała zapiski o ważniejszych wydarzeniach z historii Bułgarii. Wydrukowaną w 1644 roku cyrylicą Ewangelię odnaleziono po śmierci proboszcza cerkwi św. proroka Eliasza w miasteczku Wojneża. Teraz znajduje się ona w Narodowym Muzeum Historii w Sofii.

Bogato zdobiona Ewangelia była często wykorzystywana podczas nabożeństw, na co wskazują ślady wosku i zniszczone dolne skraje stronic. Na wyklejce zachowały się zapiski, dotyczące różnych wydarzeń z bułgarskiej historii.

W 1644 roku Bułgaria znajdowała się w tureckiej niewoli. Jeden z zapisów wspomina powstanie Bułgarów przeciwko Turkom w 1835 roku.

Oprócz Ewangelii znaleziono także wydrukowany w Moskwie w 1838 roku Irmołogion.

GRECJA

Przeciwko propagandzie sodomii w szkole

Przeciwko tygodniowi „Ciało i tożsamość" z lekcjami poświęconymi tolerancji wobec homoseksualizmu i transseksualizmu wystąpiła Grecka Cerkiew Prawosławna.

„Tematyczny tydzień", który wywołał zdecydowany sprzeciw w środowisku pedagogów, omówiono także na posiedzeniu synodu greckiej Cerkwi. Hierarchowie podjęli decyzję o rozesłaniu do wszystkich diecezji tekstu ministra oświaty **Kostasa Gawroglu**, by wspólnie przygotować ogólnocerkiewne stanowisko.

Minister oświaty w ostatnim oświadczeniu dolał tylko oliwy do ognia, informując że seminaria o genderowej tożsamości będą obowiązkowe dla wszystkich greckich uczniów: – *Rodzice nie będą mieli prawa nie puścić swoich dzieci na zajęcia.*

„Tydzień tolerancji" wywołał protest ze strony duchownych i całej społeczności. Wielu rodziców podpisało oświadczenia, że ich dzieci nie będą uczestniczyć w niedzieli „ciało i tożsamość". Nauczyciele odmówili prowadzenia lekcji, sprzecznych z prawosławną wiarą i zasadami Ewangelii.

W liście otwartym do ministra oświaty metropolita pirejski **Serafin** wezwał do jak najszybszego stawienia czoła nadciągającemu bezeceństwu. – *Publiczna demonstracja i propaganda homoseksualizmu nie tylko znieważa moralność społeczeństwa i uczucia religijne. Wzywa młodzież do nieadekwatnych seksualnych zachowań i jest miną podłożoną pod fundamentem greckiej rodziny i doświadczającego ostrego kryzysu demograficznego społeczeństwa, wywołuje też psychopatologiczny rozstrój u dzieci, które będą wychowywane przez homoseksualne pary*.

W podobnym duchu wypowiedział się także metropolita Kalawrii **Ambroży**. Ostro skrytykował politykę rządu, narzucającego uczniom rozwiązłość i niemoralność. Jego zdaniem minister oświaty jest ministrem bezwstydności, który w sposób demonstracyjny ignoruje wszystkie protesty przeciwko „lekcjom tolerancji".

Władyka wyraził przekonanie, że ministerstwo oświaty „wykonuje cudze rozkazy". To zachodnie ośrodki, a nie sami Grecy, decydują o wszystkich sprawach.

Metropolita dodał też, że „międzynarodowe stowarzyszenie sodomii realizuje stopniowy plan zmiany ludzkości". Jako przykład pokazał kartkę z wydrukowanego w Kanadzie podręcznika w języku greckim – w nim homoseksualne pary, wychowujące adoptowane dzieci, są prezentowane jako norma.

ROSJA

Nieznany portret Kseni Peterbusrskiej

Portret olejny Kseni Petersburskiej odnaleziono w zbiorach Ermitażu. Zdaniem badaczy to jedyny wykonany za życia wizerunek niebiańskiej opiekunki Sankt Petersburga. Praca została odrestaurowana i wystawiona w publicznej strefie konserwatorskiego ośrodka Ermitażu „Stara wieś" – doniosły Izwiestija.

– *Kiedy w muzeum są tak wielkie zbiory, to naturalne, że niektóre z przedmiotów nie od razu wchodzą do naukowego obiegu. Podczas systematyzacji zasobów zatrzymaliśmy się na portrecie, na który wcześniej nikt nie zwracał specjalnej uwagi* – powiedział pracownik naukowy muzeum **Dymitr Gusiew**.

Portret Kseni Petersburskiej



Nieduże płótno trafiło do Ermitażu z rozwiązanego przed wojną historyczno-gospodarczego oddziału Rosyjskiego Muzeum. Tam z kolei przywiózł go w 1930 roku z Cmentarza Smoleńskiego kolekcjoner **Fiodor Morozow**. Podczas badań laboratoryjnych przeprowadzonych w Ermitażu – zwłaszcza chemicznej analizy podkładu – okazało się, że obraz został namalowany na przełomie XVIII i XIX wieku.

– *Widać, że o portret dbano, otaczano czcią. W warstwie farby było bardzo dużo sadzy i oparzelizny, to znaczy, że przed obrazem stała świeca albo lampka oliwna. Nim płótno trafiło do muzeum, niejednokrotnie oczyszczano je z nagromadzonego brudu, odświeżano nowymi farbami, a nawet dokonywano pewnych zmian* – powiedział konserwator **Mikołaj Malinowski**. – *Okazało się, że później ktoś wydłużył białą koszulę, powiększył Kseni plecy i zmienił uczesanie, czyniąc je bardziej kobiece – na najwcześniejszej warstwie widoczny jest kontur wcześniejszej krótszej fryzury. Przy oczyszczeniu wizerunku pojawiła się siwizna. Ciekawe, że oblicze świętej namalowane jest wyraźnie, a tło –*

pierś z krzyżem i koszula – w sposób bardziej umowny.

Portret został sporządzony pewnymi pociągnięciami, za jednym zamachem – uważa Mikołaj Malinowski. – *Najprawdopodobniej artysta przenosił rysy Kseni, kiedy siedziała. W każdym bądź razie portret jest zindywidualizowany, to nie fantazja i nie uogólnienie. Oczy artysty widziały tego, kogo przedstawił* – powiedział konserwator.

RUMUNIA

Cerkiew wzywa do dialogu i zachowania jedności

W odpowiedzi na antyrządowe demonstracje, które odbyły się w Bukareszcie i innych miastach Rumunii, rumuńska Cerkiew wydała specjalne oświadczenie.

„Z powodu konfliktów między dwiema głównymi instytucjami kraju oraz polaryzacji narodu sytuacja w rumuńskim społeczeństwie jest bardzo napięta. Zachowując neutralność wobec polityki, Cerkiew nie pozostaje obojętna w kwestiach społecznych, okazując wrażliwość wobec głównych potrzeb narodu: sprawiedliwości społecznej, zmniejszenia ubóstwa i wzrostu poziomu życia” – czytamy w oświadczeniu. „Walka z korupcją powinna trwać, a winowajcy powinni ponieść karę, ponieważ defraudacja i przywłaszczenie cudzej własności poniżają społeczeństwo zarówno w moralnym, jak i materialnym aspekcie”.

Jednocześnie hierarchowie Rumuńskiej Cerkwi Prawosławnej przestrzegają: „Walka z korupcją nie powinna być wykorzystana przez polityków do ich intryg, a sankcji wobec skorumpowanych ludzi nie należy mylić z ich zniszczeniem”. Cerkiew przypomina, że celem kary jest odbudowa społecznej sprawiedliwości i uświadomienie swojej winy przez tych, którzy wyrządzili szkodę społeczeństwu oraz ich skrucha. Wzywa do modlitwy, dialogu i społecznej współodpowiedzialności. „Modlitwa jest konieczna, ona bowiem wyjaśnia przyczynę, uspokaja egoistyczne namiętności i wypracowuje zgodę w miłości między ludźmi i Panem” – podkreśla w oświadczeniu.

„Dialog jest konieczny także po to, by pokonać konflikty między ludźmi, instytucjami i różnymi społecznymi ugrupowaniami” – uważają hierarchowie rumuńskiej Cerkwi. „Społeczeństwo potrzebuje konkretnych, wypracowanych wspólnie decyzji”.

Także patriarchat rumuński wzywa „wszystkie sługi świętego ołtarza oraz wszystkich wiernych do modlitwy za pokój i jedność rumuńskiego narodu, za odnowę moralnego i duchowego życia rumuńskiego społeczeństwa”. Zachęca także do dialogu i współodpowiedzialności w społeczeństwie.

SERBIA

„Zabij Serba”

Graffiti z pogróżkami pojawiły się na budynku należącym do Serbskiej Cerkwi Prawosławnej w mieście Gnilane. Na barze szybkiej obsługi przy ulicy prowadzącej do cerkwi św. Mikołaja nieznani sprawcy napisali: „Zabij Serba”, „Wybij wszystkich Serbów”, „Armia Wyzwolenia Kosowa”, a także namalowali swastykę.

Randżel Bušatović, dzierżawca pomieszczenia, na którym pojawiły się napisy, przyznaje, że w ciągu 64 lat swego życia z niczym podobnym się nie spotykał. – *Jestem tutaj najstarszym Serbem, dzisiaj rano byłem w szoku* – przyznał.

Dyrektor kancelarii samorządu miasta Gnilane **Miliwoje Zivković** mówi, że graffiti na serbskich obiektach pojawiały się także wcześniej, ale do tej pory nie zawierały wezwania do zabójstwa.

Na ścianach szkoły „Vuk Karadzič” i znajdującym się w bliskim sąsiedztwie cerkwi ambulatorium pojawił się napis po albańsku „Zarżnij Serba”. Inne, zniesławiające pamięć zmarłych, zdanie pojawiło się na kiosku.

Gnilane to zamieszkały punkt w Autonomicznym Kraju Kosowa i Metochii, republiki Serbii. W 1990 roku władze Serbii faktycznie utraciły kontrolę nad Gnilane. W marcu 2004 roku miasto było jednym z dużych ośrodków serbskich pogromów na terenie Kosowa i Metochii – wszyscy Serbowie zostali wypędzeni z miasta, a ich domy spalone. Na ulicy, na której doszło do incydentu, znajduje się tymczasowy rynek, na którym Serbowie sprzedają płody rolne.

UKRAINA

Cerkiew nie dzieli narodu na „swoich” i „cudzych”

– *Nienawiść przezwycięża się tylko przebaczeniem i miłością, chociaż droga do wzajemnego przebaczenia jest bardzo trudna. Cierpienia, ból i straty pozostawiły głębokie ślady w sercach wielu osób* – powiedział w wywiadzie dla gazety „Argumenty i fakty” wikariusz kijowskiej diecezji Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej, biskup bojarski **Fieodosij**.

– *Wojna ustanie nie wtedy, kiedy przestaną strzelać, lecz wtedy, kiedy przestaną nienawidzić. Wydaje się, że wybaczyć nie można, że to jest ponad ludzkie siły. Jednak wiem, że to co jest niemożliwe dla człowieka, jest możliwe dla Boga. Właśnie dlatego nasza Cerkiew nieustannie modli się, żeby Bóg darował nam pokój. Pokój nie tylko na naszej pełnej cierpień ziemi, ale i pokój w duszach* – powiedział władyka, który właśnie wrócił ze strefy konfliktu.

Hierarcha podkreślił, że Cerkiew zwraca się do wszystkich ludzi ze słowami pokoju i miłości. – *Wszechukraiński Krestnyj Chod dowiódł, że ludzi, którzy chcą pokoju w naszym kraju, jest mimo wszystko więcej. Na przykładzie Krestnego Chodu mogliśmy zobaczyć siłę wspólnej modlitwy. Właśnie modlitwa Cerkwi połączyła ludzi o różnych politycznych i ideologicznych poglądach. Wśród uczestników Krestnego Chodu nie było „ukropów” ani separatystów. Byli prawdziwi bracia. Bracia w duchu i w wierze.*

We wszystkich świątyniach naszej ojczyzny z błogosławieństwa metropolity Onufrego zanoszone są modlitwy o pokój na Ukrainie. Także w okresie postu każdy prawosławny chrześcijanin podejmuje się dodatkowego trudu – pokłonów do ziemi, czytania Psałterza, Ewangelii, modlitwy Otcze nasz – przypomniał hierarcha. Podkreślił, że głównym zadaniem Cerkwi i wszystkich chrześcijan jest modlitewne stanie

Побач: давня жэмэрва, вёска Збуч, гармоніста Владімір Муравскі з Вуорлі, 1950 р.

przed Bogiem. – *Wszyscy powinniśmy o tym pamiętać i złożyć nasze wysiłki na ołtarzu nieustannej modlitwy do Boga. I wtedy możemy być przekonani, że Pan nas usłyszy. Przecież wszyscy pamiętamy słowa Ewangelii: „Jeżeli którego z was, ojców, syn poprosi o chleb, czy poda mu kamień? Albo o rybę, czy zamiast ryby poda mu węża? Jeśli więc wy, choć źli jesteście, umiecie dawać dobre dary swoim dzieciom, o ileż bardziej Ojciec z nieba da to co potrzebne tym, którzy Go proszą".*

Hierarcha zwrócił uwagę, że Cerkiew na wszystkie procesy, zachodzące w państwie, patrzy nie z punktu widzenia polityki czy korzyści, lecz w pierwszej kolejności z punktu widzenia zasad ewangelicznych i chrześcijańskiej moralności. – *Ewangelia umacnia powszechny charakter Cerkwi. To znaczy Cerkiew łączy, a polityka przeciwnie, dzieli. Innymi słowy Cerkiew to matka wszystkich, a nie niektórych, Dlatego, jeśli dzieci kłócą się, awanturują, kaleczą się, kochająca matka nie może się cieszyć, że jeden z nich zwycięża, a drugiemu sądzone jest cierpienie* – podkreślił. – *Nasza Cerkiew nigdy nie będzie dzielić swego narodu na „swoich" i „cudzych". To robią politycy, my natomiast myślimy kategoriami wieczności i zbawienia. I miłości do swych duchowych dzieci. Właśnie dlatego kanoniczne terytorium naszej Ukraińskiej Prawosławnej Cerkwi pozostaje niezmienne i obejmuje zarówno Donbas, jak i Krym. Nie możemy wyrzec się swoich wiernych* – zakończył hierarcha.

Śmierć jest najważniejszym duchowym egzaminem

Sensem życia ludzkiego jest przygotowanie do wieczności, spotkania z Bogiem, a śmierć jest najważniejszym duchowym egzaminem – powiedział zwierzchnik Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej, metropolita kijowski i całej Ukrainy **Onufry**. Hierarcha podkreślił, ze śmierć jest nie tyle karą, ile niezbędnym leczeniem.

– *Przecież jeśli ludzkość, znajdując się w upadłym stanie, pozostawałaby nieśmiertelna, ulegałaby coraz większej duchowej degradacji. I w efekcie zamieniłaby się w społeczność diabłopodobnych istot. Dlatego miłosierny Pan ograniczył czas naszego życia, dając każdemu możliwość wykazania woli wewnętrznej walki między dobrem i złem. A kiedy nastanie powszechne zmartwychwstanie, każdej duszy zostanie dane nowe ciało, nie podlegające grzechowi, rozkładowi i śmierci. Z tym nieśmiertelnym ciałem sprawiedliwi wejdą do raju, a grzesznicy trafią do piekła. W takim stanie człowiek będzie przebywać w wieczności.*

Na pytanie, dlaczego modlimy się w trakcie Liturgii o *biezboleznIennoj, niepostydnoj, mirnoj konczynie* hierarcha powiedział: – *Śmierć jest najważniejszym duchowym egzaminem dla człowieka. Znamy przecież przypadki, kiedy człowiek sprawiedliwy w ostatniej chwili swego życia, najczęściej z powodu małoduszności, odpadł od Boga. I odwrotnie, grzesznik, głęboko uświadomiwszy sobie swój grzeszny stan, przynosił pokajanie i stawał się godny wielkiego Bożego miłosierdzia. Jako przykład można przytoczyć podwig męczenników z Sebasty albo pokajanie rozumnego złoczyńcy. Modląc się o niepostydnoj konczinie, prosimy Boga, żeby pozwolił nam przygotować się do śmierci i duchowo umocnił nas w tym ostatnim i najważniejszym momencie ziemskiego życia, żeby przejść do wieczności z Bogiem i bliskimi.*

Żeby pocieszyć człowieka, cierpiącego nad utratą bliskiej osoby, hierarcha radził przypomnieć sobie słowa ap. Pawła: „A nie chcemy, bracia, abyście byli w niepewności co do tych, którzy zasnęli, abyście się nie smucili, jak drudzy, którzy nie mają nadziei. Albowiem, jak wierzymy, że Jezus umarł i zmartwychwstał, tak też wierzymy, że Bóg przez Jezusa przywiedzie z nim tych, którzy zasnęli" (1 Tes 4,13).

– *Oczywiście bolejemy, kiedy nasi bliscy odchodzą do wieczności. Ale taka boleść nie powinna być beznadziejna, jak z powodu bezpowrotnej straty. Śmierć jest jedynie tymczasowym rozstaniem z naszymi bliskimi. I jeżeli okażemy się godni Królestwa Niebieskiego, tam się wszyscy spotkamy. I wtedy już nikt i nic nie będzie w stanie nas rozłączyć. Dlatego nasz ból*



z powodu rozstania powinien przybrać formę gorliwego duchowego trudu – trzeba żarliwie przygotować duszę do Królestwa Niebieskiego i modlić się o przebaczenie grzechów zmarłego, żeby był przyjęty przez Boga – powiedział metropolita.

Co się tyczy kremacji, hierarcha podkreślił: – *Nie uznajemy kremacji, ponieważ nie jest ona akceptowana przez Pismo Święte. Od dawna święta Cerkiew z modlitwą dokonywała pochówku ciał zmarłych chrześcijan w ziemi, a także w wyciosanych w kamieniu grobach czy pieczarach. Chrześcijanie wiedzą, że w dzień powszechnego zmartwychwstania ziemia wyda zmarłych (Iz 26,19) i to co się sieje jako skażone, bywa wzbudzone nieskażone (1 Kor 15,42). Mamy nadzieję, że w dzień powszechnego zmartwychwstania Pan Bóg wskrzesi także nas dla życia wiecznego. Ponadto Cerkiew odnosi się do ciała chrześcijanina jak do świątyni Bożej (1 Kor 3,16). Dlatego pogrzebu dokonuje się, okazując należną modlitewną cześć zmarłemu. Cerkiew prawosławna nie pozbawia przy tym modlitewnego wspomnienia tych chrześcijan, którzy z różnych powodów zostali pogrzebani w wodnym żywiole, zginęli na polu walki, spłonęli w ogniu, stali się pokarmem zwierząt, przepadli bez wieści w wyniku trzęsienia ziemi czy innych katastrof. Wierzymy, że Bóg może wskrzesić ciało z każdego żywiołu (Obj 20,13).*

Na podstawie pravoslavie.ru i sedmitza.ru

oprac. **Ałła Matreńczyk**

fot. **pravoslavie.ru**

ISSN 1899-9018
Nr indeksu 371416

сами о собі
сами о себе
самі про себе
самі пра сябе

samiosobie

miesięcznik społeczno kulturalny /100/ marzec 2017



Музычнымі дорогамі Пудляша

Напочаткові сёго року, старанём Музея Малэйї Батькувшчыны выйшов спевнік з дыском студыі фольклёру пудляшскіх белорусув Жэмэрва. Знайшлісе тут традыцыйны песні, якія шчэ пув віеку тому назад співалися на разных семейных урочыстосцях, на гуліцях, лавочках. Опроча пісэнь, на дыскові почуем таксамо танці в выконаню капэлі Жэмэрвы, такіе як полька, обэрок, краковяк, лысы, подіспан, коробушка, за гаем.

В 2012 рокові Жэмэрва пэршы раз завэндровала до вёскі Гусакі. То тут мэжа жывого руського, пудляшского слова. Далей пуод Страблю і Вышкі воно вжэ тіхэнько і слабэнько. А в просторах над гусаковскімі полями всё шчэ гучат песні спеваны муоцнымі, тутэйшымі голосамі. Почті пув віеку тому назад іх награв **Рыгор Міхальчук** з дочкою **Валёю** і дякуючы ім іх можэм тэпэр почуті. Колі в 2011 рокові **Анна Фіонік** одкрыла тые запісы, нэ можна было одорватісе од іх слуханя. То правдіва клясыка пудляшскуй, традыцыйнцуй песні в музычнуй і словнуй просторы. Рэшэніе было яснэ – трэба тую клясыку показаті іншым. І так в 2013 г. вышла плыта "Чы я в лузі нэ каліна". На еі змест зложылісе в буольшості архівны запісы з 1971 р. Але таксамо штыры песні заспівала тут Жэмэрва, в тым тытулову. Посля вона загучыт в фільмі "Сеятель".

Руок 2013 г. быв пэрэломным для студыі Жэмэрва. Прэзэнтацыя музычного матэрыялу з вёскі Гусакі показала, на якіе шчэ скарбы нашуй культуры можна звэрнуті увагу, а тым самым продовжыті іх жыце. Досюль, в рамах Сустрэч "Там по маёвуй росі" і этнографічных экспедыцыі мы докумэнтовалі тэпэрышніх спевакув і музыкантув, створаючы тым самым богаты этнографічны архів. З тымі запісамі ділілісе мы з іншымі на выданых плытах, якіх досюль вышло вжэ 14.

Однако мало мы доследовалі архівны запісы, якіе заховалісе в прыватных архівах. Бо вжэ в 1970-ых годах, колі огульно

Жэмэрва співае в пленэрові; Леснікі к. Дорогічына, белоруске Полесе, чэрвень 2016 р.
Жэмэрва на городішчу в старожытным Турові, чэрвень 2016 р.

доступнымі сталі касэтовы магнэтофоны нпр. Грундіг, мнуого люді почало рэестроваті песні, росказы, музыку, свята. Нэкоторы робілі тое вэльмі свядомо і докладно.

Пэршою такою для нас ластовкою было одкрытіе в 2008 рокові і выдане плытою давніх запісув інструмэнтальнуй музыкі **Пётра Юшкевіч**а со Збуча і **Владіміра Муравского** з Вуорлі. После было открытіе Гусакуов. В тым самым рокові студыя фольклёру отрымала до опрацовкі архів з запісамі **Міколая Врублевского** і ёго студэнтув.





Міколай Врублевскі, белорускі філолог, родом з Храболуов, автор "Словінка говуоркі бельско-пудляшскуй" в 1969-1972 годах прошов со студэнтамі варшавскуй Кафедры Белорускуй Філологіі ціелэ Пудляшэ. Пуод кірунком профэсора студэнты запісувалі розмовы, оповесці, песні. Нагрывалі тое на добрым, на тые часы, шпулёвым магнітофоні Тэсля. Міколай Врублевскі со студэнтамі после рэдаговав запісы і згрывав іх на шпулі – маткі. Пэрэд каждою песнёю ёго голос інформуе – хто співае і з якеі вёскі. Почуем тут групы спевачы і солістув з Малеш, Дубяжына, Кнорыд, Рогавкі, Дашуов, Мілейчыц, Грабовця і іншых месцовосці. Запісы Міколая Врублевского і ёго студэнтув мают такую ж вэліку вартосць, як награня песні, которы в 1960-1970 годах робілі этнографы з Інстытуту Штукі Пульскуй Акадэміі Наук.

Подобну вэліку вартосць, тым разом для докумэнтацы традыцыйнуй, інструмэнтальнуй музыкі з Пудляша мают запісы Сергея Лукашука з 1981 р. Будучы в той час дырэктором Бельского Дому Культуры ездів по околічных вёсках і запісував народных музыкантув. На добруй якосці награнях почуем скрыпача Віктора Волковыцкого з Рудутув, Владіміра Муравского з Вуорлі, **Леона Дмітрука** з Рыговцюв чы **Адольфа Жуковского** з Лубіна Рудолтув. Тые запісы дают нам ясны образ, як колісь гралося на Бельшчыне. Одкрыты в 2008 р. касэты з музыкою Пётра Юшкевіча доповнілі той образ.

На памэтных варштатах Жэмэрвы в Рудутах, которы одбылісе в 2007 рокові почалі мы марыты про створыене правдівуй капэлі. Тому наш дыск і почынаецце архівным запісом пуолькі скрыпача **Віктора Волковыцкого** з 1981 р. На варштатах в Рудутах таксамо почалі розведуваті старые нашы танці. **Зоя Майстровіч** з **Віктором Сохою** показалі пуольку топоруовську, а **Надя Сахарчук** з Маліннік пэрэконала нас, што тут таксамо танцёвалі подіспана, лысого, коробушку чы на рэчаньку.



Наступным этапом для капэлі былі варштаты в Крывцы, которы повюв **Мацей Філіпчук**, а одведалі нас **Міколай Фадін** і **Сергей Лукашук**. То тугды в рэпэртуар вушла пуолька "свіні в рэпі", котору в 2011 р. загралі мы на мосткові міеждy Кушкамі і Грэдэлямі. То тут колісь збіралася молодёж на вэчэровы спевы і танці.

Мацей Філіпчук заложыв добры початок для капэлі. Пуод ёго кірунком поверыв я в свуой акордэон... Росла музычно **Ніка Юрчук** і **Віла Боцюк**. Загартовалі нас потанцовкі, з якіх мніе найбуольш запомэталася тая в Збучові з 2013 року. Прышов на еі **Пётр Юшкевіч**. Співав з намі і затанцёвав вальс "Златые горы".

Тры ліета пузней, в маёві 2016 р., Жэмэрва наведала ёго шчэ раз, коб повіншоваті со 100-летнім юбілеем. Співалі і гралі ёму в цвітушчым садкові коло дому.

Музыка музыкою, але Жэмэрва то пэрэдо всіем песні. Колі в 1997 рокові повстав прашчур Жэмэрвы – група Дівэрык, нам так хотіелося співаті тые песні, которы одкрывалі для сэбэ на наднарвянскіх, надлокніцкіх і надорлянскіх вёсках. Але оказалося тое нэ так простэ, коб іх пэрэказуваті аутэнтычно. Посля было студэнцке варшавске співане **Ані**, **Марты** і іншых дівчат в групі "Ну бо што". А в час пэршых варштатув "Лето з традыцыёй" в 2003 р. Аня намовіла до співаня групу ліцэістoк. В словнікові Міколы Врублевского одшукала з імі слово "жэмэрва" (вэсёла кумпанія діті, молодёжы) і так вжэ зосталосе до діся.

Од самого початку в своюм співаню Жэмэрва ставіла головны акцэнт на песні обрадовы – колядные, вэсновые, летні, вэсіельны. Бо в іх напевах і словах заключаецце душа нашуй зэмліе, запісана еі тоеснoсць. Камэнямі мілёвымі в понятію обрадовых пісэнь сталі для студыі встрэчы "Там по маёвуй росі", якіе почалі організоваті мы в 2004 р. Організацыя встрэч ніколі нэ одбывалася і нэ одбываеце бэз Жэмэрвы. То для еі вэліка школа традыцыі, месце дэ можна правдіво пэрэказаті і пэрэжыті песню, коровод, музыку, эмоцыі – на гуліці, на полю, над рэчкою, на пудвуорку... То месце встрэч з однодумцамі.

З часом Жэмэрва сягала што раз буольш до пісэнь позаобрадовых, якіе співаліся в час розных встрэч, вэчоркув, у пэрэпынках міеждy танцямі. І так дошлі до выданя сіетуй плыты. Танці пэрэплietёны тут песнямі, которы співало поколене нашых бабуль.

Одны з іх былі вэльмі популярнымі, як "Я й ў полі вэрба росла", іншы троху мэнш. На плыті знайдэмо архівны запіс з 1969 р. песні "Коло млына", котору співае група з Кнорыд. Тую ж самую песню, котора належыт до клясыкі пудляшскіх мэлёдыі, для порувнаня, продовжуе співаті Жэмэрва.

Студыя фольклёру Жэмэрва од самого початку стараласе выдаваті традыцыйну, пудляшску музыку на плытах. І так отрымалосе, што за остатніх 13 ліет діейності вышло 12 дыскув, а сіеты е трынаццэты. Змест буольшості з тых выдань складают песні запісаны на экспэдыцыях і в час встрэч "Там по маёвуй росі".

В 30-летнюй гісторыі Музея Малэйі Батькувшчыны в Студзіводах Жэмэрва займае вэльмі важнэ месце. То нэ туолькі спевача група і капэля, то пэрэдо всіем школа традыцыі, котора мае своіх профэсорув, такіх як **Сергей Алёнкін**, **Ірына Мазюк**, **Марыя Дмітрук**, **Надея Сахарчук**, **Валентіна Марціновіч**, **Сергей Лукашук**, **Мацей Філіпчук**, **Зоя Майстровіч**, **Вера Нічыпорук**, **Катерына Тіхонюк**, **Ніна Токаюк**, **Ларыса Быцко**, **Светлана Буцкая**, **Марыя Стэпанюк**, **Степаніда Стэпанюк**, **Валя Лукяновіч**, **Галіна Хомік**, **Галіна Брэзіна**, **Татяна Грыцук** і іншы.

Од самого початку студыё Жэмэрва проводіт эдукацыйну працу в обшарові традыцыйного фольклёру. Тым самым дае новэ жыце старым, хорошым песням, корогодам, танцям і звычаям. Ожывляе музыку скрыпковуй капэлі, але таксамо прыпомінае ігру на такіх прызабытых інструмэнтах, як дуды і гуслі. Врэшті – свіедчыт собою, які е правдівы, традыцыйны костюм пудляшскіх Белорусув.

Анна Фіонік
Дорофей Фіонік
фото **з архіва музея в Студзіводах**

Śpiewnik z płytą studia folkloru „Żemerwa" pod nazwą: „My toje hrali i spiwali" można nabyć bezpośrednio u wydawcy, e-mail: dfionik@o2.pl, tel. 85-730-77-35 lub w sklepie internetowym: sklep.cerkiew.pl

Хор «Крыніца» з Беластока
«Спадчына» з Бельскага белліцэя

Свята беларускай песні

Можна было пачуць традыцыйны фальклор але і сучасныя эстрадныя песні. На сцэне Падляшскай оперы і філармоніі ў Беластоку 17 лютага адбыўся гала-канцэрт Агульнапольскага Фестывалю „Беларуская песня” .





Фальклорныя калектывы, хоры, гурты, дуэты і салісты з усяго Падляшша, лаўрэаты цэнтральных элімінацыяў фестывалю ды запрошаныя госці з Беларусі весялілі гледачоў сваім спевам ды танцамі.

Арганізатарам фестывалю з'яўляецца Беларускае грамадска-культурнае таварыства. Як падкрэсліваў перад пачаткам канцэрту намеснік старшыні, **Васіль Сегень**, песня гэта прыгажосць душы чалавека. Яна дазваляе пераправаць розныя жыццёвая цяжкасці. Гэта любоў да музыкі і пашана беларускіх традыцыяў.

– Фестываль з'яўляецца адным з найбольш значных культурных мерапрыемстваў не толькі для беларускай нацыянальнай меншасці ў Польшчы, але і сярод беларускай дыяспары ў свеце – гаварыў надзвычайны і паўнамоцны пасол Беларусі ў Польшчы, **Аляксандр Авяр'янаў**. Гэта вельмі выдатнае мерапрыемства. Калі спяваюць людзі, тады няма нічога дрэннага.

Удзельнікамі гала-канцэрту сталі так сольныя выканаўцы, як і гурты, хоры беларускай нацыянальнай меншасці ў Польшчы.

– Я сама пішу вершы і падбіраю да іх музыку – гаворыць салістка **Марыя Врублеўская** з Гарадка. Спяваю асапэлла і бачу, што публіцы гэта падабаецца. Фестываль дае штуршок да далейшай працы ў галіне беларускай песні.

– Для нас удзел у фестывалі гэта важная справа – падкрэсліваюць дзяўчаты з калектыву „Каласкі” з Беластока. Мы стараліся як найлепш выступіць, цешымся, што ўжо не першы раз мы маглі запрэзентавацца з беларускай песняй у Опэры і Філармоніі ў Беластоку.

Госцем гала-канцэрта быў ансамбль танца „Гарадзенскія карункі” з Гародні.

– Наш калектыў быў створаны ў 1998 годзе – гавораць маладыя танцоры. У 1999 годзе ансамблю было прысвоена званне "народны

Марыя Врублеўская з Гарадка

аматарскі калектыў". Танцуючы ў калектыве мы маем выдатную магчымасць для ўдасканалення свайго прафесійнага майстэрства і любім танцаваць.

Сапраўдным упрыгожваннем канцэрта стала выступленне



Народнага аматарскага гурту „Вербіца" з Мінска.

– Наш калектыў быў створаны ў 1979 годзе – падкрэслівае кіраўнік калектыву, **Алесь Свірскі**. – „Вербіца" паходзіць ад слова вярба, якая першая абуджаецца ад зімовага сна і распускае свае „коцікі". Выконваем песні духоўнага накірунку, але і фальклорныя ды абрадавыя і лірычныя песні розных рэгіёнаў Беларусі. Удзельнікі ансамбля гэта людзі рознага ўзросту і розных прафесіяў, якія пасля працы аддаюць сябе народнай песні.

Гран пры сёлетняга фестывалю атрымаў калектыў „Світанак" з Беластока.

У фінале заключнага канцэрта, у выкананні ўсіх ўдзельнікаў і гледачоў, прагучала песня "Люблю наш край", якая з'яўляецца традыцыйным гімнам фестывалю.

Анна Домань
фота **Міры Лукшы**



Ткацтва спадарыні Ірэны

Ткацкае майстэрства пераняла ад сваіх дзядоў. Ткала яе маці, бабуля. Спачатку майстрыха ткала ў рамках абавязкаў гаспадыні, зараз таму, што падабаецца. Ірэна Ігнацюк са Старога Ляўкова славіцца сваімі тканымі ходнікамі, дыванамі ці капамі.

– Я навучылася ткаць ад сваёй маці Яўгеніі – гаворыць **Ірэна Ігнацюк**. – Разам з сёстрамі я дапамагала маці падчас працы. Тады для нас гэта не было зацікаўленне а проста абавязак. Калі падрасла і выйшла замуж, былі іншыя абавязкі, пра ткацтва я не думала. Калі заснавала ў Ляўкове Старым аграквагэру, тады падумала, што нешта трэба з гэтымі кроснамі рабіць. Кросна былі, было таксама многа матэрыялаў і так я пачала працаваць. Бачу, што людзі цікавяцца гэтым. Прыязджае да мяне шмат маладых людзей. У маёй кватэры арганізаваліся ткацкія майстаркласы. Я вучыла ткаць палавікі, пакрывалы і палотны з цікавымі ўзорамі.

Ірэна Ігнацюк вядомая як ткачыха ў тэхніцы пераборнага ткацтва. Яшчэ некалькі жанчын займаецца ткацтвам але пераборамі – толькі спадарыня Ірэна. У гэтай пераборнай тэхніцы патрэбная дапамога другой асобы. Майстрысе дапамагаюць маладыя члены сям'і.

Посцілкі бываюць як шматколернымі, так і спалучаюць два колеры. Узоры ткуцца пераважна ў выглядзе палосачак, квадратаў, ромбаў. Даволі часта сустракаецца і геаметрычна-раслінныя арнаменты.

– Узоры стараюся, каб былі традыцыйныя, такія як ткалі раней – гаворыць майстрыха. Стараюся, каб яны былі звязаныя з маёй вёскай і яе абраднасцю. Ткацтва зараз вяртаецца ў моду. Сёння выткаць лягчэй, чым калісьсі, таму, што ўсё ёсць. А раней не было ні гатовых нітак, ні палатна. Усю аснову самім трэба было выткаць, усе нітачкі, і льняныя, і ваўняныя, напрасці і пафарбаваць. Жанчыны ткалі і збіралі сабе пасаг у скрыні: сарочкі, ручнікі, пасцельную бялізну, наматраснікі – паясняе.

І пакрывалы свае, дываны, майстрыха нікуды не хавае, ажно премна паглядзець. Над адным такім даволі вялікім "дываном" спадарыня Ірэна працуе не дзень і не тыдзень, а некалькі тыдняў.

Для яе гэта ўжо спосаб на жыццё, зацікаўленне і радасць.

Анна Домань
фота **аўтарка**

Dziki Wschód

Czas jakiś temu spotkałem się z kolegą, by porozmawiać o Krymie. – Powiedz mi przede wszystkim, czy tam jest bezpiecznie. Bo wiesz, chciałbym pojechać z żoną i dzieciakami. I zaraz dodał: – Nie dziw się, że pewnie operuję stereotypami i uprzedzeniami, ale skąd mam wiedzieć jak jest naprawdę?

No właśnie. Skąd ma wiedzieć?! Ileż razy słyszałem te pytania. Ileż razy na nie odpowiadałem. A one wciąż się powtarzają.

Nie, wcale się temu nie dziwię. Przecież nasze państwo i nasze media bardzo dbają o to żeby się pojawiały, ponieważ nadal robi się co tylko możliwe, by stereotyp „Dzikiego Wschodu” miał w tym kraju rangę dogmatu.

Gdy kilkanaście lat temu jechaliśmy z żoną po raz pierwszy na Krym, zażądała wyjazdu z biurem podróży, by było bezpieczniej (potem już wolała jeździć tylko ze mną). Gdy pierwszy raz lecieliśmy do Gruzji, znajomi traktowali nas jak wariatów lub jak bohaterów, a moja mama, jak się potem okazało, dała na mszę, byśmy w ogóle stamtąd wrócili. O wyjeździe na Białoruś już nic jej nie powiedziałem.

Co tu dużo gadać. Przykro mi, że rzeka Bug nadal w świadomości Polaków jest granicą pomiędzy cywilizacją a dziczą. Dobrze wiem skąd się to bierze, ale dopóki Polakom będzie zależało na pielęgnowaniu swoich uprzedzeń – nic się nie zmieni.

Czasami wydaje mi się, że dbałość o taki stan rzeczy jest jednym z naszych narodowych priorytetów. No bo przypomnijcie sobie Państwo, czy widzieliście kiedykolwiek w naszej TV program pokazujący Rosję albo Białoruś w pozytywnym świetle? Pokazywano uroki przyrody, atrakcje turystyczne, zabytki, kulturę, zachęcano do wyjazdu?

Jeśli Rosja – to obowiązkowo Putin strzelający do samolotu. Jeśli Białoruś to tylko w kontekście tyrana Łukaszenki. Jeśli Abchazja to tylko wojna, jeśli Czeczenia i inne kraje kaukaskie – też. A co? Może słyszeliście coś fajnego o Armenii, czy raczej kojarzy się Wam ona z biedą i wojną o Karabach? Nie tylko telewizja. Publicyści to samo. Ci najwięksi i najlepsi też.

Kim więc w takim świetle jest tzw. „Ruski”? Odpowiedź jest prosta: codziennie pijanym, leniwym prostakiem. Dlaczego tak jest? Bo chcemy żeby tak było! Bo takie właśnie jest zapotrzebowanie społeczne. Polak bowiem bez wroga żyć nie potrafi. Niemcy są już przecież przyjaciółmi, „Pepiki” przeskoczyli nas gospodarczo, Arabowie daleko, a były ZSRR zawsze pod ręką. A że nikt tam nie jeździ, to oczywiście nie wiadomo, jak jest w rzeczywistości. Pamiętacie Państwo, jak Lepper straszył nas Niemcami? I jakoś mu to szło, do momentu gdy pół Polski zaczęło tam pracować i przekonało się osobiście, jak jest naprawdę. W związku z tym, gdy trochę później Kaczyński posłużył się przykładem tuskowego dziadka z Wehrmachtu, naród zabił go śmiechem. No więc jak naprawdę wygląda ta Rosja, Krym, Białoruś, Kazachstan itp.? A czort wie. Przecież nikt normalny tam nie pojedzie – „bo przecież jeszcze nie zwariowałem…”.

Pamiętam dobrze, jak w roku 2000 mój przyjaciel ściągnął do Tarnowa stuosobowy amerykański chór gospel. I nie były to jankeskie prostaki, tylko wykształcona młodzież z Atlanty. Tej od Olimpiady. Przylecieli nocą i zostali zakwaterowani hotelu. Gdy rankiem wychodzili na miasto, mieli w oczach strach. Bo przecież w Polsce jest stan wojenny! Ale potem zobaczyli sklepy z Sony, Levisami i coca-colą. No i było też jedzenie w sklepach. A czołgów nie było. Szok. Wtedy przyznali się, że przywieźli ze sobą masę jedzenia, nawet wodę. Mieli głupie miny i przepraszali, tłumacząc, że taki obraz Polski przedstawiono im w USA.

Czy TAM (czyli na „Dzikim Wschodzie”) jest bezpiecznie? Dziwnie brzmi to pytanie w kraju, w którym co weekend pijani kierowcy zabijają ludzi. W kraju, w którym sztyletuje się nożem w biały dzień w centrum miasta. W kraju, w którym nikt normalny nocą po blokowisku chodzić nie będzie.



Czy TAM jest bezpiecznie? Moja odpowiedź brzmi: tak samo jak u nas, tak samo jak w Europie. Białe niedźwiedzie po ulicach nie chodzą, ludzie nie noszą przy sobie broni, policji w zasadzie nie widać. Jest normalnie, zwyczajnie, po prostu. Owszem, jak wszędzie są kieszonkowcy i złodzieje. Jak wszędzie można dostać po łbie w ciemnej uliczce. Ale nie ma takich dzielnic jak w Ameryce, z których „białas” żywy nie wyjdzie.

Gdy przypominam sobie, jak plątałem się nocą po starym Tbilisi, to dochodzę do wniosku, że mądre to nie było. Nie wiem też, czy było mądre nocne chodzenie po sewastopolskich osiedlach. Ale

chodziłem i nic mi się nie stało. Szczęście? Może, choć ja wolę określenie „Wola Boża”. Tak czy inaczej, nigdy nic mi się nie stało, więc nijak ma się to do obiegowego stereotypu.

Czy TAM jest czysto? Europa Wschodnia nie mieszka w slumsach, więc i kosze na śmieci znają. Znów odpowiem: normalnie. Choć muszę przyznać, że ludzie Wschodu mają trochę inne poczucie estetyki, wyrażające się choćby tym, że jak Ukrainka idzie do pracy, to wygląda, jakby szła na wesele, ale jednocześnie kupa nie uprzątniętych cegieł pod domem nie specjalnie jej przeszkadza. Czysto jest, choć z tym porządkiem to według naszych kryteriów mają problemy. Popatrzmy jednak na to z drugiej strony. Jak czuje się Niemiec przyjeżdżający do Polski ze swojego wymuskanego Reichu? Czy nasz kraj nie wydaje mu się przypadkiem „deczko zabrudzony”? Jeśli się nad tym dobrze zastanowić, to nasze poczucie wyższości nad Dzikim Wschodem staje się wręcz groteskowe.

Czy TAM wszyscy piją? To pytanie lubię najbardziej. Odezwali się bowiem przedstawiciele narodu niepijącego! No bo przecież „Ruscy” piją bez przerwy. O pardon: chlają. Bo Wschód oczywiście chla, a Zachód co najwyżej pije. A my to Zachód oczywiście. Cóż za hipokryzja!

Niedawno córka (agent nieruchomości) opowiadała, jak wynajmowała apartament Norwegowi. Pierwszą rzeczą, którą uczynił oglądając mieszkanie, było rzucanie się po łóżku. Zrobiła wielkie oczy, więc usłyszała: muszę sprawdzić czy wytrzyma, jak wrócę na bani i będę na nim lądował. A potem jeszcze sprawdzał, czy będzie mu wygodnie wymiotować do WC! Aha, i jeszcze jedno. Pierwsze pytanie, jakie usłyszy gość w „ruskim” domu brzmi: zrobiłam pyszne blincziki, zjesz? A w amerykańskim filmie: czego się napijesz?

„Ruscy” za kołnierz nie wylewają, tak jak większość ludzi na świecie. Ale w normalnych domach (widziałem to wiele razy) pije się normalnie. Bo upicie się to objaw chamstwa. Jeśli w gruzińskim domu gościowi „urwie się film”, to tylko raz. Bo więcej już nikt nigdy go nie zaprosi. Pospólstwo oczywiście trąbi zdrowo. Wszędzie. Na Zachodzie też.

Cóż więc zrobić z tymi stereotypami i z tymi uprzedzeniami? Sprawa wydaje mi się prosta: jechać tam i przekonać się osobiście. Bo jak dotkniesz, pomacasz i zobaczysz, to już nikt nigdy bzdur naopowiadać ci nie zdoła.

Parę lat temu byłem z młodzieżą w Rosji, w obwodzie archangielskim. Podróżowaliśmy trzy tygodnie. Widzieliśmy wielu ludzi, w wielkich miastach, w małych miastach i w wioskach też. Młodzież dotknęła, pomacała i zobaczyła = wiedziała. Po powrocie poproszono ich na wywiad do miejscowego radia. I wtedy Magda zaczęła tak: – Przed wyjazdem miałam Rosjan po prostu za prostaków i bałam się ich. Taki obraz przedstawiano mi bowiem wszędzie. Ale okazało się, że jest inaczej. Przebywałam wśród nich trzy tygodnie i przekonałam się, że są fajni, normalni. W związku z tym, jeśli ktoś będzie teraz przy mnie twierdził, że Wschód to tylko chamstwo i prostactwo, to chyba dam mu w dziób... Prowadzący wywiad dziennikarz zaniemówił, ja zaś poczułem się spełniony.

Kochani rodacy: jedźcie więc na ten Wschód, sprawdźcie, pomacajcie i sami się przekonajcie. I przestańcie wreszcie powtarzać dyrdymały o „Dzikim Wschodzie”, bo Wschód is good!

Paweł Krysa
fot. **autor**

Konkurs wiedzy o Rosji – Ten straszny rok 1917

Rosyjskie Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe w Polsce z siedzibą w Białymstoku zaprasza uczniów gimnazjów i szkół ponadgimnazjalnych, zainteresowanych Rosją, jej historią, językiem, literaturą, kulturą oraz dniem dzisiejszym do wzięcia udziału w XIV edycji Konkursu Wiedzy o Rosji pod hasłem „Rok 1917 – retrospektywa. 100 lat wielkich zmian w Rosji”.

Tegoroczny poświęcony jest jednej z najtragiczniejszych dat w historii Rosji, w związku z jubileuszami rewolucji lutowej, abdykacji cara Mikołaja II, rewolucji październikowej i związanymi z tymi rocznicami wydarzeniami historycznymi.

Konkurs odbędzie się w językach polskim (części pisemna i ustna) lub rosyjskim (części ustna i częściowo pisemna – pytania otwarte). I część odbędzie się 27 marca na Wydziale Pedagogiki i Psychologii Uniwersytetu w Białymstoku przy ul. Świerkowej 20, II część 6 kwietnia w Muzeum Rzeźby Alfonsa Karnego w Białymstoku przy ul. Świętojańskiej 17. Finał (ogłoszenie wyników, wręczenie nagród i dyplomów) nastąpi między 12 a 19 czerwca – dokładna data oraz miejsce zostaną podane wszystkim uczestnikom.

Termin nadsyłania wypełnionych zgłoszeń do udziału w konkursie upływa 15 marca.

Więcej informacji o konkursie w Internecie – www.rsko.eu oraz pod linkiem: https://www.facebook.com/events/777866095699428/. Tel. do organizatorów: 698 881 259 lub 608 268 295.

ota



Światło w puszczy

Pół wieku temu mieszkańcy położonych w głębi Puszczy Białowieskiej budnickich wsi Pogorzelce, Teremiski i Budy przeżywali radosne wydarzenia – do ich domów popłynęła w końcu długo oczekiwana energia elektryczna. Wielu z nich nie mogło wprost uwierzyć, że będą już mieli jasno i widno w mieszkaniu, że można będzie słuchać radia i oglądać telewizję, że zagoszczą u nich lodówki, pralki i inne urządzenia elektryczne. Sporo osób, tak na wszelki wypadek, nie pozbywało się jeszcze lamp naftowych. Zresztą całkiem słusznie! Przydawały się one, gdyż w tamtym okresie przerwy w dostawie energii elektrycznej zdarzały się dość często.

Starania o doprowadzenie linii energetycznej do budnickich wsi podjęte zostały jeszcze w latach pięćdziesiątych. Po obradach sesji Gromadzkiej Rady Narodowej, która odbyła się w listopadzie 1957 roku, postulat ten wstawiono do planu perspektywicznego rozwoju regionu białowieskiego, Na jego urzeczywistnienie przyszło jednakże czekać prawie dziesięć lat. Ze względu na specyficzne położenie wsi w lesie sprawa się komplikowała. Zresztą w tym czasie wiele jeszcze małych miejscowości na Białostocczyźnie pozostawało bez energii elektrycznej, dla wielu mieszkańców żarówka elektryczna wciąż była upragnionym marzeniem.

W końcu jednak to marzenie urzeczywistniło się. Światło w domach potomków budników zagościło w marcu 1967 roku. Energię elektryczną otrzymało wówczas stu gospodarzy. Oświetlony został także trzykilometrowy odcinek ulicy. Koszt budowy całej linii wyniósł ponad 1 mln 370 tys. złotych.

Wywodzący się z Teremisek historyk, dziennikarz i działacz partyjny **Borys Nikitiuk** skomentował to wydarzenie na łamach „Gazety Białostockiej" następująco: „Rozjaśniły się mieszkania i twarze ludzi. Niektórym posypały się łzy". 80-letnia staruszka powiedziała dziennikarzowi, że nigdy nie przypuszczała, że w tej wsi „zahukanej i odciętej od świata", doczeka się takiego dobrodziejstwa, jakim jest światło elektryczne.

Wielu mieszkańców z prawdziwym zachwytem wyrażało wdzięczność powiatowej instancji partyjnej, Powiatowej Radzie Narodowej i Prezydium GRN w Białowieży za troskę, jaka przejawia wobec ludzi puszczy. „Światło elektryczne – mówili – zmieni teraz nasze życie, zarówno w sensie rozwoju kultury, jak i gospodarowania".

W tym okresie wielu młodych mieszkańców budnickich wsi zdobyło już średnie i wyższe wykształcenie. W Teremiskach wybudowano szkołę podstawową, Budy zaś otrzymały klubo-kawiarnię. We wszystkich wsiach przeprowadzono pełne zagospodarowanie łąk i pastwisk. Błotniste drogi i ulice ustąpiły żwirowym i brukowanym.

Zelektryfikowanie puszczańskich wsi w znacznym stopniu przyczyniło się do ich rozwoju. To był skok cywilizacyjny – mówili sami mieszkańcy. O tym, że kiedyś w długie zimowe wieczory siedziało się przy naftowej lampie, dzisiaj już nikt nie pamięta.

Piotr Bajko, fot. **autor**

Pogorzelce w kilkanaście lat po elektryfikacji. Lata 80.

Wrota które łączą

Ambasador Białorusi w Polsce Aleksander Awierianow wraz z małżonką, któremu towarzyszyli konsul generalny RB w Białymstoku Ałła Fedorowa i dyrektor Centrum Kulturalnego Białorusi w Warszawie Michaił Rybakow oraz namiestnik monasteru w Supraślu archimandryta Andrzej (Borkowski) w sobotę 18 lutego w pomieszczeniach Akademii Supraskiej dokonali uroczystego otwarcia wystawy.

Wystawa – dwadzieścia dziewięć ikon i obrazów religijnych oraz kilka dzwonów – prezentuje dzieła sztuki, ukształtowanej w XVIII i pierwszej połowie XIX wieku białoruskiej szkoły



malarstwa. Jak zaznaczył obecny na uroczystości dyrektor Muzeum Dawnej Kultury Białorusi, prof. **Borys Łazuko**, prezentowane przykłady białoruskiej ikonografii odzwierciedlają złożoną i skomplikowaną historię Białorusi.

Prezentowane dzieła powstały w okresie silnej latynizacji Cerkwi unickiej na Białorusi. Zarzucano



Otwarcie wystawy

Niżej w Muzeum Drukarstwa i Papiernictwa





wówczas przejęte przez Ruś z Bizancjum tradycyjne kanony pisania ikon. W ich miejsce wprowadzano zasady zachodniego, realistycznego malarstwa. Łączenie historycznych rusko-bizantyńskich i zachodnich, katolicko-unickich, tradycji ukształtowało białoruskie malarstwo religijne wspomnianego okresu.

Wystawa daje także świadectwo troski białoruskich instytucji naukowych i kulturalnych o zachowanie narodowego dziedzictwa. Większość eksponowanych obrazów odnaleziono w bardzo złym stanie i uratowano je dzięki staraniom białoruskich konserwatorów.

Na wystawie zaprezentowano także osiemnastowieczne dzwony, na których nauczyciel w oddziale dzwonników Mińskiej Duchownej Szkoły **Bogdan Berezkin** zaprezentował sztukę dzwonienia w kilku – białoruskiej, bułgarskiej, rosyjskiej – tradycjach.

Uczestnicy spotkania odwiedzili także Muzeum Sztuki Drukarskiej i Papiernictwa, w którym prezentowane są różne techniki drukarskie, w tym na reprincie prasy drukarskiej Gutenberga – na analogicznym warsztacie **Iwan Fiodorow** i **Piotr Mścisławiec** w 1569 roku w Zabłudowie wydrukowali „Uczitielnoje Evangelie" – oraz technologię wytwarzania czerpanego papieru.

Otwarciu wystawy towarzyszył krótki koncert chóru parafii monasterskiej pod dyrekcją **Mirosławy Tichoniuk**, który – jak podkreślał ambasador – stworzył szczególną, duchową atmosferę. Dziękując archimandrycie **Andrzejowi** ambasador **Aleksander Awierianow** wyraził nadzieję na dalszą współpracę monasteru i Akademii Supraskiej z białoruskimi instytucjami kultury.

– Ta współpraca – powiedział – służyć będzie poznawaniu, współpracy, nawiązywaniu przyjętych relacji między naszymi narodami i państwami.

Eugeniusz Czykwin
fot. **autor**

* * *

Рук чалавечых
на Зямлі тварэнне
Стагоддзі разатруць у пясок
І толькі над усім тым,
што стварыў Бог,
Не ўладны часу
і прасторы вымярэння.

* * *

Станем на каленях
Пад абразом Божым...
Бог у нашых маленнях
Толькі дапаможа.

* * *

Ахоўвай, Бог, мяне ад бед,
Напасцяў ракавых жыцця,
Ад безуладдзя,
беспатольнасці ды забыцця,
Нястрымнай змены зім ды лет...
Ахоўвай, Бог, мяне ад бед.

* * *

Жыццё цудоўнае
ва ўсіх праяўленнях...
Апрача торбы, хваробы,
астрогу...
Жывіце ды цешцеся кожным
яго імгненнем,
Любіце, тварыце
і дзякуйце Богу!

Аляксандр Авяр'янаў

Уладары з Ваўкавыска

Былі фальклорныя песні acapella але перш за ўсё шмат вясёлай танцавальнай музыкі. Упершыню на „Бяседзе з князям”, якую ладзіць Фонд імя Князя Астрожскага ў Беластоку выступіў Народны ансамбль народнай музыкі і песні “Уладары”з Ваўкавыска.

Мужчынскім вакалам здзівілі яны гасцей вечарыны. Гэты народны ансамбль народнай музыкі і песні першапачаткова базіраваўся пры Ваўкавыскім дэпартаменце аховы Міністэрства ўнутраных спраў Беларусі. Сёння шасцёра спевакоў пад кіраўніцтвам Вадзіма Бычака выступаюць на ўсіх значных мерапрыемствах раёна і вобласці з магутным, рэпертуарам народных песень Беларусі, Украіны, Расіі.

Наш калектыў быў створаны ў 2008 годзе – гаворыць кіраўнік „Уладароў” **Вадзім Бычак**. У сакавіку 2009 года ансамблю было прысвоена званне „Народны”. Нашы салісты гэта людзі розных прафесій м.ін прадстаўнік самаўраду, гісторык, вайсковец, выкладчык. Але яны аб'яднаны адной ідэяй, дэманструюць сваю творчасць на многіх канцэртных пляцоўках не толькі Беларусі, але і за мяжой. Мы самі робім апрацоўкі сваіх песняў. Бывалі таксама на экспедыцыях, запісвалі традыцыйныя песні ад найстарэйшых жыхароў нашых вёсак, пасля іх апрацоўвалі. Супрацоўнічаем таксама з ваўкавыскімі паэтамі якія пішуць адмыслова дла нас тэксты. Выконваем не толькі фальклорныя песні, маем таксама шмат аўтарскіх.



Калектыў „Уладары” удзельнічаў у шматлікіх раённых, агульнабеларускіх ды міжнародных фестывалях і конкурсах. Яны з'яўляюцца пераможцамі м.ін. тэлевізійнага фестывалю армейскай песні „Зорка – 2009” , фестывалю самадзейных калектываў „Песні маёй краіны”, міжнароднага фестывалю „Вянок дружбы”, ці „Песня без межаў” ва Украіне.

Канцэртныя нумары ансамбля „Уладары” вельмі разнастайныя. У іх пераплецены многія віды мастацтва: народная песня, інструментальны жанр, харэаграфія, рэжысура.

Зараз калектыў рыхтуецца да вялікага сольнага канцерту ў сваім горадзе Ваўкавыску.

Анна Домань

Sami o Sobie. Miesięcznik społeczno-kulturalny
Nieodpłatny dodatek do Przeglądu Prawosławnego

ISSN 1899-9018 Nr indeksu 371416
Wydawca: Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego
Redaguje zespół: Michał Bołtryk, Eugeniusz Czykwin (red. naczelny), Doroteusz Fionik
Natalia Klimuk, Alła Matreńczyk (sekretarz redakcji), Anna Petrovska, Anna Radziukiewicz
Opracowanie graficzne: Dorota Wysocka
Skład komputerowy: Halina Kierdelewicz
Adres redakcji: 15-399 Białystok, ul. Składowa 9; tel./fax (0048 – kier. z zagranicy) 85 742 18 57
e-mail: redakcja@przegladprawoslawny.pl; www.przegladprawoslawny.pl/samiosobie

Niezwykłe miasto Konstantynopol

Dzisiaj porozmawiamy o Konstantynopolu. To miasto, założone przez świętego równego apostołom cesarza Konstantyna Wielkiego, stało się Nowym Rzymem, nową stolicą wielkiego rzymskiego imperium. To jedno z nielicznych miast w historii ludzkości, które ma dokładną datę urodzin: 11 maja 330 roku odbyła się oficjalna uroczystość tzw. odrodzenia (jak dzisiaj tłumaczymy) albo poświęcenia miasta, której przewodniczył sam imperator. Przypomnijmy historię tego miasta – Drugiego albo Nowego Rzymu, jak go oficjalnie nazwano, ponieważ Moskwa jest swego rodzaju Nowym Konstantynopolem albo Trzecim Rzymem, a stosunki między stolicą Rosji i tym miastem (dzisiaj nazywanym już Stambułem) są bardzo bliskie – mam na uwadze stosunki nie formalno-polityczne, ale przede wszystkim sakralno-duchowe.

PRZYCIĄGANIE GRECKIEGO WSCHODU

Konstantynopol – miasto świętego **Konstantyna** – pierwotnie zostało pomyślane przez cesarza jako wschodnia stolica ogromnego imperium, które rozciągało się od Oceanu Atlantyckiego do Międzyrzecza, jako stolica państwa, które zostało uformowane jeszcze w czasach republiki, a od czasów cesarza **Augusta** stało się cesarstwem, państwem monarchicznym, łączącym najróżniejsze narody i najróżniejsze kultury, ale w zasadzie opartym na dwóch kluczowych elementach – greckim Wschodzie i łacińskim Zachodzie.

Grecki Wschód w tym rozumieniu oznaczał pierwiastek kulturowy, tradycje związane ze starożytną Grecją, z hellenistycznymi państwami – spadkobiercami państwa **Aleksandra Wielkiego**. Zachód to od czasów walki Rzymu z Kartaginą wojskowe, prawne i organizacyjne zasady i właśnie rzymscy władcy podjęli się dość trudnego zadania – zorganizowania całej śródziemnomorskiej przestrzeni, po opasaniu jej obręczą rzymskich legionów. Ale jeśli chodzi o kulturę, tradycje związane z nauką, częściowo nawet z religią (Rzymianie bowiem starali się utożsamiać swoich bogów z greckimi), a w pierwszej kolejności, oczywiście, tradycje związane z nauką i filozofią, wszystko to należało właśnie do Greków. Było nawet takie rzymskie powiedzenie: ujarzmiona Grecja zdobyła Rzym.

Rzeczywiście tak było – Wschód i Zachód znajdowały się w symbiozie, w której nie było jednoznacznego lidera. Oczywiście, wojskowy lider to Rzym, ale palma pierwszeństwa, jeśli chodzi o kulturę, należała do wschodniego imperium.

A kiedy od czasów rzymsko-perskich wojen trzeciego – początku czwartego wieku zauważono także ważne wojskowo-polityczne znaczenie wschodniej części imperium, to cesarze coraz częściej zaczęli przebywać właśnie tam – w Azji Mniejszej, nieopodal perskiej granicy, to coraz częściej właśnie tam znajdowała się ich kwatera, ich dwór.

Ale w rzymskim imperium pojęcie „stolica” nie było tożsame z miejscem pobytu imperatora, dlatego że za stolicę uważano miasto, w którym urzędował Senat, a ponieważ Senat urzędował w Rzymie, to kwatera cesarza traktowana była jako tymczasowa, połowa stolica. Konstantyn nie chciał kolejnej kwatery na Wschodzie, jego plany były znacznie poważniejsze. Chciał utworzyć Nowy Rzym, tzn. przenieść do tego miasta także Senat. Takie postawił przed sobą zadanie.

TROJA CZY BIZANCJUM?

Początkowo wzrok skierował na wybrzeże Morza Egejskiego – tam, gdzie w starożytności znajdowała się Troja. Właśnie tam Konstantyn chciał zbudować nową stolicę. Troja w historii Rzymu odgrywa szczególną rolę. Z jednej strony to miasto jest związane z grecką historią, a „Iliada”, cykl o wojnie trojańskiej, uważana jest za główny historyczny epos starogreckiego historycznego i kulturalnego świata. Ale Trojanie to rywale Hellenów, podczas gdy dla Rzymian to protoplaści – zgodnie z tradycją przedstawioną w „Eneidzie” **Wergiliusza**, właśnie z Troi przybyli założyciele starożytnego Rzymu. Ten trojański ślad rzymskiej historii zawsze był podkreślany. Tym samym Rzym znajdował pewną historyczną i kulturową więź ze Wschodem i trojański mit pomagał odzyskać jedność imperium – okazywało się, że także Rzym stanowi cześć starogreckiej – trojańskiej – przestrzeni.

Ale Troi od dawna już nie było, pozostawały tylko ruiny, a ruiny te znajdowały się w dość niewygodnym dla działań politycznych miejscu. Ale nie tylko niewygodne położenie odegrało tutaj rolę – według tradycji – także mistyka. Chodzi o to, że lokalizacja Konstantynopola w tym miejscu, gdzie się teraz znajduje (tzn. na przylądku starożytnego półwyspu Europa, od którego nawiasem mówiąc cały kontynent otrzymał nazwę, na przylądku Morza Marmara, nad Bosforem) według starożytnej tradycji wzięła się z proroczego snu cesarza Konstantyna, który otrzymał niebiański znak, że miasto powinno zostać założone właśnie tutaj, naprzeciwko starożytnej i leżącej w ruinach z powodu trzęsienia ziemi Nikomedii, a dokładnie na europejskim brzegu Bosforu.

GRANICE WYZNACZONE PRZEZ ANIOŁA

Miejsce to, teraz już wszystkim dobrze znane, pod wieloma względami było bardzo wygodne. Z jednej strony, znajdowało się w strategicznym kluczowym punkcie całego euroazjatyckiego systemu dróg handlowych,

Fragment Konstantynopola na współczesnej makiecie, cesarz Konstantyn na fresku z Rawenny, plan tureckiego już Stambułu



łączy bowiem zarówno drogi lądowe z Azji do Europy, jak i drogę morską z regionu Morza Czarnego do Morza Śródziemnego. Ten trójkąt, na którym leżało starożytne Bizancjum, od którego nazywamy cesarstwo bizantyńskim, był bardzo dogodny do obrony

Oczywiście Konstantynopol był znacznie większy niż to starożytne małe miasteczko, ale rozmiary półwyspu okazały się wystarczające dla nowej stolicy. Z dwóch stron miasto było otoczone dwiema naturalnymi przeszkodami – Morzem Marmara i zatoką Złoty Róg, która rozciąga się od strony Bosforu. I tylko z jednej strony trzeba było wznieść solidne mury. Tak więc miasto było wspaniale ufortyfikowane, co w przyszłości odegrało dużą rolę. Konstantynopol w ciągu całej swej historii był tylko dwa razy zdobyty, a mianowicie: w 1204 roku przez Krzyżowców i w 1453 roku przez Turków i w każdym z przypadków po bardzo ciężkim oblężeniu. W obydwu przypadkach do zdobycia przyczyniła się zdrada, tak więc nie była to wojskowa porażka w bezpośrednim znaczeniu tego słowa.

Takie naturalne umocnienie miasta pomogło mu przeżyć najcięższe chwile. Powtórzę, była to jedna z najlepiej umocnionych stolic całego europejskiego kontynentu.

Co się tyczy sakralnego charakteru miasta, to, według tradycji, kiedy imperator Konstantyn wyznaczał jego granice, szedł przed nim posłaniec Niebios, Anioł, jak to jest zapisane w niektórych źródłach. I kiedy zdumieni dworzanie dziwili się dlaczego tak wielkie mają być wymiary murów miasta, zastanawiali czy nie pora się już zatrzymać, miasto bowiem będzie bardzo duże, imperator odrzekł: „Zatrzymam się wtedy, kiedy zatrzyma się ten, który idzie przede mną". Nikt nie widział tego posłańca, ale imperator zatrzymał się dopiero wtedy, kiedy znak z góry wyznaczył mu rozmiary tego przyszłego miasta.

SOBÓR – NOWE CENTRUM MIEJSKIEJ PRZESTRZENI

Konstantynopol jest ciekawy i ważny także dlatego, że po raz pierwszy w historii miasto zostało pomyślane i zbudowane właśnie jako chrześcijańskie. Centrum antycznego i starożytnego miasta było najczęściej forum albo – jak mówiono po grecku – *agora*, plac rynkowy. I akropol. Starożytne miasta miały dwa centra: centrum cywilne, związane z handlem – ono zwykle znajdowało się na nizinie, żeby wygodnie było dostarczać towary i takie jest nawiasem mówiąc forum – i centrum wojskowe, gdzie kryła się ludność w przypadku niebezpieczeństwa: w Rzymie było to wzgórze Kapitol, w Atenach – Akropol. We wszystkich starożytnych miastach forum i akropol stanowiły taki system biegunów, wokół których tworzone było miasto.

Konstantynopol pod tym względem był całkowicie wyjątkowy. Mamy w nim także system forum, jest centralne forum – forum Konstantyna, jest także akropol, który pozostał jeszcze z czasów Bizancjum, umocniony, mały, coś w rodzaju kremla, na przylądku wychodzącym w Bosfor. Ale mimo wszystko ani forum, ani akropol nie były duchowym, politycznym czy kulturalnym centrum miasta. Tym centrum stał się sobór – sobór Mądrości Bożej, wzniesiony przez cesarza naprzeciwko pałacu. Pałac i sobór i związany z nimi kompleks budowli – obejmujących hipodrom, inne świątynie i wychodzących na forum, na główną ulicę miasta, to znaczy pewien łącznik politycznego, ekonomicznego i duchowego życia tej nowej stolicy imperium – tworzyły całkowicie unikalny nowy kwiatostan elementów miejskiej infrastruktury, wokół której potem wyrósł ogromny Konstantynopol.

To bardzo ważne, potem bowiem właśnie świątynia stanowiła centrum chrześcijańskiego miasta na całym świecie – tak było np. w Moskwie. Mało kto pamięta, że i w Petersburgu początkowo centrum stanowił *Troicki* Sobór, niestety, już nieistniejący, ale Piotr właśnie w nim upatrywał duchowe centrum miasta. Konstantynopol wyznacza taki paradygmat, model dla przyszłych chrześcijańskich miast i ważne, że to połączenie pałacu i soboru, potem patriarchalnego – a w tym czasie, przy Konstantynie, Konstantynopol, nie miał jeszcze ważnego cerkiewnego znaczenia, ale jego potencjał był już widoczny – tak więc to połączenie państwowego i cerkiewnego centrum odgrywało kluczową rolę w historii całego już schrystianizowanego rzymskiego imperium, które nazywamy bizantyńskim. Dlatego Konstantynopol jest archetypem chrześcijańskiej stolicy.

ZACHÓD TO ZACHÓD WSCHÓD TO WSCHÓD

Co ważne: Konstantyn chciał przenieść tam także Senat. Nie chciał tworzyć Drugiego Rzymu, a przenieść tam starożytny, tzn. zbudować na nowym miejscu faktycznie nie drugą, lecz pierwszą stolicę imperium. Ten pomysł nie został zrealizowany z powodu wielu przyczyn, przede wszystkim dlatego, że rzymscy arystokraci, którzy zresztą wchodzili w skład Senatu, nie spieszyli się z przyjęciem chrześcijaństwa. Generalnie senatorowie, jako przedstawiciele starożytnych rodów, pozostali wyznawcami tzw. „religii ojców", starożytnej religii, to znaczy pogaństwa. I mimo wysiłków Konstantyna, ogromnych przywile-





jów, które obiecano przesiedleńcom – faktycznie czekały na nich już nowe pałace, wystarczyło przejechać – bardzo mała część starej rzymskiej arystokracji pojechała za Konstantynem na nowe miejsce. Senat pozostał tam, gdzie był. Doprowadziło to do tego, że na Zachodzie od czasu do czasu pojawiali się imperatorzy zachodniego imperium. Co prawda mieszkali oni głównie w Rawennie, nie w samym Rzymie czy w Mediolanie, ale Zachód pozostał Zachodem.

A Konstantyn, człowiek całkowicie zachodni jeśli chodzi o pochodzenie i wykształcenie, przejechał na Wschód i starał się zakorzenić na Wschodzie – uczył się greckiego i ustanowił bardzo bliskie związki z hierarchami wschodnich prowincji. Intuicyjnie czuł, że właśnie tutaj na Wschodzie leży przyszłość chrześcijańskiego Rzymu, chrześcijańskiego imperium. Złożyło się na to wiele przyczyn, ale jedną z nich było to, że chrześcijaństwo pojawiło się na Wschodzie właśnie z Palestyny, ze wschodniej prowincji Rzymu i rozpoczęło swój zwycięski marsz po basenie Morza Śródziemnego. Właśnie tam, we wschodnim regionie, pojawiały się pierwsze wspólnoty, które tworzył apostoł Paweł. Tam też zakończyli swoje ziemskie życie apostołowie, tam pojawiły się pierwsze cerkwie, pierwsze eparchie. Na zachodnim terytorium działał tylko jeden wybitny apostoł, apostoł Piotr, wokół którego budowany był łaciński, właśnie zachodni Kościół. Na Wschodzie wszystko było znacznie bogatsze, intensywniejsze. Wiele cerkiewnych eparchii założono już w głębokiej starożytności.

MIASTO PRAWIE MILIONOWE

Kiedy Konstantyn w 324 roku stał się imperatorem, po zwycięstwie nad **Licyniuszem**, swoim współrządzącym i byłym przyjacielem, z którym się skonfliktował właśnie o stosunek do chrześcijaństwa, już przejechał na Wschód – początkowo do Nicei, dlatego że Nikomedia leżała w gruzach. Tam, w Nicei, Konstantyn znalazł się w chrześcijańskim środowisku i jednym z pierwszych jego poczynań był słynny Pierwszy Sobór Powszechny 325 roku.

I w tym czasie zakłada nową stolicę. Około 327 roku, jak przyjęto uważać, rozpoczyna się zakładka miasta na miejscu starożytnego Bizancjum, a po trzech latach miasto już zostało zbudowane – 11 maja 330 roku (24 maja według nowego stylu) odbywa się jego poświęcenie. To niebywale krótki okres na wybudowanie takiego ogromnego, można powiedzieć megalopolis, dlatego że Konstantynopol na tamte czasy był jednym z bardzo dużych miast. A do końca IV wieku, pod rządami cesarza **Teodozjusza Wielkiego**, stał się już miastem gigantycznym, prawie „milionowym".

Trudno nam sobie wyobrazić, jak funkcjonowały w starożytności tak gigantyczne miasta, w których nie było znanych nam technicznych wynalazków – wodociągów, kanalizacji, elektryczności, ale wykopaliska archeologiczne pokazują, że infrastruktura miasta była bardzo dobrze opracowana, przemyślana, a kanalizacja i wodociągi funkcjonowały w oparciu o inne metody techniczne, najczęściej związane z samospływem. Miasto położone było na wzgórzach – to jedna z zasad budowy miast w starożytności – i zbocza wzgórz pełniły rolę naturalnych wież ciśnień. Można było w ten sposób oczyszczać ulice z nieczystości, a jednocześnie przemieszczać wodę za pomocą sztucznie zbudowanych konstrukcji.

Przy wielu plusach Konstantynopol miał jeden istotny minus – nie był zbudowany nad rzeką. Jak wiemy, główne miasta budowane były nad rzekami. Rzeka zapewniała miastu stały dopływ wody – zarówno pitnej, jak i do innych potrzeb. A w Konstantynopolu to zadanie trzeba było rozwiązać technicznie. Dlatego rzeka do Konstantynopola została doprowadzona za pomocą rąk ludzkich, przez akwedukty, które ciągnęły się przez wiele dziesiątków kilometrów – przez góry, wąwozy – i zaopatrywały miasto w wodę. A że na wypadek nieprzewidzianych okoliczności potrzebne były duże zapasy wody, cały Konstantynopol był usiany ogromnymi podziemnymi zbiornikami wody, tzw. cysternami, z których korzystano podczas oblężenia albo suszy.

Kiedy problem zaopatrzenia miasta w wodę został rozwiązany, miasto zaczęło rosnąć jak na drożdżach, osiągając ogromne rozmiary i stając się największym miastem Wschodu, pokonując Aleksandrię, Antiochię, Efez, starożytne megalopolis. Ale tym niemniej Konstantynopol musiał konkurować z tymi miastami – przez dwa wieki walczyć o prawo uznania, zwłaszcza jeśli chodzi o jego cerkiewny status. **(cdn)**

Paweł Kuzienkow

tłum. **Ałła Matreńczyk**

Kościół rzymskokatolicki Saint-Jacques w Abbeville, fot. z roku 2013
http://www.democratie-royale.org/article-destruction-de-l-eglise-saint-jacques-d-abbeville-116878741.html

Profanum vs. sacrum a problem konwersji

Istnienie pogranicza kultur i religii to zjawisko niezmiernie interesujące. Pobudzające rozum i wyobraźnię. Prowokujące do refleksji. Czasami też i bardzo groźne, przypominające stare konflikty i uprzedzenia. Tak było dawniej przecież na całej ziemi. Tak jest na niej do dziś.

Spory religijne mają miejsce i w jakimś sensie uczestniczy w nich również architektura i sztuka. Poświadczają o tym zarówno akty wzajemnego burzenia świątyń i sprzeciwy ich wznoszenia, jak i przypadki wzajemnych konwersji, przebudów i adaptacji. Tak było na całym pograniczu – od Skandynawii aż po Afrykę. Tak było na Litwie i na Rusi, na Węgrzech i w Rumunii. Tak jest na Bałkanach, w Turcji, Syrii, Iraku czy Egipcie do dziś.

My w Polsce dawniej też w tych sporach uczestniczyliśmy. Nie byliśmy ani lepsi, ani gorsi. Mamy wiele grzechów na sumieniu. Burzyliśmy i przekształcaliśmy synagogi, kościoły, cerkwie, kirchy. Te pozostałe stoją do dziś w ruinie. Przed wojną, w 1938 roku, na południowym Podlasiu i Chełmszczyźnie zburzyliśmy na przykład 127 cerkwi. Po Akcji Wisła 1947 roku konwertowaliśmy ich ponad sto, a dwa razy tyle bezpowrotnie utraciliśmy. Po II wojnie światowej rozebraliśmy lub przekształciliśmy setki synagog. Po powrocie na tzw. Ziemie Odzyskane czyniliśmy tak ze świątyniami poewangelickimi. Do dziś stoją nadal opuszczone, zrujnowane, sprofanowane chrześcijańskie świątynie w Miękiszu Starym, Wólce Żmijowskiej, Oleszycach, Kazuniu Nowym, Babicach, Króliku Wołoskim, Jędrzychowie, Pisarzowicach. To nie są wyjątki. Są ich dziesiątki. Są świadkami naszej moralnej porażki. Upadku duchowości i kultury.

Kuriozalnym, pozbawionym zwykłej litości dla innej niż nasza świętość, jest do niedawna jeszcze funkcjonujący – w dawnej kirsze w Wieldządzu – *Cathedral pub* z dyskoteką. W miejscu jej dawnego ołtarza urządzono bar, a pod nim toalety, pośrodku basen służący do atrakcyjnych walk półnagich dam, a nad kruchtą pokój do wyrafinowanych usług erotycznych. Obiekt „namaszczony" został nawet do pełnienia swej nowej funkcji – pewnie nieświadomie – przez kapłana.

To smutne.

SACRUM – PROFANUM

Świętość przeciwstawia się zawsze temu światu. Postuluje oddzielenie i implikuje całkowitą przynależność do Boga. Akt, który czyni coś sakralnym – jak mówi Rudolf Otto – *odrywa rzecz lub jakąś istotę od jej warunków empirycznych i stawia w bezpośrednim stosunku ze sferą noumenalną*. Świątynia jako sfera świętości i obiekt kultu nie jest już po tym własnością człowieka. Jest domem Boga. Czy jest nim również i dziś?

Konflikt profanum i sacrum w dzisiejszej rzeczywistości narasta – i to już w skali zmasowanej. We Francji burzone są masowo gotyckie kościoły. W Holandii dziesiątkami przystosowuje się je do innych niż sakralne funkcji. Nawet w Italii się tak czyni. A przecież nic się tutaj w doktrynie Kościołów chrześcijan nie zmieniło. Nadal obowiązują zapisy soborowych postanowień – Soboru V-VI w Trullo i VII Soboru Powszechnego w Nicei. Dom Boży ma nim pozostać do końca świata. Aż do zbawienia.

Pomimo tego problem konwersji istniał przecież od dawna. Był niejako wpisany w działalność religijną – różnych akcji misyjnych, prozelityzmu czy nawet religijnych wojen. Poświadczał o stałej skłonności do ekskluzywizmu różnych religii. Dziś jednak coraz częściej stanowi o postępującej na świecie sekularyzacji i deprecjacji religii jako źródła tworzenia wartości życia człowieka i dziedzictwa jego kultury. Kultura odchodzi od kultu, od którego pochodzi. Staje się wyalienowana. Obiekty kultu jednych religii nie zamieniane są już tak często na obiekty innych wyznań. Dziś przestają być one w ogóle obiektami kultu. Powszechne są ich adaptacje na hotele, gastronomiczne lokale, mieszkania, sklepy, warsztaty i garaże samochodowe, lokale rozrywki, a nawet domy publiczne czy toalety. Czynione są z nich wyrafinowane fantomy, pozbawione religijnego ducha larwy-maski. Do dziś stoją niekiedy opuszczone, zrujnowane, sprofanowane. Wołają o litość.

POGRANICZE

Przykładami poświadczającymi o próbach zachowania integralności formy z jej religijną służebnością oraz o możliwościach ochrony dawnych i budowaniu nowych wartości w przestrzeni świątyń zabytkowych – stanowiącymi jakby antidotum na powszechne dziś, szczególnie na zachodzie Europy, przypadki profanacji – mogą być właśnie konwersje świątyń.

W Polsce dochodziło do nich dość często. Wydaje się to być zrozumiałe. Polska leżała bowiem od zawsze na terenie pogranicza. W historycznych – jak i współczesnych – granicach terytorialnych leży na linii, która dzieli Europę na kulturę rzymsko-łacińską i na kulturę grecko-słowiańską. Tu od dawna chrześcijaństwo oddychało dwoma płucami. Tu stoją wspaniałe świątynie – kościoły, cerkwie, zbory, molenny. Tutaj, na ekumenicznych cmentarzach, spoczywają wspólnie ciała przodków. Z pokolenia na pokolenie czczona jest o nich pamięć.

Chociaż rozejście się Kościołów – Zachodnich i Wschodnich – stało się trwałą cezurą w historii chrześci-



Niżej unicka cerkiew Najświętszej Bogarodzicy w Miękiszu Starym, fot. z roku 2016



jaństwa, to jednak od niedawna – pod wpływem głównie ruchów ekumenicznych i rozluźnienia napięcia, w wyniku właśnie wzajemnych konwersji świątyń, w efekcie II Soboru Watykańskiego i wspólnych deklaracji – nastąpiła wzajemna transmisja wartości. Rejestrujemy symptomy wzajemnej wymiany idei, form kultu i wartości – w architekturze i sztuce.

Czy są to pierwsze symptomy ekumenicznego spotkania? Czy jest to już to – wzajemnie postulowane przez oba Kościoły – *spotkanie w prawdzie i miłości*?

Trzeba przyznać, że to zjawisko wymiany wartości nie jest całkiem nowe. Ono istniało u nas od dawna. Przykładem jest przenikanie kultury muzycznej na Ruś Halicką z Polski z jej rzymską polifonią, które objęło nie tylko Ukrainę, ale i całą Rosję. Przenikanie teologii scholastycznej do Kijowa, a także do Moskwy. Czy też późniejsze inkorporacje gotyckich, renesansowych i barokowych elementów do architektury i sztuki cerkiewnej. Fenomenem jest powstanie dość szczególnego aliansu wschodniej ikony z zachodnim gotykiem. Za przykłady służyć mogą piętnastowieczne rusko-bizantyńskie freski w kościołach epoki pierwszych Jagiellonów oraz gotycka architektura cerkwi litewsko-białoruskich i ukraińskich XV-XVI wieku. To podatny grunt dla innych spotkań i dialogu sztuki.

KONWERSJE

Przykładami niedawnych, powojennych konwersji w Polsce mogą być zarówno kościoły i kirchy Dolnego Śląska, Pomorza oraz Warmii i Mazur, jak też cerkwie Podkarpacia, Bieszczad, Chełmszczyzny i Podlasia. Powstały głównie w wyniku masowych wysiedleń, przeprowadzonych przez komunistów na ludności autochtonicznej tych ziem. Różnie oczywiście te konwersje przebiegały – czasem lepiej, czasem gorzej. Pominę problem konwersji cerkwi, bo on jest bardziej złożony, wymagający problemowego rozbudowania. Wyjątkowe wydają się być konwersje niektórych świątyń poewangelickich. Są one nadal pięknymi domami Bożymi. I to o wartości ponadkonfesyjnej, ekumenicznej. Miały więc szczęście.

Jednym z takich przykładów jest katedra Narodzenia Bogarodzicy we Wrocławiu. To dawny gotycki kościół św. Barbary, najpierw rzymskokatolicki, potem ewangelicki, a dziś prawosławny. Jego adaptacji dokonali Adam Stalony-Dobrzański oraz Jerzy Nowosielski.

W programie ideowym – centralne znaczenie ma eschatologia. Ikonostas, jak dawny gotycki ołtarz kościoła, przedstawia historię życia Chrystusa. Jest prawie ażurowy, w strukturze swej gotycki. Łączy głębokie prezbiterium z nawą. Wieńczy go i ideowo spina wyniesione ku górze Ukrzyżowanie. Łączy program teologiczny ikonostasu z malowidłami sklepienia. Nawiązuje do malarstwa włoskiego XIII wieku. Wracając do czasów rozchodzenia się obu tradycji – greckiej i łacińskiej – stara się jakby znów je do siebie zbliżyć. Przejętą z Zachodu techniką i filozofią obrazowania światłem, rozwiniętą na sposób właściwy dla ikony, są witraże. Wschodni – typowo dla bizantyńskich absyd – przedstawia Bogarodzicę-Znak, z cyklem scen z Jej życia. Zachodni – również klasycznie – ukazuje Sąd Ostateczny.



Witrażowa ikona, spotykana w wielu współczesnych kościołach i cerkwiach, to niecodzienny alians ikony i gotyku. To alians bardzo niebezpieczny. Ikona ma przecież swoją formę kanoniczną, ustaloną przez wielowiekową tradycję swojego życia na Wschodzie. Witraż, oprócz swej innej niż ikona, poligonalnej struktury podziałów płaszczyzn i bardziej abstrakcyjnej niż ona, nieantropologicznej konwencji obrazowania, wykorzystuje też inny sposób ujawniania się światła w naturze. Tam chodzi o odbicie, tutaj o jego przenikanie przez materię. Tam o blask z niej promieniujący, tutaj o świetlistość wynikającą z jej przezierności. Choć oba sposoby obrazowania świętości, obie techniki – malarstwa ikonowego i witrażownictwa – były stosowane przez oba Kościoły, uzyskały jednak swoje inne akcentowanie w historii, a nawet inne, choć jednak współbrzmiące ze sobą, interpretacje teologiczne. Weszły też inaczej do arsenału tradycji i inaczej tam do dziś pozostają. Współcześnie znacznie się one do siebie zbliżyły. Zbliżyły też niewątpliwie Wschód do Zachodu i na odwrót.

Dobrym przykładem jest również dawny gotycki kościół w Górowie Iławeckim. Nowosielski stworzył tu niepowtarzalną cerkiew unicką. Uczynił to w sposób niezwykle powściągliwy – poprzez niewysoki ikonostas z ogromnym krzyżem wieńczącym oraz ikony pisane wprost na ścianach z czerwonej, spoinowanej cegły. Wizerunki na „żywej cegle” to symboliczne prześwitywanie Boskości przez materię i uświęcanie jej.

Warto przypomnieć, że wyobrażenie Ukrzyżowanego Chrystusa, po przybyciu wraz z syryjskimi mnichami do średniowiecznej Italii, stało się tam najbardziej rozpowszechnionym typem ikony. Malowane na desce krzyże bizantyńsko-włoskie (*croce dipinta*) są typowe dla XII i XIII wieku sztuki toskańskiej w tzw. *maniera greca*. Te ogromnych rozmiarów, nieraz ponad cztery metry, ikony, tzw. *croci storiate*, najczęściej z postaciami Bogarodzicy i św. Jana Teologa oraz scenami pasyjnymi, były lokowane na szczycie każdej przegrody ołtarzowej włoskiego kościoła. To włoski typ Ukrzyżowania, nazwany potocznie „Krzyżem Św. Franciszka” lub „Krzyżem San Damiano”. To on właśnie był obiektem kontemplacji św. Franciszka.

Takie Ukrzyżowania przetrwały na Zachodzie do zarania renesansu. Stały się wspólnym – dla Zachodu i Wschodu – obiektem kultu. Symbolicznym, duchowym zwornikiem chrześcijan. Pozostaje nim do dziś.

Są też obiekty wyjątkowe, jak ta niewielka renesansowa świątynia św. Jerzego w Pasłęku na Warmii z 1598 roku. Prosta, nieco ukryta przez cywilizację. Zwykła w formie, lecz niezwykła w swojej treści, we wnętrzu. To dawny kościół ewangelicki, którym był pierwotnie, i cerkiew prawosławna, z którą się on swą przestrzenią podzielił w 1966 roku. Pół na pół, w poprzek nawy. Obie te połowy świątyni i ludzie się w nich modlący – żyć już bez siebie nie mogą. Wchodzą i wychodzą jednymi wrotami, wzdłuż wspólnej, umownej granicy. I chcą czy nie chcą, muszą być razem, muszą razem żyć, twarzą w twarz, ołtarz w ołtarz. Tutaj oddychają podczas Liturgii oba płuca ciała Chrystusa – Wschodnie i Zachodnie. Przed Bogiem, nie wytyczono już żadnych granic własności. Podziały widocznie nie sięgają jeszcze niebios.

PODSUMOWANIE

To tylko parę przykładów konwersji. Pomimo dużych różnic konfesyjnych – dokonywane były one z dużym umiarem i powściągliwością. Odstępowały od pokus zapewnienia im „czystości stylowej”. Nie amputowały



sztuki zastanej i nie przerabiały jej w swoim „duchu”. Starały się nawiązać z nią jakiś dialog.

Może więc konwersje świątyń, choć w bezpośrednim odbiorze moralnie „wątpliwe”, są w szerszej perspektywie potrzebne? Jeśli ratuje to je przed upadkiem, unicestwieniem, przed profanacją? Zwłaszcza, że mogą być one również pretekstem do wzajemnego poznania i zbliżenia Kościołów, do ich spotkania i dialogu. Oby ten dialog nie trwał wiecznie i oby to spotkanie było tym postulowanym przez wszystkich *spotkaniem w prawdzie i miłości*.

Jerzy Uścinowicz, Arch nr 1 (39)
fot. **autor**



Cerkiew greckokatolicka Podwyższenia Krzyża Świętego w Górowie Iławeckim, fot. z roku 2012
Witrażowa ikona Jerzego Nowosielskiego w krypcie św. Bartłomieja Kolegiaty Świętego Krzyża we Wrocławiu, fot. z roku 2015

Obok historii

Ukazanie się albumu czarno-białych fotografii supraskiego monasteru, wykonanych w 1913 roku przez **Józefa Jodkowskiego**, młodego (23 lata) konserwatora sztuki, świeżo upieczonego absolwenta moskiewskiego Instytutu Archeologicznego, w późniejszych latach cenionego, z dużym dorobkiem, opiekuna zabytków, przede wszystkim na rodzinnej Grodzieńszczyźnie, jest dla wszystkich zainteresowanych dziejami Supraśla ważnym wydarzeniem, kolejnym etapem na drodze pogłębiania naszej wiedzy o tym niezwykłym obiekcie. Wydawcami są Instytut Historii Sztuki Polskiej Akademii Nauk (właściciel kolekcji zdjęć), a także Państwowe Muzeum Archeologiczne w Warszawie, Stowarzyszenie Kulturalne Collegium Suprasliense i wydawnictwo Hartigrama. Opracowali ją naukowo i graficznie **Piotr Jamski** z IS PAN i **Marek Zalewski** z Muzeum Archeologicznego.

Redaktorzy nie ograniczyli się do przypomnienia sylwetki fotografa, katalogu jego dotyczących Supraśla zdjęć, przekładu napisanego w 1915 roku artykułu o jego historii. Poprosili grono specjalistów o napisanie artykułów dotyczących architektury supraskiej cerkwi, jej malowideł ściennych, wystroju rzeźbiarskiego i wspaniałego, rzeźbionego ikonostasu, przez co album stał się interesujący nie tylko dla znawców tematu. Poprosili też o garść wspomnień **Wojciecha Załęskiego**, niegdyś nauczyciela w miejscowym liceum plastycznym, potem całą energię kierującego na upowszechnianie „prawdziwej" wizji supraskiej historii. Wspomnień z drugiej ręki, dotyczących okoliczności zburzenia cerkwi Zwiastowania w lipcu 1944 roku. I praca z popularyzującej wiedzę przemieniła się w – łagodnie powiedziawszy – niechętną prawosławnym publicystykę.

Nie wszystko mi się w albumie podobało. Jodkowski nie był doświadczonym fotografem, raczej doceniającym znaczenie dokumentacji fotograficznej amatorem. Nie zdziwiłam się, że zdjęcia w albumie są mało czytelne, na ogół zbyt ciemne, często rozmyte. Portrety są niemal nieczytelne, umyka wiele szczegółów. Nie zdziwiłam się, ale poczułam żal. Nie jest prawdą, że fotografie im nowsze, tym lepsze. Stare negatywy (Jodkowski pracował na szklanych) pozwalały na tworzenie prac wysokiej jakości, które można było powiększać do dużych rozmiarów. Być może autor zdjęć nie potrafił wykorzystać ich możliwości, ale w sukurs powinna mu przyjść współczesna technika komputerowa. Stare, nieraz bardzo zniszczone i niemal nieczytelne negatywy potrafią po fachowej obróbce ujawnić dawny blask. Ze strony redakcyjnej wynika jednak, że do współpracy nie zaproszono specjalistów od grafiki komputerowej, całą obróbkę wykonując własnymi siłami. Wyszło jak wyszło, bez estetycznych smakowitości.

Niczego nowego nie spodziewałam się po Marku Zalewskim, warszawskim archeologu rodem z Supraśla, podkreślającym, że w kwestii historii monasteru jest po prostu uczniem swego mistrza, prof. **Józefa Maroszka**. W ślad za nim powtarza więc tezę o unickiej (unia florencka) genezie monasteru, jego rozkwicie w latach unii brzeskiej i roli, jaką odgrywał w dziele zbliżania Wschodu i Zachodu.

Niczego nowego do opowieści o supraskiej cerkwi nie wnosił architekt **Robert Kunkel**, także zwolennik tezy o unickich początkach monasteru, dla którego gotycki kształt cerkwi Zwiastowania jest najlepszym na to dowodem. Za nic ma przykłady innych prawosławnych świątyń zbudowanych w tym stylu, w żaden sposób nie kolidującym (jako ostatni europejski) z prawosławnymi kanonami, odpowiadającym po prostu gustowi epoki. Nic to.

Artykuły nieżyjącego już **Aleksandra Siemaszko** (o supraskich freskach), **Jakuba Sito** (o rokokowym rzeźbionym wystroju wnętrza) i **Joanny Tomalskiej** (o ikonostasie) prezentują po prostu – na znakomitym poziomie – najnowsze ustalenia historyków sztuki na poruszane tematy.

Kłopot jest z tekstem Wojciecha Załęskiego, który – opierając się na wspomnieniach rzymskokatolickiego księdza **Wacława Dorabiały** – przekonuje czytelników, że zburzenie cerkwi w lipcu 1944 roku to efekt fanatyzmu prawosławnych mnichów (zdeklasowanych popów, jak ich nazywa), którzy w latach niemieckiej okupacji wrócili do Supraśla (to dowód ich kolaboracji, w przeciwieństwie do patriotycznej postawy salezjanów, którzy uzyskali od hitlerowców zgodę na powrót sierocińca). Nie mając pewności, do kogo będą należały monasterskie zabudowania po wojnie, poprosili opuszczających miasteczko żołnierzy, konkretnie służących z Niemcami Ukraińców, by wysadzili cerkiew, a potem spokojnie czekali na wybuch, w przeciwieństwie do dzielnych sióstr szarytek, które bohatersko (acz bezskutecznie) usuwały ładunki.

Praca popularyzująca naukę, sygnowana przez szacowne instytucje, utrzymywane z podatków wszystkich obywateli naszego kraju, zamieniła się w ten sposób w zjadliwą, celowo obraźliwą, antyprawosławną agitkę.

Wiąże się z tym nienowy problem „historii waszej i naszej", odrębnych narracji, w tym wypadku katolickiej i prawosławnej, ale bywa też że polskiej i białoruskiej czy lewicowej i prawicowej, tworzonej tylko dla własnego kręgu, a przez to lekceważącej zasady rzetelności. Coś, co da się usprawiedliwić na gruncie publicystycznym, jest nie do przyjęcia w świecie nauki, gdzie obowiązują (powinny obowiązywać) twarde reguły.

Ciekawie pomyślanej i w dużej części solidnie przygotowanej pracy nie mogę zatem nikomu polecić. Żałuję.

Dorota Wysocka

Supraśl 1913. Dokumentacja fotograficzna Józefa Jodkowskiego cerkwi Zwiastowania Najświętszej Marii Panie, Waraszawa 2016, ss. 256.

Zbieraliśmy na supraskie freski

Tegoroczna XI „Biesiada z księciem" zgromadziła pięciuset gości, którzy w trzech salach białostockiej Santany mogli uczestniczyć w programie artystycznym, bawić się, rozmawiać ze sobą. Jak niektórzy oceniają, jest to największy bal organizowany w Białymstoku. Co przyciąga do udziału w nim? Nasi goście oceniają to między innymi tak – swojski, wschodni klimat, różnorodność programu, atmosfera, która sprzyja nawiązywaniu nowych znajomości, możliwość spotkania się ze swoimi znajomymi, dla wielu tylko raz w roku, na biesiadzie właśnie, jeszcze trzy w jednym, czyli uczestniczenie w jednej imprezie, ale z możliwością bawienia się w trzech salach, czyli przy różnych zespołach. A w tym roku grały grupa Master Dance pod kierunkiem Andrzeja Korolki, grupa pod kierunkiem Mariusza Chorużego oraz zespół muzyki i pieśni Uładary z Wołkowyska, której szefem artystycznym jest Wadim Byczak.

Każde nasze spotkanie ma temat wiodący – w tym roku była to kwestia supraskich fresków. O tych historycznych w cerkwi Zwiastowania Bogarodzicy i współcześnie kładzionych przez prof. **Gorana Janicijevicia** i jego ucznia mówił archimandryta supraskiej ławry o. **Andrzej** (**Borkowski**), który wraz z hieromnichem **Matfiejem** przybyli na biesiadę, by także pobłogosławić naszych gości, stoły i pomodlić się wspólnie przed agapą.

Zebraliśmy ofiary na freski – 7863 złote. W tym roku nasi goście byli wyjątkowo hojni i prawie dwa razy więcej przeznaczyli na ten cel, w porównaniu ze zbiórkami podczas poprzednich biesiad, kiedy tak jak w ubiegłym roku zbieraliśmy na budowę warszawskiej Hagia Sopii. To z pewnością oznacza, jak cenna jest dla nas supraska *obitiel* i jej odbudowa.

W tym roku gościliśmy podczas biesiady Archonta Wielkiego Cerkwi Chrystusowej **Jana Miniuka**, konsul generalną Republiki Białoruś **Ałłę Fedorową**, dyrektora Centrum Kulturalnego Białorusi w Warszawie **Michaiła Rybakowa**, starostę powiatu hajnowskiego **Anatola Romaniuka**, burmistrza Bielska Podlaskiego **Jarosława Borowskiego** i wielu innych znakomitych gości.

Pieśni ukraińskie, rosyjskie, białoruskie zaśpiewał podczas biesiady kwartet Ensemble QuattroVoce, tworzony przez zawodowych solistów – **Martę Wróblewską**, **Aleksandrę Pawluczuk**, **Pawła Pecuszka** i **Przemysława Kummera**. Ich koncerty odbyły się na każdej sali i były niezwykle ciepło przyjęte przez naszych gości.





Ensemble QuattroVoce, od lewej Marta Wróblewska, Aleksandra Pawluczuk, Paweł Pecuszok, Przemysław Kummer
Niżej grupa biesiadników z wilkiem, maskotką zespołu Uładary z Wołkowyska

Organizatorem biesiady, jak co roku jest Fundacja Ostrogskiego. W imieniu fundacji chcę powiedzieć, że organizacja takiego spotkania jest trudna. Wiemy bowiem, że każda z pięciuset osób może mieć swoje, wobec nas organizatorów, oczekiwania i że nie wszystkie spełnimy.

Zawsze mamy pytanie – co zmieniać w biesiadzie?

W tym roku po raz pierwszy do bawienia gości przez całą noc zaprosiliśmy na jedną z sal zespół z Białorusi. To laureat wielu festiwali i konkursów, który śpiewa na wysokim poziomie. Ale ma inny styl bawienia gości niż zespoły z Białostocczyzny, że tak powiem, bardziej estradowy. A taki nie wszyscy goście akceptowali.

Dziękuję w imieniu Fundacji Ostrogskiego wszystkim za słowa dobre i słowa krytyki, za otwarte serca i wyrozumiałość. Dziękuję za wsparcie ze strony **Anatola Timoszuka** i hotelu „Leśny" w Białymstoku, za nagrody dla gości w postaci książek ofiarowane przez hajnowskiego Bratczyka i za płyty z muzyką cerkiewną Międzynarodowemu Festiwalowi Hajnowskie Dni Muzyki Cerkiewnej, które także jako nagrody trafiły do gości.

Dziękujemy także Centrum Kulturalnemu Białorusi w Warszawie i Konsulatowi Generalnemu RP w Grodnie za pomoc w organizacji przyjazdu zespołu Uładary.

Anna Radziukiewicz
fot. **autorka**

OPOWIADANIA TADEUSZA WYSZOMIRSKIEGO

Oni dłużej się modlą

Zdarzenie nieprawdopodobne z gatunku takich, jakie racjonaliści, czyli ludzie dobrze myślący, z gruntu odrzucają, niepomni zdania Szekspira: „Są rzeczy na niebie i ziemi, o jakich się filozofom nie śniło". Powiem więcej, nie tylko filozofom, nawet kinomanom.

Działka ogrodowa na peryferiach stolicy. Typowa ziemia jałowa. Miejsce nawiedzone – mówili okoliczni mieszkańcy. Jakby nie starali się kolejni właściciele, rosły na niej wyłącznie chwasty. Ktoś wrażliwy słyszał podobno dziwne głosy nocą. Starzy mieszkańcy tych okolic, pamiętający czasy ostatniej wojny, nie byli zadziwieni. Kiwali tylko głowami ze zrozumieniem. W czasie wojny Niemcy zabili tutaj i kazali pochować kilku wziętych do niewoli radzieckich żołnierzy.

W końcu ktoś zdecydował się przyjść z tym do księdza. Miejscowy proboszcz przybył, pomodlił się chwilę, pokropił święconą wodą i poszedł. Po niedługim czasie ten sam człowiek zjawił się u niego ponownie, tym razem z reklamacją. Dziwne zjawiska nie ustawały.

Ksiądz należał do starszego pokolenia. Niejedno w długim życiu już widział. Cóż, czasem człowiek spotyka niewytłumaczalne. Pochodził z Kresów. Zdziwionemu penitentowi polecił:

– Idź teraz do prawosławnych, niech oni się pomodlą.

Widząc osłupienie w oczach rozmówcy, wyjaśnił:

– Tak w podobnych wypadkach postępowali na Kresach. Wie pan przecież, gdzie jest cerkiew na Woli.

Prawosławni duchowni nie wydawali się być zaskoczeni ani zaproszeniem za radą katolickiego proboszcza, ani nawet samą, niecodzienną przecież, sytuacją.

Przyjechali. Jeden z nich odprawiał z krzyżem w ręku ubrany we wschodnią stułę a drugi śpiewał pięknie głębokim głosem. Wzbiła się w niebo ich modlitwa.

– *Upokoj Hospodi duszy usopszych rab Twoich* i Wieczną Pamięć im zaśpiewali.

Podobno od tamtej pory paranormalne zjawiska na działce ustały, lecz jej właściciel znowu przyszedł do swojego księdza. Miał teraz poważny problem teologiczny.

– Proszę księdza, ta sprawa nie daje mi spokoju, ciągle o niej myślę. No to jak to w końcu jest? Wychodzi na to, że ich wiara jest lepsza od naszej, czy jak?

– Nie o to chodzi – uspokajał go proboszcz. – Oni mają specjalne modlitwy na podobne okazje, pewnie bardziej skuteczne. Poza tym oni dłużej się modlą.

Świadectwo

Działacz Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Bawarii opowiadał o swoim nawróceniu.

– Chrześcijaństwa nauczyły mnie proste wiejskie, ruskie kobiety. Przez cały okres wojny pozostawałem gorliwym wyznawcą państwowej ideologii nazizmu.

Po naszej klęsce pod Stalingradem wraz z innymi kolegami z Wehrmachtu dostałem się do rosyjskiej niewoli. Były to straszliwe dni. Czerwonoarmiści prowadzili nas w długiej kolumnie jeńców. Wynędzniali od głodu i mrozu, odarci ze złudzeń młodości, na pewno nie oczekiwaliśmy od nikogo litości. My jej także nie mieliśmy, bo taki był ideał germańskiego wojownika.

Przy drodze, którą nas prowadzono, stały ruskie babuszki i rzucały nam chleb.

Wokół, jak okiem sięgnąć, niezmierzone śnieżne połacie. Byliśmy tymi samymi, niemieckimi żołnierzami, jacy jeszcze wczoraj strzelali do ich mężów i synów, podpalali rodzinne chaty. Dzieliły się z nami teraz chlebem odjętym sobie dosłownie od ust.

Przeżyłem wówczas psychiczny wstrząs, który zmienił całe moje życie. Chrześcijaństwa takiej próby co u tych biednych, sowieckich kołchoźnic, nie spotkałem już później nigdzie.

Cerkiew w Dolicach w ruinie i po remoncie z zewnątrz

Cerkiew powraca z niebytu

Cerkiew św. Mikołaja w Dolicach w gminie Dobrzany, filialna parafii w Stargardzie w diecezji wrocławsko-szczecińskiej, powraca z niebytu. Jeszcze w tym roku zostanie wyświęcona po kilkuletnim remoncie.

Świątynia,wcześniej kościół ewangelicki, wzniesiony pod koniec XIX stulecia, od lat czterdziestych służyła przede wszystkim przesiedleńcom z Akcji Wisła. A tych w miarę upływu lat było coraz mniej – rozjeżdżali się po kraju, emigrowali do Kanady. Ostatnie nabożeństwo odprawiono w 1968 roku. Opuszczona cerkiew niszczała, aż zwrócona została gminie. Nieskutecznie pod względem formalnym, jak się okazało kilka lat temu. – Nie będziemy jej rozbierać – zadecydował stargardzki proboszcz, o. Jarosław Biryłko. W 2011 roku rozpoczął się remont. Wymieniono konstrukcję dachu, naprawiono pęknięte mury, wymieniono stolarkę, naprawiono posadzki. To daleko nie wszystkie prace. Finansowano je z dotacji Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego





(cerkiew wpisana jest do rejestru zabytków), władz powiatu i gminy oraz ze środków parafii.

Pieniądze potrzebne są jeszcze na wykończenie wnętrza i jego wyposażenie – brakuje właściwie wszystkiego. Sobór Biskupów na marzec wyznaczył ogólnometropolitalną kolektę na rzecz remontu cerkwi w Dolicach, my także możemy wpłacać pieniądze na konto: Cerkiew św. Mikołaja w Dolicach, 73-130 Dobrzany, BGŻ Paribas 60 2030 0045 1110 0000 0286 7800.

Wyświęcenie cerkwi planowane jest na maj lub czerwiec tego roku. Po 49 latach w odnowionych murach usłyszeć będzie można Słowo Boże i cerkiewny śpiew.

Dorota Wysocka

fot. **archiwum parafii prawosławnej w Stargardzie**

W Białymstoku powstaje nowe prawosławne przedszkole

1 marca 2017 roku rozpoczyna się rekrutacja do przedszkola Aniołki, które powstaje przy cerkwi Świętego Ducha w Białymstoku z inicjatywy Bractwa Cerkiewnego św. Atanazego Brzeskiego.

Zgłoszenia przyjmowane będą wyłącznie w formie elektronicznej poprzez stronę internetową www.przedszkoleaniolki.pl.

W przedszkolu, które rozpocznie działalność we wrześniu, znajdzie miejsce czterdzieściowo dzieci, urodzonych w roku 2013 i 2014. Przygotowana jest dla nich bogata oferta zajęć dodatkowych, m.in. nauka języków obcych oraz zajęć rozwijających zainteresowania plastyczne, teatralne, sportowe, naukowe. Od najmłodszych lat dzieci będą też poznawać tajniki programowania. W przedszkolu będą się też odbywały lekcje religii oraz prowadzony chór.

Przedszkole znalazło siedzibę w budynkach parafii Świętego Ducha na Antoniuku. Już wkrótce urządzone zostaną tam przestronne sale oraz nowoczesny plac zabaw. Środki na wyposażenie placówki, zajęcia dodatkowe i bieżące utrzymanie pochodzą z projektu „Rozwijaj się w przedszkolu", współfinansowanego przez Europejski Fundusz Społeczny. Natomiast koszty prac budowlanych, związanych z przystosowaniem budynku do potrzeb placówki edukacyjnej poniosła parafia.

Bractwo św. Atanazego Brzeskiego w bieżącym roku obchodzi piętnastą rocznicę działalności, której celem jest rozwijanie świadomości religijnej, życia duchowego i wiedzy teologicznej zgodnie z zasadami wiary prawosławnej, pielęgnowanie tradycji oraz prowadzenie działalności oświatowej.

Joanna Misiuk

ROCZNIKI PRZEGLĄDU OPRAWIAMY

Możemy oprawić bieżące roczniki Przeglądu Prawosławnego w cenie 70 zł za tom liczący 816 stron. Ofertę kierujemy głównie do bibliotek, zwłaszcza parafialnych. Ale i prywatni czytelnicy mogą w ten sposób mieć uporządkowany zbiór Przeglądów. Zamówienia zbieramy przez cały rok. Zamówienie można przesłać na adres redakcji (ulica Składowa 9, 15-399 Białystok, telefon 85 / 742 18 57, adres e-mail: redakcja@ przegladprawoslawny pl).

Oprawione tomy będzie można odebrać w redakcji albo zostaną wysłane pocztą. Koszt wysyłki pokrywa odbiorca.

Przegląd Prawosławny, miesięcznik
ISSN 1230-1078 Nr indeksu 371416

Wydawca
Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego

Redaguje zespół w składzie
Michał Bołtryk, Eugeniusz Czykwin (redaktor naczelny)
Natalia Klimuk, Ałła Matreńczyk (sekretarz redakcji)
Anna Radziukiewicz (zastępca redaktora naczelnego), Dorota Wysocka

Stale współpracują
Sergiusz Borowik, Jarosław Charkiewicz
Doroteusz Fionik, o. Marek Ławreszuk, o. Włodzimierz Misijuk
Aleksander Naumow (Wenecja), Grzegorz Jacek Pelica, Anna Petrovska, o. Aleksy Petrovski
Anna Rydzanicz, o. Stanisław Strach

Opracowanie graficzne: Dorota Wysocka

Adres redakcji: 15-399 Białystok, ul. Składowa 9
tel./fax (0048 – kier. z zagranicy) 85 742 18 57

E-mail: **redakcja@przegladprawoslawny.pl; www.przegladprawoslawny.pl**

Redakcja Przeglądu Prawosławnego działa na swoją odpowiedzialność.
Nie angażując autorytetu Cerkwi, stara się jej wiernie służyć

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca, a także zastrzega sobie prawo skracania tekstów niezamówionych

Nakład: 5000 egz.

PRENUMERATA

„Przegląd Prawosławny" można zaprenumerować w urzędzie pocztowym na terenie kraju, u listonosza lub za pośrednictwem redakcji

Prenumerata za pośrednictwem redakcji (koszt egzemplarza i wysyłki):

miesięczna: Polska 8,60 zł; Europa 16,00 zł, USA i Kanada 19,00 zł, Australia 19,00 zł; **kwartalna:** Polska 25,80 zł, Europa 48,00 zł, USA i Kanada 57,00 zł, Australia 57,00 zł; **półroczna:** Polska 51,60 zł, Europa 96,00 zł, USA i Kanada 114,00 zł, Australia 114,00 zł; **roczna:** Polska 103,20 zł, Europa 192,00 zł, USA i Kanada 228,00 zł, Australia 228,00 zł. Przegląd można prenumerować poprzez PP Pocztę Polską (w urzędzie pocztowym lub u listonosza). Jest do kupienia w parafiach prawosławnych, kioskach Ruchu i sklepach spożywczych na Białostocczyźnie.

Dowód / pokwitowanie dla zleceniodawcy

Nr rachunku odbiorcy
98 1240 5211 1111 0010 3993 4278

Odbiorca:
Fundacja ks. Konstantego Ostrogskiego
ul. Składowa 9, 15-399 Białystok

Kwota: ....

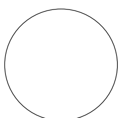
Wpłacający: ....

....

....

Zamawiam prenumeratę
„Przeglądu Prawosławnego"

Podać okres prenumeraty:



....

Wpłata gotówkowa

FUNDACJA KS. OSTROGSKIEGO

ul. SKŁADOWA 9 15-399 BIAŁYSTOK

98 1240 5211 1111 0010 3993 4278

Numer rachunku odbiorcy:

Kwota PLN:

Kwota słownie:

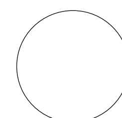
Imię i nazwisko zleceniodawcy:

Adres zleceniodawcy:

Prenumerata PP

Tytułem:

Podać okres prenumeraty:



....
(opłata)

Dowód / pokwitowanie dla odbiorcy

Fundacja im. księcia Ostrogskiego poleca



Kim jesteśmy, skąd pochodzimy, dlaczego tak się nazywamy? W odpowiedzi na te pytania może nam pomóc książka prof. Michała Kondratiuka „Nazwy geograficzne i osobowe Białostocczyzny”. Prof. Michał Kondratiuk jest autorem ponad dwustu publikacji, w tym dziewięciu książek, dotyczących wielu zagadnień językoznawstwa słowiańskiego i bałtyckiego.
W książce znalazły się prace naukowe i popularnonaukowe, studia, artykuły, opracowania z zakresu toponimii i mikrotoponimii oraz antroponimii pogranicza polsko-wschodniosłowiańskiego. Pierwszy rozdział zawiera informacje o historii badanego terenu, jego osadnictwie, dziejach politycznych, drugi bada nazwy osobowe (imiona, nazwiska, przezwiska) Białostocczyzny, trzeci poświęcono nazwom miejscowym i terenowym badanego obszaru, ich powstaniu, historii, zmianom.

Cena u wydawcy 70 zł (w tym 5% VAT), z wysyłką 80 zł



Czy pamiętacie, jak schodzi Święty Ogień? Czy wiecie, że katolicy w Ziemi Świętej obchodzą Paschę razem z prawosławnymi? Jak przeszkadzamy ludziom przychodzić do prawosławia? Czy wiecie, kto napisał jedyny zachowany staroruski poradnik medycyny i jak unici cerkwie w Potoce i na Piatience w 1755 roku przejęli?
O tym piszemy w najnowszych Czytaniach na 2017 rok.
Są w nich zawarte także żywoty świętych, pouczenia starców, religijne pieśni i modlitwy. Zaznaczone są nasze święta i czytania z Pisma Świętego na każdy dzień.

Kalendarz można kupić w redakcji (Białystok, ul. Składowa 9) – **cena 6 zł (w tym 23% VAT) lub wpłacając na konto Fundacji (98 1240 5211 1111 0010 3993 4278) – cena 8 zł (z wysyłką)**





Obie książeczki liczą po 16 stron. Są kolorowe, bogato ilustrowane, doskonałe do uczenia dzieci podstaw prawosławnej wiary.
Pierwsza uczy zasad chrześcijańskiej moralności poprzez pouczające opowiadania, druga przybliża w rebusach, zagadkach, krzyżówkach dwanaście najważniejszych w liturgicznym roku świąt. Jesteśmy przekonani, że obie książeczki są świetną pomocą dydaktyczną dla katechetów.
Pieniądze pozyskane ze sprzedaży książeczek będą wspierać dalsze wydawanie „Aniołka” jako bezpłatnego dodatku do Przeglądu Prawosławnego.

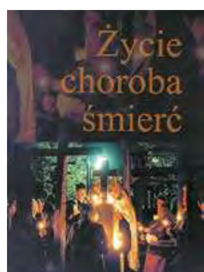
Cena kompletu u wydawcy 2 zł (w tym 5% VAT), z wysyłką 4



NIEŚĆ POKÓJ, KOCHAĆ LUDZI. Arcybiskup Miron, ordynariusz wojskowy, władyka hajnowski, pierwszy ihumen monasteru w Supraślu po jego odrodzeniu, zginął w katastrofie prezydenckiego samolotu pod Smoleńskiem. O hierarsze mówią duchowni, politycy, dyplomaci, dziennikarze. W książce przedstawiono też dzieje prawosławnego duszpasterstwa polowego. **Cena 15 zł (w tym 5% VAT), z wysyłką 22,30 zł**



Eseje o trzech twórcach wielkiej literatury rosyjskiej – Dostojewskim, Gogolu i Tołstoju – i bohaterach ich utworów, zawsze w kontekście ich relacji z Bogiem, poszukiwania i odrzucania, dróg wiodących ku zatraceniu i zmartwychwstaiu. **Cena książki w wydawnictwie 10 zł (w tym 5% VAT), z wysyłką 12 zł**



Wywiad z metropolitą Antonim Bloomem i jego rozważania, wypływające z doświadczeń jako lekarza i kapłana. Do książki dołączono panichidę za zmarłych i akatyst o *upokojenii usopszych*, po cerkiewnosłowiańsku, w transkrypcji na łacinkę i w przekładzie o. Stanisława Stracha.

Cena 10 zł (w tym 5% VAT), z wysyłką 12 zł



Zbiór wybranych artykułów, które „Przegląd Prawosławny” w ćwierćwieczu swego istnienia poruszał wiele razy, tu zebranych tematycznie w rozdziały. Teksty złożyły się na kompendium wiedzy o prawosławiu – jego historii, dziejach najnowszych, punktach zapalnych i duchowości.

Cena 10 zł (w tym 5% VAT), z wysyłką 15 zł

Książki kupować można bezpośrednio w wydawnictwie (Białystok, ul. Składowa 9, tel. 85 / 742 18 57) albo wpłacając na konto Fundacji 98 1240 5211 1111 0010 3993 4278 z dopiskiem tytułu zamawianej pozycji

DO ROSJI

Z inicjatywy osób uczących się języka rosyjskiego przy Bractwie Trzech Świętych Hierarchów w Białymstoku, w dniach od 16 do 24 lipca organizowany jest wyjazd autokarowy Petersburg – Wyryca – Pieczory. W programie m.in. udział w nabożeństwach, zwiedzanie monasterów oraz Peterhof, Carskoje Sioło, Ermitaż. Obowiązuje paszport ważny co najmniej do lutego 2018 roku. Koszt całkowity – 500 zł i 500 dolarów. Zapisy pod tel. 883 772 000 do 10 marca.

DO RUMUNII I GRUZJI

Bractwo św. Atanazego Brzeskiego zaprasza w 2017 roku na pielgrzymki:

• Do monasterów Zakarpacia i Rumunii od 25 kwietnia do 5 maja, w drodze powrotnej nocleg i udział w Liturgii w Poczajowie. Koszt 400 zł i 200 Euro

• Do Gruzji – Tbilisi, Kachetti, Gori, Kazbegi, Mcchety od 6 do 14 września. Koszt 1450 zł i 400 dol USA

Informacje i zapisy u Walentyny Machomety, tel 534 469 470 po godz. 15.

Jeśli chcą Państwo wesprzeć działalność Fundacji,
wpłat można dokonywać na konto:
Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego
ul. Składowa 9, 15-399 Białystok
98 1240 5211 1111 0010 3993 4278
z dopiskiem „Wsparcie działalności statutowej"

E-wydanie Przeglądu Prawosławnego w prenumeracie

Roczna prenumerata e-wydania kosztuje 48 zł – 4 zł za jedno wydanie. Jak zaprenumerować e-wydanie? Wystarczy wpłacić odpowiednią kwotę na nasze konto **98 1240 5211 1111 0010 3993 4278**, podać adres e-mailowy, a Przegląd w plikach PDF będziemy wysyłać zaraz po jego złożeniu.

ZBLIŻENIA

ANDRZEJ. Lat 38, mieszkaniec Bielska Podlaskiego, wysoki, bez nałogów i zobowiązań, wykształcenie średnie ekonomiczne, pozna panią w zblizonym wieku. Tel. 518 581 027

KAWALER, lat 38, odpowiedzialny, pracowity, bez nałogów, prowadzący dobrze prosperujące gospodarstwo rolne, pozna pannę wyznania prawosławnego w odpowiednim wieku w celu nawiązania poważnej znajomości. Tel. 518 248 426

KAWALER. 44 lata, pozna dziewczynę prawosławną w zbliżonym wieku z okolic Hajnówki. Tel. 883 483 201

KAWALER, lat 34, z Podlaskiego, atrakcyjny, spokojny, bez nałogów, prowadzący niewielkie gospodarstwo, pozna Panią lubiącą życie na wsi. Tel. 510 680 650

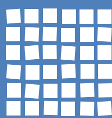
PANNA, w średnim wieku, poszukuje przyjaciela w wieku od 45 do 48 lat, a być może partnera na dalszą część spokojnego życia, wrażliwego, bez nałogów i zobowiązań, najlepiej mieszkańca Białegostoku lub bliskich okolic. Mile widziana zbieżność zainteresowań, np. rosyjska muzyka popularna, muzyka światowa lat 50., 60., 70. E-mail: nowa.znajomosc.2016@wp.pl

SAMOTNA. Lat 59, zaradna, atrakcyjna, pozna pana bez nałogów. Tel. 664 185 899

SAMOTNY. Lat 47, mieszkaniec Białegostoku, posiadacz niewielkiego gospodarstwa rolnego 30 km od Białegostoku, bez zobowiązań, pozna panią w odpowiednim wieku, także z dzieckiem. Tel. 696 865 895, amlinarczuk@gmail.com

WOLNA. 52 lata, wysoka, ceniąca szczerość, uczciwość, pozna odpowiedzialnego, wysokiego pana do poważnej znajomości w wieku 50-60 lat. Tel. 577 032 726

WOLNY. Lat 60, niezależny, pozna panią w stosownym wieku, odpowiedzialną, niepalącą. Tel. 781 280 716


FUNDACJA IM. KSIĘCIA KONSTANTEGO OSTROGSKIEGO

WYDAWCA PRZEGLĄDU PRAWOSŁAWNEGO
FUNDACJA KSIĘCIA
KONSTANTEGO OSTROGSKIEGO PROSI O 1%.
NUMER KRS 0000106814

Fot. Anna Radziukiewicz



MONASTER W SUPRAŚLU